

**Anna Kormik**

# **Cicha śmierć**

Cóż jest w tej cichej śmierci okropnego? Czemu  
Lękamy się tej ziemi, co nam czoło plami?  
I snu z założonymi na piersiach rękami?...

Juliusz Słowacki „Mazepa” Akt II, scena VI.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

— To twój cały bagaż?

Na podłodze koło fotela stała niewielka torba podróżna: dwie bluzki, sukienka, sweter, ciepła para spodni, dwa kostiumy kąpielowe, kosmetyczka z przyborami toaletowymi, pięć deka bielizny.

— Buty i kilka książek włożę do siatki na zakupy.

— A garnki? Noże, widelce, talerzyki? Cały sprzęt kuchenny?

— Nie widzę potrzeby.

— Przecież z Rudy jedziemy na splyw! Ewa, nie udawaj. — Najbardziej irytujące było to, że Krzysztof nawet w kłótni nie podnosił głosu.

— Ja nie pojedę. — Postanowiłam zachować spokój. Nie krzyżeć. Nie syczeć. W złości przeważnie syczałam.

— Co cię ukąsiło? Dlaczego?

— Wiesz dobrze, że muszę namalować jeszcze dwa obrazy na Paryż.

— Wiem dobrze, że musisz namalować jeszcze jeden obraz. Płótno jest na sztalugach, już je zagruntowałem. Masz czas do końca listopada i możesz spokojnie pojechać i wrócić w końcu sierpnia.

— Ale nie chcę.

— Chociaż tak się umówiliśmy?

— Uprzedzałam, że mogę zmienić zamiary.

— I zmieniłaś dziś rano?

Byłam pewna, że nie wspomni o wczorajszej rozmowie telefonicznej. Wiedział oczywiście, że słucham, że gniewa mnie jego radosny głos, ożywienie tak kontrastujące z nudą naszych wspólnych wieczorów.

— Wahałam się już przedtem.

— I nic mi nie powiedziałaś. Przynajmniej zachowałbym się przyzwoicie i odwołał nasz udział.

— Możesz to teraz zrobić.

— Nie mogę. Wszystko już jest umówione. Wyjechali dziś o świcie. Będą na nas czekać osiemnastego w Cimochowiźnie.

— Mnie się nie doczekają.

— Ale mnie tak. Pojadę sam.

— Sam? Raczej z twoimi młodymi przyjaciółmi! — Teraz już syczałam.

— Tak, z moimi młodymi kolegami.

— I ślicznymi koleżankami.

— Mam nadzieję, że koleżanki okażą się śliczne.

— Tylko powinieneś uprzedzić je lojalnie, że nie lubisz pracować i szukasz w życiu wyłącznie przyjemności i zabawy.

— Owszem, uprzedzę, ale poinformuję je też, że jestem ubogim mężem bogatej i sławnej żony, że żona jest ode mnie starsza i liczę na spadek.

— Szczerze stawiasz sprawę.

— Ty zagarnęłaś przydział obsługi na nas oboje.

Omaliem rzuciłam się na niego z pięściami. Przed pięciu laty z rozbawieniem skarżyłam się Jadwidze, że Krzysztof nie umie się spierać. Nie broni swojej racji, ale zamyka się w niej jak w twierdzy. Czasem złościło mnie, że nie daje się sprowokować do dobrej, oczyszczającej kłótni. Nawet cudzych błędów nie lubi prostować. Twierdził, że nie warto sprzeczać się o fakty. Najwyżej pozostawi kogoś w błędnym mniemaniu. Obstawał przy swoich gustach,

owszem. Bronił tego, co mu się podoba, ale nie wydziwiał, że komuś podoba się co innego, Z przeświadczenia, że świat jest różnorodny, czerpał mnóstwo przyjemności.

Ogarnęło mnie zmęczenie. Czy warto znów sięgać do argumentów, że to nie ja chciałam tego małżeństwa, że mnie do niego skłonił, wziął je na swoją odpowiedzialność?

I że mu to odradzałam?

Nasza miłość była łatwa, Żadnych konfliktów, utrudnień, nic z Romea i Julii, waśni rodowych, złamanych obietnic; nie porwał mnie żaden Bohun, nie miał do mnie praw żaden król Marek. Oboje byliśmy młodzi, zdrowi, nie mieliśmy szkieletów pod podłogą w mieszkaniach, na które zdążyliśmy już sami zarobić. Krzysztof premiami w wygranych konkursach architektonicznych — w owym czasie stawał do nich chętnie i często, niezależnie od pracy w biurze projektowym najambitniejszego osiedla Warszawy. Ja — rysunkami do ilustrowanego wydania „Snu nocy letniej” Szekspira, które przyniosły mi mnóstwo pieniędzy, bo spodobały się nie tylko w Polsce. Były to początki moich zagranicznych sukcesów i zarobków. A jednak niełatwo mi się było zdecydować. Dobrze pamiętałam nasze rozmowy.

\* \* \*

— *Naprawdę chcesz spędzić życie sama?*

Przyjechaliśmy do Zakopanego na kilka dni i siedzieliśmy na ławce w parku. Przyświecało jeszcze zamglone październikowe słońce, ale powietrze przesycone było wilgocią zapowiadającą zmianę pogody.

— *Wolę. Samotność jest mniej obowiązująca.*

— *Bo odpowiadasz tylko za siebie?*

— *Właśnie.*

— *Ale i za ciebie nikt nie odpowiada.*

— *To i lepiej. Jakoś sobie poradzę.*

— *Nie wątpię — roześmiał się bez wesołości — wystarczy spojrzeć na twój energiczny podbródek. Nie chcesz się dzielić sukcesami.*

— *Nie chcę mieć współnika do klęsk.*

Milczeliśmy potem długo.

— *To sobie pójdę.*

— *Trudno. Jeśli teraz odejdziesz, będzie mi smutno, ale jakoś to przeżyję. A gdybym żyła z tobą długo, cierpiałabym jak potępieniec.*

— *Nigdy nie odejdę, przysięgam —* powiedział to z niespodziewaną powagą.

Czy mogłam mu nie uwierzyć? Jeszcze się broniłam:

— *A jeśli okażę się inna, niż myślisz? Nie cierpię poświęceń.*

— *Boisz się ryzyka, jakie podejmują wszyscy ludzie? Ty, taka odważna?*

Wtedy jeszcze wierzył, że jestem odważna.

\* \* \*

— W ogóle nigdzie nie jadę. Do Rudy też nie. Zostaję w Warszawie. Odpocznę od ciebie.

Nie będę tropić zazdrośnie spojrzeń, jakimi obrzuca inne kobiety. Nie będę zmuszać się do jazdy kajakiem. Nie będę udawać, że uwielbiam pływać w jeziorze.

Zawahał się jakby, ale po chwili wrzucił ramionami.

— Proszę bardzo. Ja jadę. Jeśli zatęsknisz za mną, jestem u pani Staszkiwicz. Gdybyś mimo wszystko zdecydowała się na spływ, zadeszuj wcześniej.

— Nie zdecyduję się.

Pozegnaliśmy się grzecznie, bez gniewu. Musnął nawet lekko ustami mój policzek.

Zostałam sama. Z naszym mieszkaniem nie byłam zaprzyjaźniona. Wprowadziliśmy się tu z Krzysztofem już ponad trzy lata temu, ale ciągle jeszcze po cichu wzdychałam za swoją dawną pracownią, jasnym pokojem, w którym nie było żadnych zakamarków. W tym mieszkaniu było ich za to w nadmiarze. Miało ono niewątpliwie swoje zalety i uroki. Obszerne aż nadto, po naszych dwóch kawalerkach wydawało się wręcz olbrzymie. Było dwupoziomowe. Na dole wąski, długi korytarz prowadził najpierw do małej kuchni bez okna, potem do obszernego pokoju, stanowczo za bardzo zastawionego. Meble w nim były okazałe, nie w moim guście, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Ofiarowali nam je obejrzawszy rozmiary mieszkania moi rodzice, chyba szczęśliwi, że mogą ich się pozbyć. Wielka szafa z rzeźbionymi drzwiami, niemal jak wrota renesansowego kościoła, zajmowała prawie całą ścianę, poza tym owalny stół i wokół niego aż dwanaście krzesel z wysokimi oparciami — każde mogło służyć jako tron; jeszcze kanapa — to była z kolei scheda Krzysztofa — i nasze wspólne półki z książkami. Mieliliśmy tu spędzać razem czas wolny od zajęć, ale pokój okazał się zbyt majestatyczny. Nazwaliśmy go „komnatą” i przyjmowaliśmy w nim tylko co dostojniejszych gości. Sami jadaliliśmy w ciasnej i niewygodnej kuchence, a życie kameralne przenieśliśmy do skromnie urządzonej sypialni na górze — większej Krzysztofa, gdzie stał jego rajzbret, i mniejszej mojej, gdzie od biedy mogłam przyjąć i sześcioro gości sadowiąc ich na tapczanie i na podłodze. Między sypialniami znajdowała się spora łazienka. Na końcu dolnego korytarza była moja pracownia — tam z zasady nikogo nie wpuszczałam — a za nią, oddzielone nie ścianą, ale trzema okrągłymi kolumnami, ogromne landarowate pomieszczenie z podłogą ze zwykłych desek, którego pojemność wydawała się nieograniczona.

Poprzednie mieszkanie widziałam całe z każdego miejsca. Tutaj wszędzie kładły się cienie, podłoga skrzypiała, meble wydawały suche trzaski. W dzień, kiedy Krzysztofa nie było, zamykałam się na klucz w pracowni. A gdy z rzadka wyjeżdżał, brałam wieczorem silny proszek nasenny i zatykałam sobie uszy watą nasyoną woskiem, bo odgłosy z dołu były znakomitym pokarmem dla łekliwej wyobraźni.

Łatwo było wzbudzić we mnie strach. Bałam się przez całe życie, od dzieciństwa. Objawy lęku zawsze były podobne, jak w określonej chorobie: Suchość w ustach, chęć krzyku, potem mdłości coraz silniejsze, groza zapierająca dech — chęć, konieczność, przymus ucieczki. Bałam się tak wielu rzeczy. W nocy, kiedy nikogo prócz mnie nie było w domu, wystarczyło pomyśleć nieostrożnie, kątem mózgu o uśmiechu, zawieszonym w powietrzu, o zielonej ręce wysuwającej się spod łóżka; o czyjejs nagłej obecności, nawet dobrotliwej, ale tajemniczej. Nielogiczny głupi, strach. Popłoch, paniczny, nie do opanowania, jak ten, co w starożytnej Grecji ogarniał bachantki. W dzień bałam się żywiołów — powietrza, ognia, wody, górskich szczytów i otchłani.

Najgorsze było to, że wstydziłam się bać. Od najwcześniejszych lat wpajano we mnie kult odwagi, pogardę dla tchórzostwa. Chowiała mnie babka, rodzice nadrabiali okupacyjną przerwę w życiorysie, nie mieli czasu. Pracowali, studiowali, bawili się. Babka uwielbiała wiktoriańską literaturę, stylizowała się na dziewiętnastowieczną staroświeckość.

— *Ewuniu, nie rób min, bo ci do twarzy przyrosną,*

— *Ewo, ja w twoim wieku nie bałam się ciemnego pokoju.*

— *Ewuniu, nie można być Polką i nie być odważną. Nie istnieją tchórzliwe Polki.*

Babka miała niewiele wyobraźni, za to dobrze znała dzieje ojczyste. Wzruszały ją czyny proste i heroiczne.

Pozytywni bohaterowie historii. Ewo, pamiętaj. Mucjusz Scewola, Marcin Kątski, Zofia z Trembowli. Poświęcenie. Honor ponad wszystko. Historia jest polem bitwy, z którego nie wolno uciekać. Życie jest egzaminem z męstwa. Twoja matka — łączniczka z powstania. Wcześniej nauczyłam się udawać.

— *Nie, nie pływam, bo mam dzisiaj zaburzenia błędnika. Ale umiem oczywiście.*

Wolałam umyślnie źle stąpnąć, boleśnie skrócić kostkę, żeby nie pojechać na wycieczkę rowerową z klasą — na samą myśl o upadku dostawałam zawrotu głowy. Na nartach zjeżdżałam z zamkniętymi oczyma, by mnie nie wessała otchłań. Wracałam potłuczona.

— Tego dziecka czepiają się wypadki — babcia uśmiechała się z zadowoleniem — jest odważna ponad wiek, ale to lepiej.

Bicie serca przy schodzeniu z góry w Pieninach. Wykręty, preteksty, byle tylko nie dostrzegli strachu. Strach cuchnie. Strach poniża. Łączniczki nie bały się. Potem jest się już utkanym z pozorów, kreuje się samą siebie na użytek zewnętrzny, nawet sobie nie mówi się całej prawdy.

Zakochałam się w Krzysztofie, bo był taki, jaki się wydawał.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Rozpakowałam torbę podróżną, powoli i systematycznie ułożyłam na właściwych miejscach wyjęte z niej rzeczy i nie spiesząc się zeszłam na dół do pracowni. Na sztalugach rozpięte było świeżo zagruntowane płótno — od paru lat Krzysztof przygotowywał mi je pod każdy nowy obraz, ostatnio nawet, odkąd malowałam warstwowo, sam na dość grubej zaprawie kładł podmalówkę z farb szybko schnących. Podniosłam pędzel, powąchałam go, w pracowni pachniało farbami i terpentyną. Ale dzisiaj znane zapachy nie kusiły mnie do pracy. Nie miałam żadnego pomysłu, powierzchnia płótna, szara i nijaka, nie pobudzała mojej wyobraźni. Wzbierała we mnie złość, że posprzeczałam się z Krzysztofem, zostałam jak głupia sama w pustym mieszkaniu, bez ochoty do malowania, bez ochoty do życia.

Telefon stał na skrzyni przy drzwiach wejściowych. Nawet teraz, w jasny dzień, korytarz wydawał się ciemny i ponury, pełen własnego tajemniczego życia. Przewidywałam już, co nastąpi w miarę zbliżania się wieczoru. Dręczyła mnie też zgaga. Moralna oczywiście. Bo przecież nie miałam racji. Znowu nie miałam racji. Jak poprzednio, jak rok temu, jak za każdym razem, kiedy prowokowałam kłótnię. Nie ma na świecie nic gorszego niż mąż, który ma zawsze rację. Przerzucenie winy na Krzysztofa przyniosło mi pewną ulgę. Nakręciłam numer Jadwigi.

— Z kim mam przyjemność? — Jadwiga nawet w odbieraniu telefonów miała swój własny styl. Właściwie żyła po to, żeby mieć własny styl, inny niż wszyscy, i czasem drażniło mnie to niepomernie, bo w gruncie rzeczy była przecież zupełnie taka jak wszyscy. Ale lubiłam ją. Była moją najlepszą przyjaciółką. Znałyśmy się od zawsze i chociaż dawniej dzieląca nas różnica wieku — Jadwiga była ode mnie o pięć lat starsza — wydawała się ogromna, zwierzałyśmy się sobie ze wszystkich tajemnic. Wiedziała o mnie więcej niż moi rodzice, po części nawet i to, co ukrywałam starannie przed całym światem.

— Ze mną — starałam się zachować pogodny głos.

— Jak to? Nie wyjechaliście...

— Jedno wyjechało. Drugie pójdzie doliną.

— Nie, serio.

— Serio. Pokłóciłam się z Krzysztofem. Pojechał sam do Rudy.

— Pokłóciła się z Krzysztofem. Pojechał sam do Rudy — powtórzyła szeptem. Uświadomiłam sobie, że to niedziela i Lutek jest w domu.

— A ty zostałeś?

— Sam na sam ze zboląłą duszą.

Pominęła milczeniem moją żalną próbkę humoru.

— I co będziesz robić?

— Malować. Muszę przygotować wystawę na Paryż.

— Wiem przecież — była urażona, że ośmielałam się udzielać jej informacji. — Ale masz jeszcze czas. Zresztą będziesz się bała sama w domu.

Powinno być się rozgniewać, że o moich trzymanyh w sekrecie strachach mówi przy swoim stosunkowo nowym mężu. Ale Lutek i tak nie brał poważnie niczego prócz swoich zbiorów.

— Mniej niż na kajaku podczas fali.

— I już dzisiaj bierzesz się do pracy?

— Taki mam zamiar — nie powiedziałam tego całkiem pewnie.

— Lutek mówi, żebyś spakowała rzeczy, to cię odwieziemy na Wigry. Nie należy kłócić się z mężem.

— Coś ty! — zniecka ogarnęła mnie gwałtowna ochota zobaczenia uśmiechu w oczach Krzysia. Ale po chwili wróciło poczucie krzywdy. — Nie dzwonię do ciebie po nauki moralne — oświadczyłam chłodno.

— To nie ja, to Lutek — oburzyła się — ja nigdy nikogo nie pouczam. Chcesz, możesz się rozwieść.

— Kto wie, może nawet zechcę.

Jadwiga prychnęła gniewnie.

— Lutek mówi, że za pół godziny najdalej po ciebie podjeżdżamy. Bierzemy cię do Nieborowa. Lutek chce popatrzeć na panią Orzelską i na chłopskie meble. Obiad też tam zjemy.

Trudno oprzeć się mojej przyjaciółce. O jedenastej siedziałam na honorowym miejscu w ich maluchu i słuchałam wykładu Lutka na temat uroków Nieborowa. Lutek pracował w antykwariacie, z wykształcenia był historykiem sztuki, a z zamiłowania kolekcjonerem. Miał zbiory polskiego rękodzieła dawnego i nowego — tkanin, narzędzi gospodarskich, różnego typu ozdób, mebli nawet — i po ślubie przystosował obszerny strych w willi Jadzi do ich przechowywania. Kilkakrotnie prezentował je w telewizji, uchodził za znakomitego eksperta w tej dziedzinie. Łagodny i zazwyczaj małomówny, zapalał się, kiedy miał okazję wypowiedzenia się na ulubiony temat, i przejawiał autentyczny talent popularyzatorski. Nawet Jadzia, która rzadko dawała się przegadać, milkła wobec niespodziewanego potoku wymowy męża. Był on mężem już nie tak całkiem nowym, jak lubiła podkreślać, ale jeszcze nie spatynowanym. Pobrali się przeszło dwa lata temu. Lutka poznał z Jadzią Krzysztof — odwzajemnił się, bo to ona właśnie nas sobie przedstawiła.

\* \* \*

Po raz pierwszy zobaczyłam Krzysztofa przed siedmiu laty na mojej pierwszej wystawie obrazów w galerii Zapiecek. Miałam już za sobą pewne sukcesy, parę ilustrowanych książek, kolorowe plansze do „Snu nocy letniej”, rysunki w czasopismach. Ale rzuciłam grafikę dla malarstwa. Płótno rozpięte na sztalugach pobudzało wyobraźnię, pozwalało znaleźć ulgę od nękających mnie obsesyjnych lęków, wyrazić własne niepokoje.

Przedstawiła mi go Jadwiga z właściwą sobie dezynwolturą właścicielki ogrodu zoologicznego.

— *Krzysztof Ruciński, architekt. Stoi przed twoimi obrazami i milczy, zamiast zachowywać się wernisażowo. Może skłaniają go do myślenia. W każdym razie curiosum.*

Był duży, barczysty, spokojny. Miał bardzo ciemne włosy i bardzo niebieskie oczy. Nie uśmiechnął się. Przytrzymał moją dłoń, popatrzył na mnie uważnie.

— *Pani się boi?*

Jadwiga już znikła w obawie, że nie przywita się z kimś, nie zaliczy kogoś bardziej interesującego niż młody architekt i młoda malarka, choćby nawet była to główna postać tego właśnie wernisażu. Roześmiałam się podniecona powodzeniem, okazywaną mi uwagą, zachwycona, że jest taki kolorowy, powolny i sprężony jednocześnie.

— *Czego miałabym się bać? Pana?* — Myślałam, że to jego metoda podrywania kobiet. Z czasem miałam się przekonać, że Krzysztof nie umie flirtować. Kiedy dziewczyna mu się podoba, prostolinijnie okazuje zachwyty, kiedy go interesuje, jest właśnie taki jak wówczas: uważny i dociekliwy.

— *Nie, nie teraz. W ogóle. Maluje pani strach.*

Tak właśnie powiedział: strach. Nie „grozę istnienia”, jak potem pisali recenzenci. Nie „lęk metafizyczny” ani „żywioty niszczące świat”, ale zwyczajnie — strach.

— *Maluję przeciw strachowi. Nienawidzę strachu. Strach cuchnie* — mówiłam z zacietrzewieniem, którego natychmiast się zawstydziałam.



Rozjaśnił się, poweselał.

— *Cieszę się. Bo okropnie mi się zrobiło żal autorki tych obrazów. Że tak ją przeraża życie. Nie wiedziałem, że to pani.*

— *A czy to coś zmieniło?*

— *Raczej tak. Od pani tchnie odwagą.*

Rozmawiałam z nim i jednocześnie widziałam siebie pogrążoną w rozmowie. Wysoka, swobodna, jasne włosy, orli nos, bystre, inteligentne oczy. Żadna tam lękliwa kobietka. Dobry kolega, dzielny człowiek. Taką chciałam być i taką mu siebie podałam. Czy w takiej zakochał się i potem stopniowo przeżywał zawody spisując na straty miłość do nie istniejącej kobiety?

\* \* \*

Lutek chciał w Nieborowie obejrzyć „chłopskie” krzesła, dzieło miejscowego stolarza z połowy XIX wieku. Kupił niedawno pod Bolimowem podobne krzesło, bardzo podniszczone, i sam miał zamiar je odnawiać.

— W nieborowskim Salonie Czerwonym wisi wielki portret Anny Orzelskiej, pięknej córki Augusta Mocnego. Lubię ją odwiedzać. I zjemy obiad. Prosiłem co prawda o dwa, ale myślę, że kucharka skombinuje i trzeci.

Do stołu w pięknej Sali Weneckiej zasiadłam już w znacznie lepszym humorze. Mimo niedzieli i ładnej pogody ludzi było stosunkowo niewiele, choć Nieborów należy do nielicznych oddziałów Muzeum, gdzie wolno przyjmować gości, jeśli mają jakiś, nawet dość luźny związek z nauką i sztuką. W niedalekim Marcinówku, niegdyś pałacu letnim Calottich, najbogatszych jubilerów osiemnastowiecznej Warszawy, obecnie też oddziale Muzeum Narodowego z ładną galerią obrazów i zbiorami starodruków, zamknięto już przed dwoma laty pokoje gościnne. Przeszto przyjmować gości, odkąd z galerii wykradzono jej najcenniejszy eksponat: obraz Lucasa Cranacha, przedstawiający spotkanie Odysa i Penelopy, niezrównane arcydzieło bezcennej wartości. Wszystko co prawda wskazywało, że kradzieży dokonano z zewnątrz, wielki wiąz rosnący pod oknami nosił ślady wdrapywania się, lecz podobno okno na trzecim piętrze było uchylone, najpewniej od środka, i tamtędy ktoś z wierzchołka wiazu wkradł się do pałacu, a potem wrócił tą samą drogą. Na noc spuszczano psy, ale liczni goście zdemoralizowali je i przez ciągłe kontakty z obcymi nie były to psy ani złe, ani czujne. Zdjęto oczywiście za brak dozoru kustosza, przesłuchano ogromne ilości ludzi, którzy mieli jakikolwiek związek z pałacem w Marcinówku, ale śledztwo nie dało rezultatów i sprawa powoli uległa zapomnieniu. Teraz rozmawialiśmy o niej przy stole, bo w Muzeum Narodowym odbył się właśnie pokaz dzieł sztuki odzyskanych przez Służbę Bezpieczeństwa w akcji przeciw szmuglerom.

— Też bym chciała, żeby kradli moje obrazy — rozmarzyłam się.

— Nikt by za nie nie uzyskał paru milionów dolarów — przywołała mnie brutalnie do rzeczywistości Jadwiga.

— Za ten też nie — stwierdził stary rzeźbiarz, znajomy Lutka. To on zaczął rozmowę. Bywał kiedyś stale w Marcinówku i należał do osób wielokrotnie przesłuchiwanym w związku z kradzieżą.

— Jak to? Przecież co najmniej tyle jest wart.

— Ale wątpię, czy temu, kto go ukradł, uda się wywieźć obraz za granicę. To by było straszne ryzyko.

— Sama kradzież też była ryzykiem, a ktoś się na to zdobył — zaprotestował Lutek.

— Ten wiąz pod oknami to było kuszenie złodzieja.

— Mnie by nie skusił — oświadczyła stanowczo ważąca ponad sto kilo żona rzeźbiarza.

Po raz pierwszy od kłótni z Krzysiem szczerze się roześmiałam.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wracaliśmy do Warszawy dość późno. Oglądaliśmy jeszcze pałacowe meble, Lutek zwracał naszą uwagę na szczegóły, przydawał przedmiotom, i tak pięknym, urody opowiadając ich historię, umiejscawiając je w czasie. Potem w zapadającym mroku spacerowaliśmy długo po ślicznym Nieborowskim parku, podziwiając białodrzewy, dwa stare platany i odurzające miodnym zapachem wiekowe lipy. W samochodzie Jadzia znów zaczęła mnie namawiać na wyjazd jutro do Rudy. Lutek podtrzymywał ją nie tak głośno, ale równie stanowczo. Wreszcie coraz bardziej wściekła na siebie przeniosłam złość na nich i oświadczyłam, że wysiądę z wozu i pójdę pieszo do Warszawy. Zabrali mnie, żeby zmusić do wysłuchiwania głupich argumentów i jeszcze jedno słowo...

— Nie pojedę do niego za całą herbatę Indii. Wolałabym przejść na wegetarianizm — siliłam się na żartobliwy ton. — Zresztą on też o tym nie marzy. Ćwiczy formę przed splywem. Wszystko mu jedno, czy nie odzywa się do mnie, czy do nikogo.

Zgodziłam się mimo wszystko zjeść u nich kolację. Lutek wyszedł na jakieś umówione spotkanie, a Jadwiga karmiła mnie — zawsze miała mnóstwo przysmaków w lodówce — pokrzykując, że jem mało, bo na pewno się martwię i to mi zabiło apetyt, a martwić się nie warto. I mam jechać do Krzysztofa!

— Zaparłaś się jak oślica Balaama!

— A ty nawet nie potrafisz odezwać się ludzkim głosem — stwierdziła urażona, że nie wyplakuję żalów na jej piersi.

O dziesiątej miałam już tego dość, zrezygnowałam z czekania na Lutka, choć obiecywał, że mnie odprowadzi, i tłumacząc się, że wstałam o świcie i jestem zmęczona, ruszyłam do domu.

Właściwie byłam z siebie dość zadowolona. Niech Krzysztof zrozumie, że nie jestem od niego zależna i mogę łatwo wrócić do sytuacji sprzed sześciu lat. Niech sobie czaruje młode dziewczęta, niech spróbuje, jak wygodnie się żyje z pensji nauczyciela na pół etatu, myślałam mściwie. W głowie mi szumiało od wina, którym napoiła mnie Jadwiga, przez szum przebijały się strzępy sloganów ruchu wyzwolenia kobiet, wiedziałam, że na trzeźwo będę się z tego śmiać, ale teraz dziarskim krokiem idąc w stronę Alej Jerozolimskich utożsamiałam się z kobietami w ogóle i utwierdziłam w postanowieniu obrony honoru swojej płci.

Wkładając klucz do zamka nie czułam się już tak walecznie. Drzwi otworzyłam ostrożnie i mrok korytarza podciął mi kolana. Bo jeśli ktoś czai się na schodkach? Lub wypadnie z ciemnej pracowni i chwyci mnie za gardło?

— Histeryczka — powiedziałam głośno. Chrypka nappełniła mnie pogardą do siebie. — Idiotka też — dodałam już czystszy głosem. Za karę zmusiłam się do odczekania chwili, zanim przekreśliłam kontakt. Raz, dwa razy, w korytarzu nie rozbłysła lampa. Serce zaczęło mi bić jak szalone. Cofnęłam się do drzwi. Jeśli zepsuła się elektryczność, nie zostanę sama w pustym mieszkaniu. Ale sięgnęłam jeszcze po omacku do kontaktu w kuchni i światło zapaliło się. Tylko na korytarzu musiała wisić żarówka.

Było w nim teraz jaśniej, lecz w kątach dalej czały się cienie. Nie pozwoliłam już, żeby mnie dopadły. Bez pośpiechu rozwiązałam sznurowadła, zmieniłam tenisówki na domowe pantofle i zdecydowanym krokiem ruszyłam do komnaty. Kontakt był tu dość daleko od wejścia, prostokąty nie zasłoniętych okien rozrzedzały ciemności, na chwilę zaparło mi dech tykanie zegara, zapomniałam, że tu stoi, tak jak zapomniałam o lustrze w drzwiach szafy i przez moment pełen przerażenia zdawało mi się, że ktoś idzie mi naprzeciw. Ale już miałam rękę na kontakcie i rozbłysło światło z wielkiego żyrandola. Krzyknęłam tak głośno, jak na pewno jeszcze nigdy w życiu. Pod sufitem, niemal na środku pokoju, zawieszony za nóżki głową w dół wisiął nietoperz patrząc wprost na mnie rozumnym wzrokiem starej kobiety.

Parę metrów do telefonu na korytarzu przebiegłam w tempie Szewińskiej u szczytu formy. Jadzia dość długo nie mogła zrozumieć, o co mi chodzi.

— Pod sufitem? Co wisi pod sufitem? O czym ty gadasz?

Kiedyś zwierzyłam się jej, że okropnie boję się nietoperzy. Żadne inne stworzenie nie budzi we mnie przerażenia ani odrazy, tylko właśnie nietoperz — cichy, ludzki, wampirowaty.

Mruknęłam cicho i niewyraźnie, żeby nie usłyszał:

— Tam jest nietoperz.

— Nie belkocz, tylko mów, o co chodzi. — Jadzia była zirytowana, że nie może mnie zrozumieć. Lubiła wszystkiego w lot się domyślać. — Co to znaczy petperz?

Opanowałam się nieco. Na korytarz padało światło z kuchni. Powiedziałam głośniej:

— Przecież wiesz. Taki ptak, co jest ssakiem.

— Błagam cię, nie sycz w słuchawkę.

— Nie syczę. Ssak ma dwa s.

— Ewo, o czym ty bredzisz? Chyba nie dzwoniisz po to, żeby sprawdzić, ile s ma ssak?

Nabrałam oddechu.

— W pokoju pod sufitem siedzi nietoperz i nie wiem, czy mam zawołać milicję, czy straż ogniową.

— W pokoju pod sufitem siedzi nietoperz i Ewa chce wnieść skargę do Oenzetu.

— Jadwiga!

— Czekał, muszę przecież powiedzieć Lutkowi, o co chodzi. Bardzo się zainteresował. Zaraz u ciebie będzie.

— Och, dziękuję.

Operację przeprowadzenia nietoperza Lutek wykonał bez mojego udziału. Siedziałam w kuchni i miałam dreszcze ze zdenerwowania. Byłam Lutkowi nieskończenie wdzięczna, że nie próbuje być dowcipny. Zażądał szczotki i we właściwy sobie sposób starannie i flegmatycznie owinął ją szmatą.

Słyszałam, jak szeroko otwiera okno i pomagając sobie okrzykami wali szczotką o sufit.

— No już — popatrzał na mnie uważnie. — Pojęcia nie mam, jak się tu dostał...

— Może przez komin? — zaproponowałam bez przekonania.

— Przecież tu nie ma komina — Lutek zachował powagę. — I okno też było zamknięte.

Zorientował się, że mnie to jeszcze bardziej przestraszyło.

— Ewo, zabieram cię do nas, prześpisz się z Jadzią.

Pokręciłam głową. Nie będę robić z siebie jeszcze większej idiotki. Muszę nauczyć się opanowania. Bo jeśli rozejdę się z Krzysztofem?

— Wezmę proszek nasenny. Tylko jeszcze jedna prośba.

Obejdz ze mną całe mieszkanie.

— Jak najchętniej. — Lutek lubił zachowywać się ze staroświecką galanterią, podał mi ramię jak do poloneza.

— Nogi mnie jeszcze uniosą — wróciłam już po trosze do siebie i chciałam swoim zwyczajem zademonstrować własną dzielność i poczucie humoru, ale chęć tworzenia pozorów przeszła mi pod jego wiedzącym i zakłopotanym spojrzeniem.

Dokładne obejrzenie całego mieszkania w towarzystwie spokojnego Lutka przyniosło mi ulgę. O nic mnie nie pytając zaglądał we, wszystkie kąty. Na górze zajrzał nawet do szuflad w komodzie i podniósł wieka obu tapczanów; długo badał wnętrze szafy w komnacie, sporo czasu zabawiliśmy w graciarni, obeszlśmy całą pracownię. Na sztalugach stało płótno zagruntowane przez Krzysztofa. Nagle chwycił mnie żal, że jutro od rana pójdzie sam, beze mnie, do lasu, że nie będzie mi się przyglądał, jak nawlekam grzyby.

— Jutro biorę się do roboty.

— Nie radzę.

— Dlaczego?

— Będiesz zmęczona, to maści wizję — powiedział serio.

Uśmiechnęłam się.

— Nie bój się, nie będę malować. Nawet jeszcze nie wiem co. Przygotuję farby, pędzle.

— Ewo, Jadwiga zawiezie cię jutro na Wigry.

— Nie ma mowy. Nie lubię zmieniać decyzji. — Chciałam powiedzieć, że nie będę robić z, gęby cholewy, ale powstrzymałam się w porę.

Lutek wzruszył ramionami.

— No dobrze. Co jeszcze oglądamy?

Zanim wyszedł, wzięłam proszek nasenny, chociaż byłam po winie. Podwójną porcję. Pożegnałam się z nim pogodnie, sprawdziłam, (czy zatrask jest spuszczone, i wbiegłam po schodach na górę nie oglądając się za siebie. Zostawiłam światło w kuchence, ale mimo to kark mi ścierpł, gdyż za mną kryło się w cieniu pół tuzina morderców, i to raczej nie ludzi, a duchów ruszających kościstymi palcami.

Zamknęłam za sobą drzwi od mojego pokoju i przez chwilę stałam oparta o nie z suchością w gardle, jakbym uciekła przed realnym niebezpieczeństwem.

— Ale mam nerwy w proszku — oświadczyłam fotografii Krzysztofa stojącej na półce z książkami.

Łazienka wydała mi się przytulna, plusk wody z prysznicą swojski, przestałam nasłuchiwać, co się dzieje na dole. Nawet spróbowałam uśmiechnąć się do swojego odbicia w lustrze, ale nie wypadło to przekonująco. Otuliwszy się kocem przez moment walczyłam z myślą, żeby nie zgasić światła, ale miałam już dosyć samej siebie. Nacisnęłam guzik nocnej lampki i wstrzymałam oddech. Na dole rozległy się kroki. Głuche, powolne, ciemność przydawała im dostojności, wyraźnie widziałam dumnie stąpający posąg komandora. Leżałam na dnies przepaści i czułam, że przestaje mi bić serce. Byłam nawet z tego zadowolona. Wolałam nie żyć, niż tak okropnie się bać. Nie wiem, jak się zdobyłam na wysunięcie ręki spod kołdry i zapalenie lampki. Kroki umilkły. Może włożyć szlafrok, zejść na dół, stawić czoła urojeniom? Nie warto było nawet o tym myśleć. Dobrze wiedziałam, że nic mnie nie zmusi do otworzenia drzwi w ciemną otchłań pełną strachów, nietoperzy i posągów komandora. Siedziałam z podkurczonymi nogami na środku tapczanu i bałam się. Nic innego nie czułam, nad niczym się nie zastanawiałam. Całą wypełniało mnie przerażenie. W głowie wirowały strzępy myśli, chciałam je zebrać, skupić w jedną rozsądną decyzję, plan działania, ale nie udawało mi się. Na dole dalej było cicho, napięcie zelzało, zaczęłam znowu oddychać, przestałam szczerkać zębami. Odważyłam się sięgnąć po zegarek. Dochodziła dwunasta. Nie pocieszyło mnie to. Jeszcze tyle godzin do świtu, który, być może, choć nie na pewno, rozproszy koszmary. Jeśli rano będę jeszcze w stanie zejść na dół.

Wreszcie namówiłam sama siebie, żeby pozycję siedzącą zmienić na leżącą. Powieki ciążyły mi niemiłosiernie, powoli zapadałam w sen. Nagle zjeżyły mi się włosy na głowie. Ze znajomym skrzypem otworzyła się wielka gdańska szafa w komnacie i jednocześnie rozległ się głuchy łoskot, jakby coś ciężkiego upadło na podłogę. Wrzasnęłam i jednym skokiem znalazłam się przy oknie. Chciałam wołać pomocy, ale okno wychodziło na podwórze, we wszystkich mieszkaniach było ciemno. Resztki wstydu pomogły mi zwalczyć panikę. Postanowiłam tylko, że pozostałą część nocy spędzę tu właśnie. Uspokajała mnie świadomość, że mam sąsiadów. Przysunęłam sobie krzesło, ustawiłam je bokiem, oparte o ścianę wnęki okiennej, żeby z tyłu nic się na mnie nie mogło rzucić. Na dole zaległa cisza, jakby mój wrzask przepłoszył demony. Nie wiem, jak długo siedziałam tak, o niczym nie myśląc, wpatrzona w noc warszawskiego podwórka. Po paru stuleciach wróciłam do łóżka, ruszając się jak w transie, nieprzytomna z senności. Jeszcze nasłuchiwałam, co dzieje się za drzwiami mojej sypialni, zaciśniętymi powiekami odgradzałam się od groźnego świata, potem

widziałam już tylko, że tuż przy tapczanie tańczą trzy wiedźmy i że ruszył na mnie birnamski las\* .

---

\* Birnamski las zgodnie z przepowiednią trzech wiedźm „rusza” w ostatnim akcie „Makbeta” Szekspira.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Obudziłam się późno, zanim spojrzałam na zegarek, sądziłam, że zbliża się południe. Dzień był pogodny. Blask słoneczny przyćmił mdłe światło lampki palącej się jeszcze ciągle przy tapczanie. Zdziwiłam się, że jest dopiero dziesiąta. Wskoczyłam z łóżka, telefon dzwonił chyba już od dłuższego czasu i właśnie jego uporczywy sygnał wyrwał mnie ze snu. Przez chwilę szarpałam się z drzwiami, zapomniawszy, że sama wieczorem zamknęłam je na klucz. Kiedy zadyszana podniosłam słuchawkę, marząc, by rozległ się w niej głos Krzysztofa, po drugiej stronie panowała cisza. Trudno, i tak nadzieja, że to dzwoni Krzysztof, była bezsensowna. Na pewno Jadwiga chce się dowiedzieć, jak spędziłam noc. Oddzwonię, jak się ubiorę. Ostrożnie, przed samą sobą udając całkowitą nonszalancję, zajrzałam do komnaty szukając źródła wczorajszych hałasów. Szafa była zamknięta. Przełknęłam z trudem ślinę. Przecież wyraźnie w nocy słyszałam skrzyp otwierających się drzwi. Rozigrana wyobraźnia? Omamy słuchowe ze strachu? Nie było też żadnej wskazówki, co mogło spowodować ów głuchy łoskot. Wszystko stało na swoim miejscu. W półmroku — zasunięte wczoraj przez Lutka story nie przepuszczały promieni słonecznych — widać było ciemniejszą plamę na suficie, w miejscu gdzie poprzedniego wieczoru wisiał nietoperz. Wzdrygnęłam się i szybko wycofałam na korytarz. Drzwi od pracowni były uchylone. Byłam niemal pewna, że po wczorajszym obchodzie mieszkania sama je starannie zamknęłam. Ale nie zawahałam się. Wszedłszy aż zmrużyłam oczy od światła padającego przez wielkie prawie na całą ścianę okno. Pracownia wyglądała jak zawsze. Trochę zakurzonych płócien w kącie, na stole pod oknem porządkie, jeszcze przez Krzysztofa ułożony karton, arkusze brystolu, ołówki. Na drewnianych etażerkach z nie wygładzonego drzewa gliniane figurki zbierane po wsiach, kieliszki z grubego szkła w rozmaitych kształtach i różnych kolorach. Pod jedną kolumną, oddzielającą pracownię od graciarni, mała szafeczka z książkami. Odpoczynek wśród pracy: nie lektura, żeby się w niej zatopić, ale dobrzy znajomi, tak już bliscy, żenię porażają wyobraźni, lecz ciągle wznecają zachwyt, przenikają przez samotność, godzą ze światem. „Odyseja”, „Pan Tadeusz”, parę tomików wierszy. Pytania, do których często powracałam:

*„I co tu robisz? W dzień co jest wtorkiem? W domu nie gnieździe? W skórce nie lusce? Z twarzą nie liściem? Dlaczego tylko raz osobiście? Właśnie na ziemi? Przymalej gwieździe? Po tylu erach nieobecności?”\**

Lub inne:

*„Czy to jest drozd wśród liści jarzębiny Co to jest drozd czy drozd jest z krwi i gliny Czy drozd jest to synteza snu i liści Czy to jest drozd co mi się gwiżdżąc iści Ten tancerz snu ten taniec bez tancerza Czy to jest drozd ta gwiazda złota wieża Złoty jest drozd lecz może być zielony Poeta jest obłokom poślubiony Lecz skąd ten drozd gdy nigdzie drozda nie ma Czy to jest drozd czy drozda teoremat...”\**

Przy drugiej kolumnie stały sztalugi z rozpiętym płótnem. W pracowni było swojsko, bezpiecznie. Jeszcze nie czułam niepokoju, niedosytu, który będzie mnie dręczył, kiedy zabiorę się do malowania.

— Zaraz tu przyjdę — oświadczyłam głośno pędzłom i miseczkom z farbami.

---

\* Z wiersza Wisławy Szymborskiej: „Zdumienie”.

\* Z wiersza Jarosława Marka Rymkiewicza: „Co to jest drozd”.

Już nie myśląc o ubiegłej nocy zmyłam w łazience ospałość po proszkach. Wzięłam ostry prysznic. Telefon zadzwonił, kiedy wycierałam się szorstkim ręcznikiem. Uznałam to za dobry znak. Zwykle musiałam mokra wyskakiwać z wanny.

Tym razem także nie zdążyłam. Nikt nie odezwał się, choć nie było również sygnału. Zirykowało mnie to i wbrew swoim zwyczajom parę razy zawołałam „proszę”, jakby mój głos mógł przerwać ciszę w słuchawce. I przerwał. Rozległo się sapanie. Głośne, chrapliwe zachłyśnięcie się, jak u duszącego się astmatyka. Nie wierzyłam uszom. Szeptem spytałam niemal prosząco:

— Kto mówi?

Nikt nic nie mówił. Nadal ktoś sapał. Nierówno, z poświstem, jakby oddech wracał mu do gardła. Było jasno, dzień nie sprzyjał urojeniom, a przecież wróciły nocne koszmary. Znowu zaczęło mi walić nieprzytomnie serce. Jak sparalizowana nie mogłam odłożyć słuchawki. Trzymałam ją przy uchu, słuchałam sapania i bałam się. Chciałam zażądać, żeby ten, kto dzwoni, przestał bawić się w nosorożca, żeby odezwał się ludzkim głosem, ale już byłam całkiem pewna, że nic nie pomoże, że to, co dyszy, nie jest człowiekiem. Wreszcie otrząsnęłam się z odrętwienia. Drugą ręką nacisnęłam widelki, rozległ się sygnał, szybko nakreśliłam numer Jadwigi. Nigdy jeszcze głos Lutka nie wydał mi się tak miły.

— Dzień dobry, Ewo — był jedynym z moich znajomych, który używał wołacza. — Właśnie chciałem dzwonić do ciebie, ale bałem się, że cię obudzę. Przecież wzięłaś środek nasenny.

— Ale już wstałam.

— A jak ci przeszła noc?

— Nieźle — nie zabrzmiało to chyba całkiem wiarygodnie.

— To chwała Bogu.

— Alę wiesz, ten nietoperz wyprowadził mnie z równowagi. Lutek, powiedz, czy Jadzia mogłaby dzisiaj u mnie spać?

Czekałam cierpliwie na odpowiedź. Znałam Lutka i wiedziałam, że każdą decyzję musi przeżyć w milczeniu.

— To znaczy, żeby przyszła wieczorem i była do rana?

— Tak właśnie to sobie wyobrażam. — Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że w dzień też będę się bała po tych tajemniczych telefonach, ale perspektywa nocy w towarzystwie Jadzi pomoże mi to znieść. — Mogłaby przyjść po siódmej, jak ty wrócisz z pracy. Albo nawet trochę później.

— Ale dlaczego o to prosisz?

Postanowiłam być szczerą.

— Boję się być sama w domu.

Chrząknął niedowierzająco.

— Tylko dzisiaj czy w ogóle? Bo jak będzie jutro?

— Możesz poprosić Jadzię? — zirykowałam się. Sama nie wiedziałam, jak będzie jutro.

— Jadzia zeszła coś kupić i przygotować samochód do podróży.

— Do podróży?

— Namówiłem ją, żeby jechała dzisiaj. Po co ma czekać na mnie do czwartku? Szkoda pogody. Nie wiadomo, jak długo się utrzyma.

Zaschło mi w gardle. Lutek musiał wyczuć mój niepokój, bo zaraz dodał:

— Mogłaby cię zabrać ze sobą. Ewo, nie powinnaś tak długo gniewać się na Krzysztofa. On tam na pewno na ciebie czeka.

Nie zastanawiałam się dłużej.

— Będę gotowa za pół godziny. Niech Jadzia czeka na dole.

— Za pół godziny to za wcześnie. Ja idę do pracy na jedenastą, to mnie po drodze podwiezie. I tak już na obiad nie zdążycie.

Jadwiga podjechała po mnie dziesięć po jedenastej, ożywiona i zadowolona z życia. Za kierownicą zawsze czuła się znakomicie, przechodziły jej wszystkie dolegliwości. Zwłaszcza jazda ze mną poprawiała jej samopoczucie. Bo chociaż zrobiliśmy razem prawo jazdy i nawet zdałam egzamin — egzaminy zwykle zdawałam celująco — nigdy nie odważyłam się sama ruszyć z miejsca. Jadwiga w ogóle prowadziła sprawnie, ale przy mnie uważała się za cesarza szos. Dobrze ją rozumiałam. Tak samo w Piszczanach wśród kulawych i reumatyków człowiek mniej więcej zdrowy chodzi sprężysto, czy w samolocie, jeśli między pasażerami są tacy, którzy nigdy nie latali, przybiera pozę bywalca kosmicznych przestrzeni.

Postanowiłam, że zwierzę jej się z nocnych strachów, zrzucę z siebie ciężar przerażenia i własnego tchórzostwa, potraktuję rozmowę z nią terapeutycznie. Ale nie udało mi się przebić. Jadwiga miała ochotę mówić o mężach. O swoim, jaki nadzwyczajny, i o moim, jakie ma wady. A tematy rozmowy we dwie od zawsze wyznaczała Jadwiga. Jeszcze zanim wyjechałyśmy za granice Warszawy, wdała się w długą opowieść o tym, jak Lutek rozwija ją intelektualnie.

— Bo rozumiesz, on nie tylko wie wszystko, ale wie wszystko we wszystkich językach. Marnuje zdolności. Mógłby wygrać każdy quiz. A taki jest przy tym łagodny. Przez te dwa lata ani razu nie pokłóciliśmy się na ostro, rozumiesz? Ani razu.

— Myśmy za to przez ostatnie dwa lata nic innego nie robili.

— Ale dlaczego? Co się stało? Przecież na początku było inaczej. Nawet dziwiłam się, że tak się broniłaś przed małżeństwem, a tak ci ten stan cywilny odpowiada! Byłaś zupełnie odmieniona. Jakbym cię wcale nie znała.

Ja też nie znałam dobrze kobiety, z którą Krzysztof żył przez pierwsze parę lat małżeństwa. Sama ją stworzyłam dozując prawdę i kłamstwo jak w przepisie na potrawę. Wychodząc za niego zdawałam sobie sprawę, że jestem inna, niż on myśli, i że nie chcę go rozczarować. Niewiele jest rzeczy trudniejszych niż sprostanie na co dzień zachwytowi ukochanego. W Ibsenowskim dramacie moje małżeństwo, oparte na kłamstwie, nieuchronnie prowadziłoby do tragicznego konfliktu. W życiu przez dość długi okres funkcjonowało wręcz znakomicie. Dorobiłam sobie nawet do tego teorię. Sama nie będąc z nim szczerą, nie wdzierałam się siłą do jego duszy, skoro nie obnażałam swojej. Zachowywałam dystans. Sfera tajemnicy, sfera prywatności chroni małżeństwo przed nudą, korci partnera, leciutka obcość zapobiega rutynie, zostawia coś do zdobywania, każe lękać się, zabiegać. Także w życiu na spółkę dobrze jest mieć zastrzeżony dla siebie własny kącik, gdzie wstęp jest wzbroniony. Byłam szczęśliwa z Krzysztofem, chociaż udawałam, że nie jestem zazdrosna, chociaż ukrywałam swoje tchórzostwo i chociaż powściągałam swoją zachłanność. A Krzysztof na pewno był szczęśliwszy ze mną zakłamaną niż z taką, jaka jestem naprawdę. Buntował się początkowo, że skreśliłam nogę pierwszego dnia wycieczki w góry, że — choć zrobiłam prawo jazdy — nie prowadzę samochodu, że nagła chrypka nie pozwala mi pływać w jeziorze. Ale choć znał mnie coraz lepiej, nie zdradzał się, że przeniknął uprawianą przeze mnie grę pozorów.

Sama to wszystko zniszczyłam. Dumna z tego, że tak ładnie ułożyłam sobie sztuczne życie, nie dopilnowałam własnej natury. Pierwsza scena zazdrości — już nie pamiętam o kogo — rozbawiła Krzysztofa. Przy drugiej usiłował się bronić. A potem moje jadowite przycinki zbywał milczeniem. Wtedy już nie pracował w biurze projektowym. Rzucił je dla pracy znacznie mniej absorbującej. Przez dwa dni w tygodniu uczył rysunku w szkole kreślarskiej dla dziewcząt i zdawał się bardzo ze swojej posady zadowolony. Nie tłumaczył się, nie podawał powodów, moje ostrożne pytania zbywał żartobliwym stwierdzeniem, że jako architekt nie ma szans na sukcesy. Żal, że nie poczuwa się do obowiązku dorównania mi w zarobkach, tłumiliłam dość łatwo, ale jątrzyło mnie, że ma teraz mnóstwo czasu na sport i wyprawy turystyczne, w których sama z rzadka brałam udział. Klóciłam się z nim coraz częściej, wypominałam mu, że nic nie robi, że pasożytuje na mnie. Wstydziłam się potem,



próbowałam trzymać się na wodzy, mieliśmy jeszcze okresy całkiem dobre, ale nawet wtedy nie zbliżaliśmy się do siebie za bardzo, w obawie, że poranimy się nawzajem.

— Odpowiadaj — już od dłuższej chwili nie słyszałam, że Jadwiga mówi — bo zamienię się w jednoosobowy chór na swoją cześć. A twoje sprawy są teraz ważniejsze. Dlaczego pokłóciliście się?

Nie miałam już ochoty na zwierzenia. Ale wiedziałam, że Jadwiga i tak postawi na swoim.

— Jak zawsze. Nic go nie obchodzi prócz miejscówek na Kasprowy, nowego typu składaka, dobrej rakiety, specjalnego rodzaju narciarskich wiązań. Owszem, nowe marki samochodów, ale nie pieniądze, których na nie potrzeba.

— Masz do niego urazę, że za mało zarabia...

— Nie za to wcale. Ale że nie ma żadnych ambicji. Był zdolnym architektem. Teraz ani mu się śni nawet czytać na ten temat. Wykłada w tej szkole przez dwa dni w tygodniu, starcza mu to na kawę i benzynę do samochodu, a resztę spokojnie bierze ode mnie. — Przesadzałam oczywiście, zarobki Krzysztofa wystarczały na jego skromne potrzeby, ale nie chciałam być sprawiedliwa. — I daje się wielbić uczennicom i innym smarkatym za wspaniałą kondycję.

— Jesteś zazdrosna?

— Nie mam o kogo. Człowiek doszczętnie pozbawia ambicji nie jest dla mnie mężczyzną.

Powiedziałam to z taką pasją, że niemal uwierzyłam we własne słowa.

— Przesadzasz, Ewka. Oni wszyscy mają wady. Krzysztof jest dobry, opiekuńczy, czuły. Nie terroryzuje cię, tak jak mnie Lutek — dorzuciła żalonym głosem.

Roześmiałam się mimo woli, Lutek jako tyran i satrapa nie był postacią zbyt realną. Zresztą chętnie skorzystali z okazji do zmiany tematu. Zbyt wiele goryczy wkładałam w swoje skargi na Krzysztofa.

— Nie śmieć się. To prawda. Odkąd mi lekarz kazał schudnąć, pilnuje mnie jak Argus. Jak zjem coś, czego mi nie wyznaczył, muszę go przeproszać, a on się boczy i martwi, i narzeka.

— Bo jesteś za gruba.

— Kiedy ja uwielbiam jeść. Zwłaszcza to, co sama ugotuję! Okropna sytuacja. Jak jem, on mnie nudzi, jak nie jem, sama się nudzę. Beznadziejne...

— Przecież musisz się trochę ograniczyć.

— Wiem, wiem, obżarstwo to grzech główny, łakomstwo też. Co rano sobie to powtarzam i podejmuję decyzje. Potem ich nie dotrzymuję. Trudno, nie nadaję się na świętą, nie znoszę wyrzeczeń. Ale przecież nie jestem idiotką. Sama też o siebie dbam. W maju, jak Lutek wyjechał na trzy tygodnie i zostawił mnie sam na sam z wagą, ubyło mi kilo i dwadzieścia deka. Nie jadłam pieczywa i cukru.

— Wytrzymałaś przez trzy tygodnie? Niemożliwe.

— Słowo ci daję — Jadzia była oburzona.

— Czy przypadkiem nie nauczyłaś się wchodzić ostrożniej na wagę?

— Coś ty — obruszyła się. — Nie jestem taka przewrotna, żeby samą siebie oszukiwać.

— I co na to powiedział Lutek?

— Nic nie powiedział. Zachwycił się w milczeniu. On jest w ogóle nadzwyczajny.

Jadzia znowu uznała, że lepiej będzie Lutka chwalić, niż na niego narzekać. Nie wróciłyśmy już do rozmowy o moich małżeńskich kłopotach.

U pani Staszkiwicz goście właśnie wstawali od stołu. Krzysztof wziął ode mnie torbę podróżną i powiedział ciepło:

— Idź do jadalni. Dadzą wam coś zjeść, a ja cię tymczasem rozpakuję.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zdawało się, że wszyscy goście pensjonatu pani Staszkiwiczowej cieszą się z mojego przyjazdu. Zwłaszcza ci od naszego stołu — w jadalni znajdowały się dwa okrągłe stoły, przy których zasiadało do każdego posiłku po dwanaście osób.

— Myślałyśmy już, że poświęca pani szczęście małżeńskie na ołtarzu sztuki. I zaczęłyśmy patrzeć na siebie wilkiem, bo każda chciała pocieszać pana Krzysztofa — powiedziała pani Teresa Bernacka.

— Ja nie — oświadczyła z powagą czternastoletnia Małgosia Maniewicz. — Ja nawet wolę, jak pan Krzysztof jest smutny.

Zarumieniła się widząc rozbawienie na naszych twarzach.

Siedzieliśmy na rozległej łące, którą schodziło się z pensjonatu nad jezioro. Kobiety były aktywne: pani Teresa robiła na drutach sweter dla męża, Beata Wiśniewska i Krystyna Maniewicz nawlekały z zapalem świeżo zebrane grzyby na długie nitki, Jadzia trzymała w ręku Heideggera — właśnie tego dnia przyjechał Lutek — i Jadwiga, która cały prawie tydzień pobytu w Rudzie spędziła na leniwych sierpniowych rozrywkach, postanowiła wziąć się do rozwijania umysłu. Mężczyźni, zawsze bardziej dbający o urodę, wystawili twarze i torsy na słońce. Ja zajęłam najwygodniejszy leżak i usiłowałam wmówić sobie, że nic mi nie brak do szczęścia. Krzysztof jest dobry, miły i mimo pięknej pogody chętnie przystał, żeby na razie korzystać z lasu, a nie z jeziora. Kajak stał bezczynnie przy pomoście, a my uczestniczyliśmy w zbiorowym grzybobraniu pod przewodnictwem pana Juliana Bernackiego. Jadwiga jeszcze dziś rano szepnęła mi z wyrzutem, że grzeszę mając pretensję do tak idealnego męża. Mimo to nadal coś mnie nieznośnie uwierało. Nie kłóciliśmy się, przeciwnie — byliśmy dla siebie serdeczni, ale też nic sobie nie wyjaśniliśmy. Ciągłe nie miałam pojęcia, jakie Krzysztof ma zamiary, a on, dlaczego zdecydowałałam się przyjechać. Krzysztof nie lubił sondowania duszy, a ja obawiałam się, że moje poczucie winy — bo miałam je niewątpliwie — przejdzie mi, jeśli się rozłożę w trakcie wzajemnych wyjaśnień i znowu zachowam się jak rozhisteryzowana jędrza. Znałam siebie i wiedziałam, jak bardzo nie lubię przyznawać się do błędów przed kimkolwiek innym niż przed sobą. Toteż na zewnątrz wszystko wyglądało sielankowo, ale napięcie między nami wcale nie znikło.

— No i co, jedziecie na ten spływ, prawda? Żeby tylko pogoda wytrzymała. — Jeden Lutek siedział mimo upału w koszuli i swetrze. Twarz miał bladą, widać było, że jest nowym przybyszem. Ale patrzył na wszystkich życzliwie, po swojemu bez zbytecznych słów i gestów okazując, jaki Jest zadowolony, że tu przyjechał.

— Nie jedziemy — Krzysztof powiedział to nieco podniesionym głosem.

— Coś ty, dlaczego? Ty też nie? Przecież miałeś jechać? Myślałam nawet, że namówisz Ewę? — Jadwiga była wyraźnie zdenerwowana, że Lutek uzyskał informację, która do niej jeszcze nie dotarła.

— Ewy nie namawiam, bo inaczej rozłożyła sobie zajęcia. A samemu mi się nie chce.

— Mi się nie chce — powtórzyła ładna Beata Wiśniewska. — Dotychczas tego wyrażenia nie było w pana słownictwie. Raczej okazywał pan nadmiar gotowości do wszelkich zabaw. Zmienia się pan, panie Krzysztofie.

Krzysztof nie podjął wyzwania.

— Nie tylko o to chodzi — zwracał się do nich, choć naprawdę mówił do mnie. Zdjęłam ciemne okulary, ale nie udało mi się złapać jego wzroku. — Ewa będzie chciała malować, a ja jej muszę zagruntować płótno i położyć podmalówkę.

— Przecież już to zrobiłeś — tym razem obruszył się Lutek.

— Nie — Krzysztof pokręcił głową. — Przed wyjazdem miałem głowę zaprzątniętą czym innym i boję się, że je sknocilem. Nawet na pewno. Pamiętam, że się w jednym miejscu przecierało i machnąłem ręką, bo szkoda mi było czasu. Przygotuję jej teraz inne.

— Nie zdąży wyschnąć jak należy.

— Ewa poczeka.

— A twoi wodniacy? — Lutek był zgorszony.

— Trudno, pozłoszczą się i odpłyną. Zawsze ktoś może nawalić. — Byłam mu wdzięczna, że znalazł pretekst, i było mi głupio, że musiał go szukać.

— A czy pani Ewa nie potrafi sama zagruntować płótna? — inżynier Maniewicz był z natury dociekliwy.

Roześmiałam się.

— Dawniej nikt mnie w tym nie wyręczał, ale człowieka łatwo zdemoralizować. Krzysztof robi to cudownie.

— I w ten sposób mam choć nikły wkład w dzieło sztuki — ukłula mnie nutka autoironii w jego głosie. Nikt inny nie zwrócił na to uwagi, prócz może Lutka, który obrzucił go badawczym spojrzeniem.

— O Boże, czemuś mnie nie dał tak dobrego męża?! — pani Teresa uniosła patetycznie do góry rękę z szydełkiem.

— Tereniu!

Pani Teresa nie była konwencjonalna ku rozpaczy jej męża, który niesłuchanie cenił formy towarzyskie i dobre maniere. W ogóle z punktu widzenia pana Juliana jego małutka i korpulentna żona była zbiorem wszelkich wad: łakoma, popędliwa, nieposkromienie ciekawa, z niewyparzonymi językiem.

— Lieniwa też w gruncie rzeczy jestem — twierdziła — udaję tylko, że lubię pracować. Siedem grzechów głównych to ja — dorzucała całkiem z siebie zadowolona.

Uwielbiała wszelkie gry, może dlatego tak dobrze rozumieli się z Krzysztofem. Mogła cały dzień spędzić na układaniu skomplikowanej łamigłówki, a noc na brydżu, ale mimo to dokonała przez blisko pół wieku pracy zawodowej bynajmniej niemało. Miała doktorat nauk matematycznych, uczyła matematyki w liceach, a potem, po habilitacji, objęła katedrę na politechnice; Była autorką podręczników szkolnych, paru książek o grach i teorii prawdopodobieństwa. Głosiła wszem wobec, że trzeba matematyzować nasze nazbyt skłonne do egzaltacji społeczeństwo, i sama się do tego rzetelnie przyczyniała. Mąż burczał na nią nieustannie i uwielbiał ją po złotym weselu równie żarliwie jak w miodowym miesiącu. Pan Julian, długi i chudy, był z wykształcenia botanikiem i umiał nazwać wszystkie rośliny po imieniu, za co byłam mu ogromnie wdzięczna — dopiero rzeczy nazwane zaczynają dla mnie istnieć. Poza tym znał się na astronomii, rozpoznawał bezbłędnie ptaki i znakomicie fotografował. Pani Teresa na wakacjach układała ogromne łamigłówki, namawiała dzieci do gry w kości, grała w badmintona, mimo swej tuszy zwinna i ruchliwa, a pan Julian zbierał grzyby i zioła na nalewki. Stanowili cudowną parę i nie można ich było nie lubić. Oni też zresztą nawzajem do wszystkich odnosili się życzliwie.

Do doktora Karola Wiśniewskiego i jego żony Beaty nie miałam aż tyle sympatii, ale bawiło mnie ich towarzystwo i dobrze się z nimi czułam. Byli tak różni, że mogli służyć jako ilustracja francuskiego porzekadła, że *les extrêmes se louchent*. Mniej więcej w jednym wieku — oboje po lepszej stronie czterdziestki — mieli już na swoim koncie niemałe życiowe osiągnięcia. Karol był wziętym lekarzem, chirurgiem kostnym, Beata świetną i znakomicie zarabiającą specjalistką od organizacji pracy. Wiotka blondynka z długimi włosami i twarzą demonicznego aniołka, jakby wyciętą z obrazu Beardsleya; ciągle skarżyła się na rozmaite dolegliwości. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek weszła do jadalni czy ogrodu inaczej niż z dłonią w miejscu, gdzie znajdował się organ, który właśnie przysporzył jej cierpienie. Przyciskała serce, zgięta w pół usiłowała ręką złagodzić ból żołądka czy też palcami delikatnie

dotykała czoła. Pierwsze słowa Beaty, poprzedzone głębokim westchnieniem, zwykle dotyczyły jej mającego wkrótce nastąpić zejścia ze świata, która to perspektywa bynajmniej nie martwiła osoby aż tak udęczonej.

— Gdybym miał brać na serio wszystkie twoje skargi — mawiał jej mąż — i próbował cię leczyć, umarłbym z wycieńczenia.

— Bo ty leczysz każdego, tylko nie mnie. A przecież zarzuciłam na ciebie sieci tylko dlatego, że studiowałeś medycynę.

Beata była niesłuchanie bystra, inteligentna i dowcipna, ale poczucie humoru zawodziło ją, kiedy podawano w wątpliwość jej żalorny stan zdrowia. Mimo to, jeśli trafiała się okazja wyjścia wieczorem z domu na większe przyjęcie, skromną wizytę czy choćby na kolację do lokalu, natychmiast zwlekała się z łoża boleści. I w momencie kiedy ze starannie umalowanymi oczami obwieszała się mnóstwem naszyjników i bransoletek — ubóstwiała sztuczną biżuterię — już była duszą zabawy. Nawet z prawdziwej grypy z gorączką potrafiła zrezygnować, żeby pójść na czyjeś imieniny. Nie uznawała faktu, że brydż musi się kiedyś skończyć, każda pora wydawała jej się zbyt wczesna. Rozpaczała, że Karol, jej mąż, nigdy nie powiedział niczego, co chciałaby naprawdę usłyszeć. Był to człowiek rzetelny i rzeczowy. Uosobienie normalności. Przystojny, raczej sympatyczny, wszystko robił dobrze, ale nienadzwyczajnie.

Biedak chciał mieć rodzinę, dzieci, co Beata odrzucała ze wstrętem i zgrozą. Przyjeżdżali do Budy tak jak my, co roku od sześciu lat, i Karol odnosił się do mnie ostrożnie, Ito artyści to nie była jego specjalność, za to ogromną sympatią darzył Krzysztofa.

Ja natomiast cieszyłam się względami inżyniera Andrzeja Maniewicza. Zawdzięczałam to najprawdopodobniej temu, że wiedząc o moich sukcesach w kraju i paru zagranicznych wystawach uważał mnie za spryciarę. A spryciara w tak eleganckim wydaniu była kontaktem godnym podtrzymania. Przekonanie, że jestem jego bratnią duszą, oparł na znajomości praw rządzących społeczeństwem: powodzenie osiąga się sprytem, jak się nie przebijesz, to ci żadne zdolności nie pomogą. A sukces cenil ponad wszystko. Własnego brata, który wołał pracować jako lekarz pogotowia, niż zbijać pieniądze w modnym uzdrowisku, traktował z pogardą. Miał apetyt na życie, bał się, że przepuści jakąś okazję, ktoś inny skorzysta, a on nie, i chciał zagarnąć wszystko, co można, dla siebie i swoich. Miał ponurą skłonność do kalamburów. Doprowadzał tym do rozpaczki doktora Wiśniewskiego, który bładł, kiedy przy trącaniu się kieliszkiem pan Maniewicz wołał za każdym razem „oby nam się dobrze armata”.

Pani Krystyna, znakomita żona, matka i gospodyni, zawsze była gotowa czcić męża i niezmordowanie głosiła jego chwałę. W pewnym sensie była zresztą do niego podobna. Tylko ich córka Małgosia wyrodziła się. Psuli ją do niemożliwości, rozpieszczali, uczyli, że należy do niej cały świat i jego żona, ale dziewczynka — kiedy poznałam ją, miała dziesięć lat, teraz skończyła czternaście — odnosiła się do rodziców serdecznie, wady ich traktowała pobłażliwie, lecz sama, cicha i skromna, dość powolna, chociaż bynajmniej niegłupia, swój charakter kształtowała na innych modelach.

Po obiedzie poszliśmy całą gromadą na grzyby. Pan Julian jak zwykle prowadził, wszyscy wierzyliśmy w jego nieomyślność. Po drodze surowo sprawdzał, czy pamiętamy, że baldaszkowate miotłki drobnych białych kwiatków, które rozarte w palcach pachną podobnie jak mięta, to krwawnik, niebieskie kwiatuszki, ledwie wystające nad trawę, to szafirki, a ptak z żółtym dziobem to kos. Chętnie poddawaliśmy się egzaminowi. Ja zwłaszcza, szczęśliwa, że las przestaje być anonimowy, robi się piękniejszy jeszcze, bo składa się ze znajomych. Trzymałam się blisko pana Juliana. Nadal miałam wrażenie, nie, nie wrażenie, pewność, że Krzysztof odnosi się do mnie z rezerwą. Owszem, skwapliwie spełnia każdą moją prośbę, jest uprzejmy, ale myślami błądzi gdzie indziej. Chciałam przebić się przez ścianę, przypomnieć mu, że jesteśmy we dwójkę, a nie każde sobie, ale coś powstrzymywało mnie od gestów zbyt czułych. Słuchałam tylko jednym uchem, jak pani

Teresa opowiada mu z rozbawieniem o opiece, jaką Jadwiga otoczyła małą Małgosię Maniewicz, żeby „pod wpływem rodziców nie zapomniała o miłości bliźniego”. Krzysztof śmiał się grzecznie, roztargniony i małomówny.

Nie zdążyliśmy jeszcze wejść w las, kiedy nagle lunął deszcz. Nic nie zapowiadało ulewy, toteż choć Bernaccy, leśni ludzie, mieli wiatróvky i trampki na nogach — my z Krzysztofem, tak samo jak Maniewiczowie i Wiśniewscy, szybkim krokiem wróciliśmy do domu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sześć lat temu, kiedy Krzysztof mi się na serio oświadczył, też padał deszcz. Pogoda od rana była brzydka, ale uznaliśmy ją za ładną z nominacji i mimo zachmurzonego nieba powędrowaliśmy na daleki spacer z Góry za zamkiem przez miasteczko, cmentarz, las na brzeg Wisły i widokiem na Janowiec. Czułam się lekka, uskrzydłona urokiem pejzażu, spojrzeniami Krzysztofa, jego zachwytem i czułością. Słońce walczyło jeszcze z chmurami wyłaczając korony drzew i kładąc połyskliwe smugi na rzece.

— *Co za barwy, co za świat, Krzysiu, dziękuję, żeś mnie wyciągnął na ten spacer.*

Kiedy całował mnie, nie przymykałam oczu, chłonąc wzrokiem piękno nieba, wody, ziemi.

— *Jak to dobrze, że ty się nie wstydzisz zachwycać!*

— *Ja się w ogóle niczego nie wstydzę!* — zapewniłam go gorliwie i natychmiast zdałam sobie sprawę, że zaczynam kłamać, że na jego użytek, dla jego zachwyconego spojrzenia buduję fałszywą wersję swojej osoby, takiej, jaką chciałabym być, a nie jestem, i będę przy niej trwać i unikać Krzysztofa, żeby nie narażać się na konieczność udawania. Musi to zepsuć nasz związek. Zrobiło mi się żal siebie i jego. Spochmurniałam i Krzysztof od razu to zauważył. Zawsze potem umiał wyczuwać najłżejsze zmiany „w moim nastroju, dostrzegać napięcie, reagować na odruchy buntu czy niechęci. Miałam mu to za złe. Utrudniał mi nakładanie masek, obnażał moje słabości.

— *Ewo, czy zechcesz wyjść za mnie za mąż?*

Długo nie odpowiadałam. Ponaglił mnie.

— *Pytam, Ewo, czy raczysz oddać mi swoją rękę?* — bronił się przed własną niepewnością sztucznym tonem i staroświecką stylistyką.

— *Nie, Krzysiu, lepiej nie.*

— *Dlaczego?*

— *Kocham cię, dobrze mi z tobą, ale boję się to zepsuć. Nie umiem być z kimś ciągle razem.*

— *Ewo!* — Rozpadał się ulewny deszcz. Krzysztof otoczył mnie ramieniem, drugą ręką podniósł mi twarz i spojrzał prosto w oczy. — *Nie umykaj wzrokiem. Chcę, żebyś była szczerą ze mną, z sobą, żebyś nie zrobiła głupstwa, którego będziesz żałować całe życie. Naprawdę mamy się rozstać?*

— *Nie, Krzysiu. Lubię być z tobą.*

— *Ale ja nie mam ochoty być na dochodzącego. Chcę żyć z tobą razem, rozumiesz?*

— *Krzysiu, wierz mi, lepiej jest tak jak dotychczas.*

— *Jak dwie wyspy na tym samym morzu? Koło siebie, ale osobno? Nie chcesz ryzykować. Boisz się?*

— *Boję się — nieczęsto przyznawałam się do lęku.*

— *Mówiłaś, że gardzisz strachem, że strach to najsmutniejsza konsekwencja grzechu pierwotnego, że strach cuchnie. Mnóstwo rzeczy mówiłaś przeciw strachowi. A teraz okazujesz się tchórzem.*

— *A jeśli jestem tchórzem?*

— *To przy mnie nie będziesz miała się czego bać* — sam zdziwił się, że to powiedział, i dodał szybko: — *Nie prowokuj mnie, żebym mówił jak prawdziwy mężczyzna z powieści dla pań.* — Nie uśmiechnęłam się. — *Ale, jeśli chcesz, przyrzeknę ci wszystko, co przyrzekają prawdziwi mężczyźni w salonowych romansach. Że będą twoją tarczą, podnóżkiem i mieczem. I dotrzymam, bo chcę być z tobą. Nie tylko spędzać z tobą czas, kochać się, ale żyć wspólnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nawet kiedy nie jesteśmy razem.*

— *Kłócić się? Zdradzać mnie? Poznać moje wady i słabości?*

Spoważniał.

- *Ewka, nie bój się mnie. Człowiek nie jest stworzony do samotności.*
- *Mówiono, że jesteś zatwardziałym starym kawalerem.*
- *Bo czekałem na ciebie. Mam trzydzieści dwa lata. Znalazłem cię. I nie stracę.*

Kiedy upierał się przy czymś, szczeka robiła mu się kwadratowa.

— *Nie rób takich groźnych min. Wyglądasz jak syn Frankensztajna* — nieporadnie spróbowałam obrócić wszystko w żart.

Tę rozmowę wypominałam mu potem wielokrotnie. Że nie dotrzymał obietnic, że nakłonił mnie do małżeństwa, chociaż tak bardzo się opierałam. Syczałam, że się zmienił. Najpierw inwestował, a teraz chce obcinać kupony. Zrezygnował z ambicji, woli na mój koszt wieść życie playboya. Wściekła, że mi nie odpowiada, że się nie broni, nie zaprzecza oczywistym kłamstwom, posuwałam się dalej. Twierdziłam, że zawsze kłamał, bo uznał mnie za wygodną bazę wypadową. I niech mi nie wmawia, że przestałam go kochać, bo mniej ode mnie zarabia. Mam tylko żal, że uważa to za całkiem normalne. Nic mi nie wmawiał. Nie odzywał się wcale. Przyglądał mi się ze ściągniętymi brwiami i zamykał się w milczeniu. Kiedy burza przechodziła, kiedy przestawałam się złościć, nie wracał już do tego, czasem tylko przyłapywałam jego uważny, badawczy wzrok. Idąc teraz z nim szybko z lasu do domu, czułam, jak znowu rośnie we mnie żal, że nigdy nie chciał, nie raczył moich pretensji rozładować. Więc może miały podstawy? A ja słusznie stawiałam mu zarzuty, wypominałam, że jest trutniem? Ależ jedza ze mnie! Przestraszyłam się, że powiedziałam to głośno. Lecz Krzysztof szedł obok spokojnie, nie zwracając uwagi ani na mnie, ani na coraz gęstsze strumienie deszczu.

\* \* \*

Wtedy nad Wisłą też szliśmy w strumieniach deszczu, człapiąc po kazimierzowskim lessowym błocie; Krzysztof najpierw się boczył, potem oboje rozbawiliśmy się i po godzinie, już w domu na Górach, osuszeni, opatuleni w grube włochate szlafroki znowu wróciliśmy do poprzedniej rozmowy. Wracaliśmy do niej przez następny miesiąc często; w domu, w łóżku, na spacerach, w mojej pracowni, gdzie wpuszczałam go niechętnie, bo zerkał na nie dokończone obrazy, w pracowni Krzysztofa, gdzie lubił objaśniać mi rozpiętą na rajzbracie planszę z projektem fragmentu osiedla, nowej szkoły, zieleńca wokół budynku fabrycznego.

— *No dobrze, masz wątpliwości. Ale czy nie jesteś ciekawa? Może się uda, może będzie lepiej. Czy teraz jesteś całkiem szczęśliwa? Nic nie chcesz zmienić? Zadowolona z życia, z siebie, ze wszystkiego?*

Wzruszyłam ramionami.

— *Daj spokój, Krzysiu. Owszem, jestem ciekawa. I bynajmniej nie zadowolona z siebie. Ale wystarczy mi pomyśleć, że spojrzysz na inną kobietę i pożałujesz, bo będziesz związany ze mną, a twoja wrodzona szlachetność— mówiłam to bez ironii — nie pozwoli ci mnie rzucić. Będziesz się męczył, coraz nieszczęśliwszy i coraz gorszy, bo cierpienie nie uszlachetnia. Od poświęceń człowiek kwaśnieje.*

— *Ewa, pohamuj wyobraźnię. Czy musisz przewidywać, że cię przestanę kochać?*

— *Taki już mam charakter.*

Przekomarzaliśmy się, spierali, choć usiłowałam żartami rozładować spięcia. Zdawało się nawet, że postawiłam na swoim. Krzysztof przestał nalegać, był wesoły, miły. Wszędzie chodziliśmy razem, toczyliśmy nie kończące się rozmowy, kochaliśmy się, budziliśmy się rano pogodni, ucieszeni sobą nawzajem.

— *Myślisz o mnie?*

— *Myślę.*

— *Czule?*

— *Czule.*

- *Widzisz, a gdybyśmy byli ciągle razem, nie miałbyś kiedy o mnie myśleć.*
- *Nie przestaję o tobie myśleć, nawet kiedy cię trzymam w ramionach.*
- *To źle, kiedy jestem z tobą, masz czuć, a nie myśleć.*

Wyjeżdżając na trzy miesiące do Finlandii, żegnał się ze mną długo, gorąco, ale już po tygodniu przyszedł list:

„Ewa, decyduj! Czy wracam do Ciebie, czy nie. Kocham Cię, miła, bardzo. Podziwiam, szanuję, bawisz mnie, wprawiasz w zachwyt i roztkliwiasz. Nie nudzę się z Tobą, a to może lepiej niż wszystko inne gwarantuje dobre małżeństwo. Ale chcę, żeby to było małżeństwo. Mniej mi nie wystarczy, nie lubię cierpieć, nic we mnie nie ma z masochisty. Odpowiedz szczerze, nie bój się, nie popełnię samobójstwa, nie rozpiję się, nie podupadnę moralnie i fizycznie. Nie będę Cię straszył jako wyrzut sumienia w łachmanach. Po prostu dam sobie z sobą radę. Przeprowadzę autoterapię. Potrafię. Mam już pewną wprawę. Poprzednio nie chodziło co prawda o nieszczęśliwą i nieodwzajemnioną miłość, ale o inne nieosiągalne marzenia. I udało się, przestałem marzyć. Przystanę Cię kochać. Zastanów się. Nie odpisuj mi zdawkowo, już lepiej wcale...”

Zwlekałam z odpowiedzią. Chodziłam sama na długie spacerunki. Siedziałam na zdydlu w pracowni przyglądając się palcom u rąk. W łazience próbowałam gwizdać ulubioną arię operową Krzysztofa o słodkich pocałunkach i cudownym oszołomieniu. Było mi smutno. Samotnie. Określenie „ciężar samotności” nabrało nagle konkretnego sensu. Ciężar przytłaczał, nie chciałam dźwigać go zawsze. Wołałam kłamać, udawać — to wydawało się lepsze.

„Krzysiu, pobierzemy się. Kiedy mnie kochasz, jestem drobna, pulchna, delikatna. Nie kochana robię się wielka, chuda, kanciasta, mam ogromne uszy i nos. Jak miałam trzynaście lat i wszystko wyrosło mi ponad wszelką miarę, chciałam się zbiec w praniu. A teraz chcę być z tobą. Byłam głupia, że od razu tego nie rozumiałam. Kiedy nasz ślub?”

Wesele odbyło się w mojej pracowni, było tłumne, zostało uznane za towarzyski ewenement. W pewnym momencie znalazłam się obok Krzysztofa i usłyszałam, jak mówi do jednego z gości, znanego taternika i żeglarza.

— *Bardzo jestem pobłażliwy dla ludzi, bo sam grzeszny i ponad wszystko cenię tolerancję. Ale z tchórzem nie potrafiłbym się zaprzyjaźnić.*

Odsunęłam się szybko. Nie zaskoczyło mnie to i już zdążyłam się z tym pogodzić. Babka do śmierci dziadka ukrywała przed nim, że ma sztuczną szczękę. Moja wiktoriańska babcia, która uważała, że mężczyźni nie mówią się wszystkiego, nawet jeśli spędziło się z nim całe życie, będzie miała hemingwayowską wnuczkę udającą, że lubi żyć niebezpiecznie.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W oddali rozległ się pomruk grzmotu. Uniosłam głowę i niespokojnie zerknęłam w bok. Krzysztof wyciągnięty na wznak na drugim materacu nawet się nie poruszył.

— Krzysiu...

Cisza. Żadnej reakcji, udaje, że nie dosłyszał. Westchnęłam niezbyt głośno i postanowiłam zachowywać się rozsądnie. Ledwie jednak znów przymknęłam oczy, na wyspie zerwał się wiatr, przepłaszając z drzew liście zrudziałe od sierpniowego upału. Na zieleń mchu padł cień przeciągającej chmury.

— Krzysiu, może byśmy już wrócili?

— Wcześniej jeszcze — dopiero po dłuższej chwili zdobył się na mrukliwą odpowiedź.

— Chyba zaraz pierwsza...

— Daj spokój, daleko do dwunastej.

Wiedziałam, że ma rację. Zawsze umiał dokładnie określić, która jest godzina. Wiedziałam też, że odgaduje mój strach przed burzą, ale nie chce przyjąć go do wiadomości. Znowu zaszeleścił w liściach silniejszy podmuch. Usiadłam na materacu.

— Krzysiek, jest wiatr i będziesz dłużej wiosłował.

— Boisz się, że będzie burza — nie spytał, stwierdził zmęczonym głosem.

— Przecież już grzmi.

— Jeszcze nawet dziś nie pływałem.

— Właśnie. A potem będziesz schnął Bóg wie jak długo — przestraszyłam się nutek hysterii w swoim głosie.

— Jakoś mi się nie chce ruszać.

Tym razem nie zwróciłam uwagi na ostrzejszy niż poprzednio poryw wiatru. Pod opalenizną był blady.

— Boli cię brzuch?

W ciągu pięciu lat naszego małżeństwa dwa razy źle się czułam, w obu wypadkach z powodu dolegliwości żołądkowych. Jadłam dużo i szybko. Lubił jeść, jeśli mu smakowało, pożerał góry i wcale się tego nie wstydził. Zdobył tym sympatię Jadzi, która uznała to za pokrewieństwo z wyboru. Tylko Krzysztof nie miał grama nadwagi. Pozornie niezbyt ruchliwy — wydawało się, że każdą czynność podejmuje dopiero po chwili namysłu — mnóstwo kalorii spalał w sporcie. Grał w tenisa, pływał, wiosłował, jeździł na nartach. Dbał o kondycję. Czasem zarzucałam mu, że nic innego nie robi, tylko dba o kondycję. Bardzo powoli podniósł rękę do góry.

— Nie, brzuch mnie nie boli, chociaż mam wściekłą zgagę. Pali mnie w środku jak diabli i drętwieje mi ramię.

— Które? — chciałam, żeby zabrzmiało to obojętnie.

— Lewe — otworzył już szeroko oczy. Na siatkówce wyraźnie rysowały się czerwone żyłki. Ogarnęła mnie panika.

— To ciśnienie. Mnie zawsze przed burzą boli lewe ramię.

— Bzdura — Krzysztof nigdy nie był niegrzeczny. Nie przeprosił, choć się tego spodziewałam. Dodał tylko mniej ostro: — Zresztą jak uważasz. Możemy już wracać.

Wstawał ciężko i nieporadnie. Schylił się jeszcze po materac i z cichym syknięciem oparł się plecami o drzewo.

— No jak?

— W głowie mi się kręci. Głupstwo, pakujemy się.

Ręce mi drżały, kiedy zbierałam rzeczy, wrzucałam do siatki jego majtki kąpielowe, swoją książkę, krem do opalania, termos od kawy, którą zawsze zabieraliśmy na wyspę dla Krzysztofa, i jabłka, które braliśmy dla mnie. Krzysztof wziął materace, kapoki i zbiegł

pierwszy ścieżką do jeziora, żeby przygotować kajak. Ale zastałam go na brzegu z wyrazem skruchy na twarzy.

— Aniołku, sorry — musisz sama ułożyć materace na dnie. Nie mogę się schylać. I lepiej od razu idź do tyłu.

— Dlaczego?

— Bo z tyłu łatwiej ci będzie utrzymać kierunek.

Chciałam protestować. Przecież nie umiem wiosłować, muszę dbać o ręce, mam delikatną skórę, zaraz zrobią mi się pęcherze. Pomagałam mu dotychczas tylko na niby. Jeśli przez chwilę wiosłowałam sama, kajak tańczył po jeziorze, nawet spokojnym jak lustro. Spojrzałam na wzburzoną wodę i fala mdłości podeszła mi do gardła. Mdłości ze strachu. Znałam to uczucie. Na karuzeli, kiedy byłam małą dziewczynką i wstydziłam się przyznać, że się boję; latem na płocie, przez który przechodziłam, żeby nie okazać się gorsza niż chłopcy z sąsiedztwa. Wtedy jeszcze strach dawał się opanować, potem coraz trudniej. Potem już tylko mydliłam ludziom oczy. Udawałam.

— Krzysiu, nie dam rady.

Nic nie mówiąc zajął moje zwykle miejsce w środku kajaka na przodzie. Poruszał się ostrożnie, jakby był ze szkła, z gniewną miną i z czujnym spojrzeniem. Wiedziałam już, że nie wolno mi się sprzeciwiać. Usiadłam z tyłu i mocno zacisnęłam dłonie na wiosle. Krzysztof wahał się chwilę. Niedługo. Wciągnął wiosło do łodzi. Wyjął deszczułkę stanowiącą oparcie dla pleców wiosłarza i wyciągnął się na dnie. Był dłuższy niż kajak, z trudem się mieścił, musiał lekko podgiąć nogi. Głowę położył na moich kolanach.

— Pamiętaj, prawym silniej.

Zamknął oczy i zostałam sama na kajaku pod burzliwym niebem.

Od wyspy do miejsca na brzegu, gdzie trzymaliśmy kajak i gdzie czekał nasz fiacik, Krzysztof wiosłował zwykle godzinę lub trochę dłużej przy przeciwnym wietrze. Dawno już całą trasę podzieliłam na cztery piętnastominutowe etapy. Najpierw do suchego kija, na którym siadały mewy. Ten etap był stosunkowo spokojny, brzegi jeziora zarastał wysokopienny, chroniący od wiatru las. Potem od kija do mostka nad strumykiem łączącym Wigry z Jeziorem Okrągłym. Tutaj brzegi oddalały się i wodę mąciły wiry. Ale najgorzej było zawsze na trzecim etapie, między mostkiem a bindugą. Na nie zasłoniętą przestrzeń wiatr napędzał fale z dalszych obszarów jeziora i nawet przy bezwietrznej pogodzie kajak kołysał się niepokojąco. Kiedy wiało, musiałam hamować się, żeby nie krzyżeć ze strachu. Krzysztof zwykle zaraz za mostkiem zaczynał śpiewać jakieś piosenki o stepach Ukrainy i dziewczęńskich dąsach. Miało mi to chyba dodawać odwagi, ale nie dodawało, choć wzruszały mnie rzewne tony i dramatyczne losy. Czwartym etapem od bindugi do zatoczki, nad którą parkowaliśmy samochód, też uważałam za niebezpieczny. Uspokajał mnie trochę widok miejsca, do którego wkrótce przybijemy, ale za to roiło się tu od rowerów wodnych z pobliskiego PTTK, więcej niż gdzie indziej pływało tu łodzi i żaglówek, z lęku przed zderzeniem zamierało mi serce, zwłaszcza jeśli na horyzoncie ukazywał się mały turystyczny statek, który bełtał wody jeziora i wprawiał kajak w gwałtowne chybotanie.

— Krzyśku — walczyłam z wiosłem, żeby nadać kajakowi właściwy kierunek — ja się wcale nie posuwam naprzód.

Spróbował podnieść głowę, nie udało mu się, powiedział cicho, ale wyraźnie, powoli cedząc słowa:

— Aniołku, musisz wiosłować. Nie szarp. Uderzaj miarowo w wodę. Dopłyniesz.

Obejrzałam się za siebie. Brzeg wyspy oddalił się o niespełna sto metrów. Na szczęście wiatr jakby uspokoił się, zaświeciło nawet słońce. Żeby jeszcze ten diabelski wynalazek zechciał mnie słuchać. Zanurzyć wiosło głębiej? Płycej? Nadchodzi fala. Niewysoka. Czy przechyli kajak? Może lepiej zwrócić się do niej dziobem? Krzysztof tak by zrobił. Już po fali. O paręset metrów zza załomu wypłynęła żaglówka. Białe żagiel w granatowe pasy.

Ładny na tle szaroniebieskiego nieba. Nieważne. I tak nie usłyszeli by mojego wołania o pomoc. Żaglówka wzburzy jezioro.

A jeśli tamci nie widzą, że nie umiem manewrować? Zderzą się z nami. Nie będę myśleć, dopóki nie wyminę przeszkody.

Wiosło ocierało mi dłonie, ale nie zwalniałam bijąc zapamiętałe w wodę raz z jednej, raz z drugiej strony kajaka.

— Spokojnie, marnujesz wysiłek.

Szept Krzysztofa ścisnął mi serce. Zawsze miałam do niego pretensje, że mówi zbyt głośno. Jakby bał się, że inaczej ludzie go nie wysłuchają. Śmiał się, kiedy mu to zarzucałam. *Muszę mieć jakąś skazę. Nieskazitelni nie zasługują na miłość. Zresztą nie mam silnej osobowości i powinienem jakoś ją utwierdzać. Za to mówię mało! Donośny głos nie był u niego przejawem agresji. Krzysztof nie był agresywny. Gdybyś był królem, nazywałbyś się Krzysztof I Łagodny.* Wtedy jeszcze mnie to rozczulało. Potem ta miękkość budząca uczucia opiekuńcze w innych kobietach irtowała mnie i pobudzała do dokuczliwości.

— Ile minut wiosłuję?

Chciałam przerwać samotność, ale Krzysztof nie odpowiedział. Żaglówka znajdowała się już blisko. Kajak nie skręcał w lewo, choć usilnie pracowałam wiosłem. Jego dziób mierzył prosto w bok żaglówki. Już słyszałam trzask jaki rozlegnie się za chwilę. Żaglówka jest o tyle większa. Głuchy huk, a potem kajak się wywraca. Woda zalewa usta, nos, wwierca się w oczy, dusi, wpycha oddech do płuc. Woda? Strach. Groza.

*Nie, nie pójdę z tobą na wspinaczkę. Mam za dużo wyobraźni". — Ty mały tchórze! — Nie jestem mała i brzydzę się strachem!* Śmiał się. Znał mnie już wtedy. Wiedział że ożenił się z kimś innym, niż myślał. Że Ewa Rucińska, ze swoim wydatnym nosem, lekkim meszkiem nad górną wargą, długimi nogami i ostrym spojrzeniem jaskrawozielonych oczu wygląda jak amazonka, ale jest królikiem i ma króliczą naturę. Ukrywa to starannie, bo wie, że nie należy być królikiem i że bezradna kobietka mająca metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i trzydziesty dziewiąty numer obuwia to postać z farsy. Śmiał się, ale nie wszczynał sprzeczki. Rzadko się spierał. A we mnie zapiekała się złość.

Żaglówka bez trudu skręciła omijając kajak o dobre kilkanaście metrów. Niebo znowu pociemniało, chmura przesłoniła słońce i natychmiast wiatr zmarszczył powierzchnię jeziora. Bolały mnie ramiona, krzyż, marzyłam o zmianie pozycji, ale bałam się ruszyć, zdawało mi się, że Krzysztof drzemie. Kajak nie chciał słuchać zmęczonych rąk. Pewna byłam, że stoi w miejscu, kręci się, ale nie płynie naprzód. Pożałowałam, że nie widzę już żaglówki, samotność na jeziorze była gorsza... Nie zdołam, nie sprostam, zginiemy oboje na środku jeziora, którego bałam się zawsze... Oparłam ręce z wiosłem na krawędzi kajaka. Jezioro wygładziło się. Krzysztof leżał bez ruchu, nastąpiła chwila ciszy. Nie kojącej. Pełnej napięcia.

— Krzysiu — nie oddychał. Serce zaczęło mi bić jak szalone. — Krzysiu! — krzyknęłam niemal.

— Wiosłuj, Aniołku — świat pojaśniał i w tym momencie z wody wynurzył się suchy kij, na którym siedziały dwie mewy. Niezbyt daleko, jeszcze sto, najwyżej sto pięćdziesiąt metrów. Dodało mi to energii.

Będę liczyć uderzenia wiosłem, żadnych myśli. Żadnych obrazów, że wpadamy do wody, próbuję ratować Krzysia, nie umiem pływać, boję się, widzę, jak on tonie, sama chcę umrzeć, nie istnieć, ale nie puszczam kajaka, boję się, trzymam się krawędzi, trzymam się życia, choć nie chcę, nie chcę żyć za wszelką cenę bez Krzysztofa, jakbym go sama zabiła, złożyła w ofierze, opuściła w niebezpieczeństwie, poświęciła, rzuciła na pastwę, żeby ocalić siebie, nie umrzeć, byle nie umrzeć.

Biję gwałtownie wiosłem, przyspieszam bezwiednie, bo w oczach mam nie wodę, która otacza mnie ze wszystkich stron, ale płomienie, syczące płomienie domagające się ofiary, i ja sama z całą świadomością, posłuszna z porażającego strachu podaję im bezbronne ciało

Krzysztofa, który żyje jeszcze i ma szeroko otwarte, pełne cierpienia oczy. Tak to trzeba namalować. Płomienie czerwone i złote, wielkie oczy, czarne, niebieskie, przerażone, mnóstwo oczu, mnóstwo spojrzeń i mała skulona postać gdzieś z boku. Jak na moich wszystkich obrazach. W świetle nieuchronnie skazanym na zagładę malutki człowieczek, nie walczący już. Zrezygnowany. Kupka przestraszonego smutku wśród grozy istnienia.

Mijaliśmy kij. Jedna czwarta drogi. Może jednak dam sobie radę? Mocniejszy podmuch wiatru uderzył mnie w twarz. Kruchy kajak nie stanowił osłony, fale nim huśtały, ściszałam kurczowo wiosło, trzymałam się go, jakby było punktem stałym, niezależnym od bujania kajaka, od którego serce podchodziło mi do gardła. Chciałam uciec od rozpryskujących się o dziób fal, zapomnieć wzmagającym się wietrze. Używałam wszystkich zakłęb, dopiero jak doliczę do stu, będzie mi wolno chwilę odpocząć i rozejrzeć się. Ręce mi mdlały, musiałam sprostać zadaniu, bo wtedy los da się przekupić, uchroni mnie od nieszczęścia — przez całe życie wchodziłam w takie układy z losem, bezsensowne, ale trzeba mu było przecież jakoś zapłacić, że nie miażdżył, że sprzyjał, ba, obsypywał błogosławieństwami. Zdrowie, talent, sukces, Krzysztof, Krzysztof też. *Ewo, licz swoje błogosławieństwa* — mówiła babcia, kiedy czymś się martwiłam.

— Aniołku, dlaczego tak ciemno?

Oblał mnie zimny pot. Z trudem wyprostowałam zeszytywniałe plecy.

— Chmura przesłoniła słońce — usiłowałam zachować spokojny głos, rozpaczliwie modląc się w duszy, żeby nie odkrył kłamstwa. Mroczy mu się w oczach, krew odpłynęła od głowy, zaraz zemdleje, umrze, zanim go dowiozę, zanim będzie można go ocalić.

— Oszczędzaj siłę, Aniołku.

Nazywał mnie Aniołkiem, kiedy był szczególnie czuły. Nie miała to być aluzja do mojej dobroci czy słodyczy, ale o mego wielkiego poprzednika w malarskiej profesji. Po trzydziestu dniach, dwudziestu czterech spacerach, dziesięciu wspólnych kolacjach, pięciu razem obejrzanych filmach i dwóch przedstawieniach teatralnych od spotkania na wystawie zaproponował po raz pierwszy, żebyśmy się pobrali. Zupełnie szczerze zapytałam, po co? Przecież tak jest dobrze.

— *Może byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy razem mieszały?*

— *I zaglądałbyś mi przez ramię podczas malowania?*

— *Przepraszam, zapomniałem, że nie mam do czynienia ze zwykłą kobietą, ale z odmianą Michała Anioła.*

Nie nalegał dłużej, nie sprawiał wrażenia szczególnie zrozpaczonego. Sama byłam w rozterce. Wierzyłam, że mu na mnie zależy, ale wiedziałam, że nie zna mnie prawdziwej.

Umiałam tworzyć pozory, ćwiczyłam się w tym niemal od dzieciństwa. Trawiona nieustannym pragnieniem aprobaty, podobania się, zaglądałam ludziom w oczy, starałam się być taką, jaką mnie chcieli widzieć, najpierw babcia, rodzice, potem wszyscy inni. Uciekałam od siebie, wcielałam się w koleżanki, kolegów nawet, w ludzi, których świat traktował lepiej niż mnie i którzy umieli nie bać się świata. Wystarczyło wypiąć pierś, wydać wargi, wybijać mocno krok, nie patrząc na boki i już byłam Januszem, czułam jak Janusz, myślałam ja/c Janusz. Nie zostałam aktorką ze strachu przed odkryciem, że nie istnieję naprawdę, jestem tylko antologią cudzych biografii. Ale obraną rolę odgrywałam jak wytrawną aktorka. Męczyło mnie to. Prócz Jadzi z nikim nie przyjaźniłam się, narażałam się na zarzut wyniosłości. Mówiona ze owszem, można na mnie polegać, mam swoje zalety, ale jestem sztuczna, konwencjonalna; nikt jednak nie podejrzewał mnie o tchórzostwo, nikogo nie wpuszczałam do Piwnic swojej osobowości, pokrytych pajęczyną wstydlivych fobii i strachów.

Owej jesieni po raz pierwszy w życiu nie byłam całkiem pewna, czy nie mam ochoty wpuścić tam tego wielkoluda o spokojnych oczach, w których łatwo było zapalić błyski

rozbawienia. Może się przy nim zmienię? Będę taka, jaka jestem naprawdę, i on taką pokocha? Z prawdziwymi wadami, a nie z udalbyś zaletami?

Kij został daleko z tyłu. Koniec drugiego etapu wyznaczał mostek, który widać już było przed nami po prawej stronie. Potem popłynę do bindugi. Żeby tylko ją minąć. Czy wtedy uwierzę w szansę ocalenia? Zawsze w tym najszerszym miejscu jeziora brałam się do wiosł, żeby pomóc Krzysztofowi i jak najszybciej przebyć ten odcinek.

Nawet w najspokojniejsze dni woda była tu lekko wzburzona, kajak kołysał się, zwłaszcza jeśli wiał przeciwny wiatr. Teraz wiatr szedł z boku, fala biła o kajak, każdy przechył zapierał mi oddech. Nie boję się śmierci, boję się długiego, bezradnego umierania. Woda była ciemnozielona, głębia pod kajakiem odbierała nadzieję, czułam już, że mnie lada chwila wchłonie, obca i gniewna, dławiałam się, chciałam krzyknąć, wzywać pomocy, ale pomoc nie mogła nadejść, już nie powietrzem oddychałam — wodą, rozsadzającą gardło, miażdżącą płuca.

Opanowałam się. Często umierałam w tym właśnie miejscu, parę razy nie zdołałam nawet ukryć przed Krzysztofem, że czuję się nieswojo, choć zawsze opatrywałam to w cudzysłów autoironii: Krzysieńku, przyspiesz, mam dziś skłonności do morskiej choroby, a tutaj szczególnie kołysze — wyrażałam się starannie, używałam stylu babci, która nauczyła mnie, że strach hańbi.

— Aniołku, nie masz morskiej choroby? — głos Krzysztofa był jakby raźniejszy.

— Ależ skąd — udało mi się powiedzieć to całkiem zwyczajnie.

— Jak ci leci?

— Znakomicie. To łatwiejsze, niż myślałam. Cofam podziw dla twoich męskich wyczynów. — Dowcip upadł na płask. — Jak się czujesz?

— Lepiej chyba.

Od ulgi, jakiej doznałam, przestały mnie boleć ramiona. Jakby stoczył się z nich przytłaczający ciężar. Może to nie zawał? Bo właściwie dlaczego? Krzysztof, uosobienie zdrowia. Świetna kondycja, higieniczny tryb życia. Zawsze pogodny, niczym się nie przejmuje. Ale jeśli nie zawał, to co?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Fala biła o ścianki kajaka i woda przelewała się przez burtę. Na materacu pod moimi nogami zebrały się już niewielkie kałuże. Czy łódź wytrzyma dodatkowe obciążenie? Krzysztofowi jest chyba mokro. Będzie burza. Pójdziemy na dno.

Niebo zasnuło się chmurami i zrobiło się wręcz chłodno. Nie wiedziałam, czy dygocę z zimna, czy ze strachu. Moje dłonie, zaciśnięte na wiosła, były sine. Kajak na spienionym jeziorze, przy silnym bocznym wietrze tańczył na fali, jak sam chciał, i w żaden sposób nie umiałam mu nadać właściwego kierunku. Płynęliśmy na przełaj, choć usiłowałam trzymać się bliżej brzegu, widok ziemi nie opodal dawał mi złudne poczucie bezpieczeństwa. Wcale nie byłam pewna, czy posuwam się naprzód, kajak kręcił się w kółko, cofał się nawet, kepa drzew na cyplu nie zmieniała położenia. Ramiona mi drętwiały, każde spiętrzenie fali podchodziło do gardła mdłościami strachu, znów widziałam dokładnie, jak kajak wywraca się, Krzysztof instynktownie zaczyna płynąć, ale nie może mi pomóc, sam jest za słaby, idzie na dno, a ja też tonę, tonę, zalewa mnie woda, jestem przytomna, wiem, że już to kiedyś przeżywałam, nie, nie przeżywałam, umierałam. Porywy wiatru wzmogły się. Brakło mi już sił. Chciałam nie mieć ich wcale, żeby wszystko stało się obojętne. *Wyczerpana czekała na śmierć wyzwolicielkę.* Nieprawda, nie czekam, nie na wyzwolicielkę, nie wiem, skąd ten cytat, głupi, skłamany. *Żyję się krótko, a nie żyje tak bardzo długo.* Nie tylko umierania się boję, śmierci też. Śmierci Krzysztofa, umierania razem z Krzysztofem. Prysnęła na niego chyba woda z wysokiej fali, bo poruszył się i jęknął.

— Krzysiu, boli cię?

— Jakbym leciał w przepaść...

Ratunku!

— Spróbuj oddychać głęboko — rada była śmieszna, ale sytuacja, w której można udzielać rad, przestaje być ostateczna.

Nie odpowiedział. Nie mogłam oderwać dłoni od wiosła. Dotknąć jego czoła. Widziałam na swoich kolanach jego bladą twarz, cień od rzęs na policzkach poźółkłych i zapadniętych. Oddychał ciężko, chrapliwie, było to lepsze niż cisza, wiedziałam, że żyje, że serce nie przestało jeszcze bić, ale czułam, jak cierpi, jak odchodzi ode mnie, zagłębia się we własnym bólu. Trzeba wezwać pomocy. Mąciło mi się w głowie. Daleko za zakrętem zabielił się stateczek. Wzburzy wodę, tego na pewno nie wytrzymam, ani ja, ani kajak, wszystko jedno, nie miałam sił na nowe lęki. Chciałam tylko jednego, przyspieszyć czas, z przeżycia uczynić wspomnienie. Wstecz nic nie jest groźne, z przeszłością zawsze można sobie poradzić. Wiosłowałam nadal automatycznie, nie zważając na ból w piersiach i otarte dłonie. Tępe, beznadziejne zmęczenie zastąpiło niepokój, serce nie tłukło się już jak oszalałe. Krzysztof znowu jęknął. Ogarnęła mnie obezwładniająca rozpacz. Nieważne było, że kajak przechyla się niebezpiecznie, że już nie mogę go wyrównać, ustawić naprzeciw wiatru. Nie warto było wołać o pomoc. Byłam sama. I tylko ja istniałam naprawdę, poza mną nie było nikogo. Jak na moich obrazach, gdzie świat chmur, roślino-zwierząt, okrutnych kształtów, przerażających barw piętrzy się wokół samotnego, żałosnego człowieka.

\* \* \*

Malowałam zawsze w samotności, pracownię wolałam zamykać na klucz. Po wyjściu z niej długo i starannie myłam ręce, wcierałam krem w dłonie, masowałam palce. Znalazłszy się z Krzysztofem pierwszy raz w kajaku od razu oświadczyłam:

— *Nie będę wiosłować, kochanie, szkoda rąk, jeszcze sobie pęcherze porobię.*

Śmiałam się, kiedy całował każdy palec po kolei.

— *Jasne, ja ciebie i tak wszędzie dowiozę. Zwłaszcza jeśli przedtem mnie nakarmisz.*

Śmiałam się często podczas tych pierwszych wakacji po ślubie. Też nad Wigrami, ale w innym miejscu. W namiocie z własną kuchenką na gazowej butli. Przymierzaliśmy się do siebie. Uwielbiałam kulinarne eksperymenty, od razu przestawałam troszczyć się o dłonie, które po seansie na kuchence były poparzone i pokiereszowane, jak po całej serii pojedynków. Uszcześliwiały mnie zachwyty Krzysztofa.

— *Jak to dobrze ożenić się z kobietą twórczą. To nie są potrawy, to są dzieła sztuki.*

— *Wolisz je niż moje obrazy?*

Natychmiast spoważniał.

— *Twoich obrazów trochę się boję.*

— *Dobrze, że nie potraw.*

Nigdy w życiu nie było mi tak wesoło. Bawił mnie jego gargantuiczny apetyt, nie skrywane łakomstwo. Nazywałam go szarańczą, tak starannie i dokumentnie wyprzątał resztki, nawet jeśli chowałam je, żeby nowo nabytymi umiejętnościami pochwalić się przed znajomymi.

Czy rzeczywiście tak kiedyś było? Czy prawdą było tamto szczęśliwe życie, czy tylko ta skłębiona woda, niebo mroczniejące od burzowych chmur, śmierć, od której dzielą nas tylko moje ręce, silne, duże dłonie malarki, omdlewające pod ciężarem leciutkiego kajakowego wiosła. Może śni mi się Krzysztof nieruchomy na dnie kajaka, samotność dzwoniąca ciszą w uszach, choć woda pluszcze, niebo mrczy, wiatr szumi w pobliskim sitowiu, świszczy oddech Krzysztofa. Sny nie są pedantyczne, mogą straszyć jednocześnie ciszą i hałasem, pustką i posepnym tłumem. Koszmary senne można oswoić, rozrzedzić. Tego koszmaru nie potrafię oswoić. Wiem, że tak już będzie zawsze, że koniec życia to mozolna męka, wysiłek ramion, ból pleców, zamieranie myśli.

— *Ewka...*

Drgnęłam zdumiona. Jakbym naprawdę nie spodziewała się już nigdy usłyszeć jego głosu.

— *Ciemno...*

— *Zachmurzyło się. Będzie deszcz. Ale nie martw się, kochany, już niedaleko. Zaraz dobijemy do brzegu.*

— *Zostawisz mnie tam i pobiegiesz po pomoc?*

— *Sama cię zawiozę.*

Wyprostowałam plecy, mocniej ujęłam wiosło. Zakręt zbliżał się, koło bindugi będzie najgorzej. Z pociemniałego nieba spadły pierwsze krople deszczu. Nigdy jeszcze nie było tak pusto na jeziorze. Tylko stadko perkozów szukało w pobliskich trzcinach schronienia przed wzmagającym się deszczem. Dobrze, że nie grzmi. Jak długo wiosłuję? Płynęliśmy już wzdłuż bindugi, tu najciężiej było utrzymać kierunek. A przecież posuwaliśmy się naprzód chyba szybciej, nabrałam pewności ręki, tylko wiosło ważyło coraz więcej, słyszałam własny urywany oddech. Sapię jak miech kowalski. Przyziemny odgłos uzwyczajnił sytuację, dodał mi odwagi. Ale do zatoczki było jeszcze daleko, kajak dryfował, nie starczało mi sił, żeby pchać go przeciw wirom, w jakie wiatr kłębił fale jeziora. Nikt dziś nie łowił ryb, nad nami kołowała rybitwa. Jezioro brązowało, straszło zieloną głębią, szary deszcz ostro odcinał się od tafli z ciemnego mosiądzu. Jaką bym zrobiła na to farbę? Burą, opalizującą czernią, nasyconą metalicznym złotem. Jak; uzyskać taki kolor? Każdą czynność zawsze skracało myślenie o sprawach zawodowych. Wystarczyło zastanowić się nad formatem płótna, rodzajem pędzla, farbami, a już: przyspieszałam kroku na ulicy, wbiegałam pędem na czwarte piętro w domu rodziców, dziwiłam się, że naczynia, do których mycia dopiero się zabrałam, już umyte suszą się na suszarce. Teraz nic to nie pomogło. Myśląc o obrazie nie potrafiłam zapomnieć o zmęczeniu, o wodzie, o Krzysztofie. „Wcale już się nie boję — powiedziałam chyba na głos. — Nie bije mi ze strachu serce. Jestem zmęczona i martwię się o Krzyśka.”

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wiosło uderzało w wodę mocno i rytmicznie. W głowie mi pojaśniało, myśli przestały się kłębić. Do zatoczki było nie więcej niż dwieście metrów. Jeszcze parę minut. Kajak nie jest już wrogiem, nie utonie, choć pełno w nim wody. Zaraz dobieję do brzegu. Ale co potem? Czy potrafię sama wyciągnąć Krzysztofa? Kiedy zaczęło padać, szepnął „dziękuję”, pierwsze krople deszczu przyniosły mu ulgę, teraz jednak znowu leżał bez ruchu, oddychając chrapliwie. Nieprzytomny, bezradny, zdany tylko na mnie. Ulewa nasilała się, strumienie deszczu spływały mi po plecach. Muszę go jakoś wynieść na ląd. Staralam się myśleć precyzyjnie, nie obrazami, lecz całymi zdaniami. Muszę go wydobyć z kajaka, dowlec jakoś do samochodu; usadowić na tylnym siedzeniu. Muszę poprowadzić wóz, choć nie będzie to równa droga, ale idąca pod górę ścieżka wśród drzew, grząska i śliska. Najpierw go uruchomię. Zapalę stacyjkę, nie, wpierw zwolnię hamulec, po zapaleniu stacyjki wcisnę sprzęgło, włączę pierwszy bieg, dam trochę gazu; na pierwszym biegu podjadę pod górę do szosy. Widziałam siebie za kierownicą, jakby jezioro już nie stanowiło problemu. Zalesiony cypel zbliżał się, nawet przez gęstą ścianę deszczu przezierają drzewa na brzegu. Krzysztof łatwo by dopłynął, gdyby był przytomny. Ale nie jest. Jeszcze kilkadziesiąt uderzeń wiosłem. Kajak stał się bezpiecznym domem, woda przestała być groźna. Zalewało mi oczy. Już sitowie, już jesteśmy na płyciźnie. Odłożyłam wiosło, odgarnęłam z czoła mokre włosy.

— Krzysiu...

Poruszył się.

— Zaraz przybijemy. Będziesz miał dość siły, żeby wysiąść z kajaka? Boję się, że cię nie udźwignę.

Otworzył oczy i przez chwilę walczył z sobą, by wreszcie wydobyć z gardła świszczący szept:

— Jesteś bardzo dzielna...

Nie zdążyłam przestraszyć się wysiłku, z jakim zdobył się na te parę słów. Kajak przybijał do brzegu. Pewnym ruchem wiosła skierowałam go do małego wgłębienia, naturalnej zatoczki wśród przybrzeżnego sitowia. Na ostatnich paru metrach woda była płytka, spód kajaka otarł się o kamieniste dno i jego dziób zarył się w szlamisty brzeg. Nie wahałam się ani chwili. Odłożyłam wiosło, ostrożnie zdjęłam z kolan głowę Krzysztofa i czepiając się sitowia stanęłam w jeziorze. Woda dochodziła mi do pasa. Krzysztof zawsze wyciągał kajak głęboko na ląd, żeby nie zniosła go silniejsza fala. Wiedziałam, że nie mam na to dość sił, brzeg nie był tu całkiem płaski, od razu wznosił się lekko pod górę. Chciałam tylko przywiązać kajak do wiszącego nad wodą konaru nadbrzeżnej topoli, wyprowadzić Krzysztofa i jakoś zaciągnąć go do samochodu, zaparkowanego o niespełna dziesięć metrów. Już stojąc w wodzie roztarłam ramiona jak po długim malowaniu, poruszyłam palcami obu dłoni i dopiero wtedy pochyliłam się nad mężem.

— Spróbuję cię podnieść.

— Sprowadź pomoc.

— Nie mogę — mówiłam wyraźnie i stanowczo. — Nie potrafię wyciągnąć kajaka na brzeg. Jest w nim mnóstwo wody, jeśli go zostawię na fali, wywróci się razem z tobą. Musisz wstać.

— Tak.

Dźwignął głowę i bezsilnie znów opadł na dno kajaka. Zdecydowanym ruchem podsunęłam pod jego plecy mokre ramię.

— Złap mnie za szyję, pomogę ci.



Powoli, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie, podniósł do góry najpierw prawą rękę, potem lewą i spróbował się podźwignąć na prawym łokciu. Kajak zachybotał niebezpiecznie.

— Oprzyj się o mnie mocno. Bądź spokojny, nie przewrócisz się.

Nie czułam kamieni wrzynających się w stopy, nie bałam się wiatru ani fali bijącej prosto w piersi. Zarzuciłam sobie na szyję jego prawą rękę i z trudem uniosłam go do pozycji siedzącej. Dysząc ciężko z wysiłku odpoczywałam, nie zważając na strugi deszczu zalewające mi oczy. Nie miałam pojęcia, co dalej robić. Gdzieś tam kołatało we mnie tępe przeświadczenie, że nie warto się męczyć, sama stąd nie odejdę, a Krzysztofa nie uniosę, zginiemy oboje, nawet rozpaczać nie miałam już siły. Rozhuśtany kajak ugodził mnie mocno w biodro. Niespodziewany ból dodał mi energii.

— Krzysztof, pomóż mi, sama nie dam rady.

Nie odpowiedział, ale puścił mnie, ostrożnie podgiął nogi, odwrócił się i mozolnie dźwignął na czworaki. Teraz już tylko trzymałam ze wszystkich sił kajak. Krzysztof oparł się ciężko o burtę, dłoń mu się obsunęła, głowa znowu opadła, ale raz jeszcze poderwał się i niesłychanie wolno, sapiąc głośno, przeniósł rękę z burty na moje zgięte plecy. Zatoczyłam się pod jego ciężarem, ale natychmiast objęłam go w pasie ramionami i wpółciągnąc wydobyłam z kajaka, który rozkołysany, pełen wody, wywrócił się do góry dnem. Oboje staliśmy teraz w jeziorze, zanurzeni po piersi, pod zacinającym deszczem. Krzysztof trząsał się z zimna, czułam, że uginają się pod nim kolana. Nie potrafiłam sobie nigdy potem uświadomić, w jaki sposób zamroczona, potykając się i rozpaczliwie łapiąc oddech, wyprowadziłam go na brzeg. Przewróciliśmy się oboje już na ziemi, rozmięklej i błotnistej. Mój umysł, jakby opadła z niego mgła, pracował sprawnie układając plan kampanii. Najpierw muszę usadowić Krzysztofa w samochodzie. Nie będzie to łatwe. Trzeba wstać, zostawić go tu, otworzyć drzwiczki. Nie zemdlał chyba, poruszył się i cicho jęknął. Ocknęłam się raptownie i od razu poderwałam na równe nogi, wyszarpnąwszy ramię spod jego głowy. Kluczyki od samochodu Krzysztof wkładał zawsze do brezentowej torby, którą umieszczał w dziobie kajaka. Następne kilka minut miały pozostać mi w pamięci jako najgorsze momenty życia. Otepienie przeszło, jasno zdawałam sobie sprawę ze wszystkiego i zaciskając zęby z desperacką determinacją powzięłam decyzję. Ta droga była zwykle pusta, a teraz w południe, podczas ulewy, nie było żadnej szansy, żeby ktokolwiek tędy przechodził lub przejeżdżał. Zostawić Krzysztofa na ziemi nie mogłam. Słyszałam, jak charczę i krztusi się, kiedy w półotwarte usta wlewa mu się deszcz. W każdym razie muszę przenieść go do wozu. Leżenie w kałuży narazi go na pewną śmierć, chociażby z zapalenia płuc, na pewno przy zawale niezwykle groźnego.

Nie wzdrygnęłam się nawet, wchodząc znowu do wody. Kajak telepał się jeszcze na sznurze, naprężonym przez wiatr tak, jakby lada chwila miał pęknąć. Nie opodał pływały kapoki. Jeden materac zaczepił się o przybrzeżne sitowie. Brezentowej torby nie było widać. Albo od razu poszła na dno, albo pchnięta głęboko w dziób wcale nie wypadła. Fala podcinała mi kolana. Bok kajaka, uniesiony z trudem o parę centymetrów nad powierzchnię wody, z głośnym pluskiem wyśliznął mi się z dłoni. Oślepiąca deszczem, zgięta wpół, jedną ręką sięgnęłam od spodu do dziobu i po omacku usiłowałam natrafić palcami na torbę. Zdawało mi się, że jej dotykam, pochyliłam się niżej i gwałtowne uderzenie fali zaparło mi dech w piersiach. Nie wolno mi się spieszyć. Nie wolno mi marnotrawić sił. Wparta mocno stopami w dno jeziora rozhuśtałam kajak i niespodziewanie łatwo odwróciłam do normalnej pozycji. Torba była w dziobie. Uczępiona rzemykiem o kratkę na spodzie kajaka, nie wypadła, kiedy się wywrócił. Drżącymi z nadmiernego wysiłku palcami wyciągnęłam z niej kluczyki i przewiesiłam ją sobie przez ramię.

Myślałam teraz jasno i precyzyjnie, ale umiałam skupić się tylko na jednej czynności, na tym, co mam zrobić natychmiast, jakby czas stawał za każdym razem i jakby mój umysł

odrzuć przeszłość i sprostać mógł tylko chwili obecnej. Nie zastanawiałam się, co potem. Wiedziałam tylko, że mam otworzyć drzwiczki samochodu, zaciągnąć Krzysztofa i usadowić go na tylnym siedzeniu. Muszę się śpieszyć, bo Krzysztof nie może dłużej moknąć. I muszę załatwić to sama, nikt mi nie pomoże, bo nikogo nie ma. Tylko ja jedna mogę go uratować. Nachyliłam się nad nim. Rzezi? Nie, oddychał chrapliwie i woda bulgotała mu w przełyku. Postawiłam go na nogi z mniejszym wysiłkiem, niż się spodziewałam. Jakby był dosyć przytomny, żeby współdziałać. Nie rozumiał jednak, o co mi chodzi, kiedy trzymając go wpół błagałam, by zarzucił mi ręce nu szyję, bo inaczej nie zdołam go zaciągnąć do wozu. Okazało się zresztą, że tak jest lepiej. Był o tyle ode mnie wyższy, bezwładne ciało było cięższe, niż sobie wyobrażałam, przez najdłuższe dziesięć metrów w moim życiu wlokłam je po ziemi jak walizkę, której nie można udźwignąć. Na szczęście, kiedy gorączkowo zastanawiałam się, jak przepchnąć go przez otwarte drzwiczki fiata, ocknął się. Oparty mocno na moich barkach podniósł nogę, ostrożnie, jak obcy przedmiot, ręką złapał za uchwyt w środku wozu i bokiem, niezdarnie opadł na tylne siedzenie. Usadowiłam go wygodniej, suchym wełnianym sweterkiem, który leżał pod szybą, przetarłam mu twarz. Wymamrotał coś, ale oczy miał znowu zamknięte i ciemne bruzdy przy nosie i ustach.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że przestał charczeć, oddycha równiej. Nagła ulga omal nie pozbawiła mnie determinacji, z jaką pokonywałam trudności. Ale wzięłam się w garść. Potem sobie popłaczę. Teraz żadnych rozczuleń, ani nad sobą, ani nad nim. I żadnego przedwczesnego dziękowania Bogu. Odrzuciłam wszystkie inne myśli, wiedziałam tylko, że mam usiąść za kierownicą i nie dopuścić, żeby zemdlilo mnie ze strachu; że mam być panią maszyny, choć wciskając sprzęgło uruchomię tajemnicze siły, które na pewno nie będą mi posłuszne. Mechanicznie powtarzałam wyuczoną niegdyś lekcję, dyktując samej sobie, co mam robić. Sprawdzę, czy wóz jest na luzie, przekręcę kluczyk w stacyjce, puszcę ręczny hamulec, wcisnę sprzęgło, włączę pierwszy bieg, dodam gazu, kiedy ruszy, po paru metrach... Nie, o tym, co ma być po paru metrach, nie będę na razie myśleć.

Krzysztof na szczęście ustawił malucha przodem do drogi, która biegła nie opodal przez zboczę, niezbyt w tym właśnie miejscu strome. Puściłam hamulec, nie za szybko, żeby samochód nie stoczył się do tyłu. Udany manewr dodał mi otuchy. Skupiona, niepomna na nic, uważnie wpatrując się w szybę, za którą wycieraczki odgarniały zaslonę deszczu, wyjechałam na drogę prowadzącą do głównej szosy, przy której znajdował się pensjonat pani Staszkiwiczowej. Wycieraczki nie nadążały, deszcz zalewał szyby, nie wiedziałam, czy nie należy zapalić świateł, ale nie śmiałam oderwać rąk od kierownicy. Niespełna kilometr tej drogi Krzysztof przejeżdżał w minutę lub dwie, a potem sześciokilometrowy odcinek szosy w pięć minut, a nawet szybciej, jeśli byliśmy spóźnieni na obiad. Powinam dojechać, dajmy na to, w kwadrans. Jeszcze jeden egzamin. Egzaminy umiem zdawać, byle nie trwały za długo. Wokół pojaśniało, domyśliłam się, że przede mną jest szosa. Mam skrócić w lewo. Przypomniałam sobie o kierunkowskazie, już kiedy wóz toczył się po asfalcie. Na szczęście nic nie jechało, wyteżałam oczy, żeby cokolwiek dojrzeć przez zamazaną szybę. Asfalt był mokry, zląkłam się, że wpadam w poślizg, i zacisnęłam dłonie na kierownicy, ale natychmiast rozluźniłam uchwyt, odprężyłam się, usiadłam wygodniej i ostrożnie dodałam gazu, żeby włączyć drugi bieg. Najgorsze miałam za sobą. Szosa szła tu łagodnie pod górę, drzewa rosły daleko, za płytkimi rowami po obu stronach.

Napięcie zelzało, świat zewnętrzny znów zaczął istnieć, słyszałam dudnienie kropel na masce wozu, dostrzegałam zarysy przydrożnych domów. W lusterku widziałam tylko sam czubek głowy Krzysztofa. Osunął się? Na łące po prawej stronie kary koń tanecznym krokiem zdążył w stronę niewielkiego zagajnika. Deszcz zmniejszył się, osłabł impet wiatru. Wiedziałam już, że dojadę, że samochód jest mi posłuszny, ręce na kierownicy nie drżą i nie zaciskają się bez sensu.

— Krzysiu... — Nie odpowiedział.

Przyspieszyłam i maluch podskoczył na wyboju. Widać już było pierwsze domy głównej ulicy wsi, zaraz po lewej stronie wyłoni się parkan ogradzający rozległą posiadłość pani Staszkiwiczowej. To ja zawsze wysiadałam, żeby otworzyć na oścież bramę, a Krzysztof czekał w wozie. Teraz też będzie czekał. Staralam się przez szum deszczu i silnika dosłyszeć jego oddech, ale zachowywał się cicho. Zbyt cicho. Ogarnął mnie popłoch. Może zemdłał? Powinnam stanąć, cucić. Nie będę teraz o tym myśleć. Muszę dojechać, nie wpaść w poślizg, nie rozbić się o drzewo. Tam otoczą mnie ludzie, mądrzy, energiczni. Nie będę tego dźwigać wyłącznie na własnych barkach. Bramka okazała się szczęśliwie otwarta i skręciłam w nią pod ostrym kątem, nie pozwalając sobie na obawę, że błotnikiem zawadzę o słupek. Zahamowałam przed werandą, gdzie jak zwykle w deszczowy dzień grano w brydża. Wysiadając poczułam zapach przesycony wilgocią liści, zdążyłam ogarnąć spojrzeniem zdumione twarze, otwarte do krzyku usta Jadwigi, wybałuszone oczy inżyniera Maniewicza. Jeszcze nie odezwałam się, a już biegli ku mnie wszyscy, przejęci, życzliwi, spieszący z pomocą. Stałam, w mokrym kostiumie kąpielowym, ociekająca wodą, i szczekałam zębami z zimna i zdenerwowania, niezdolna wydobyć głosu. Ale nie było to potrzebne. Doktor Wiśniewski spokojnie i kompetentnie objął kierownictwo. Kazał mężczyznom na zaimprovizowanych noszach z materaca przenieść Krzysztofa do pokoju, a mnie surowo nakazał wytrzeć się szorstkim ręcznikiem i włożyć na siebie coś ciepłego.

— Bardzo ciepłego. I proszę napić się gorącej herbaty z wódką. Nie może pani teraz się pochorować.

Potulnie sięgnęłam po ręcznik nie śmiąc pytać, co właściwie jest Krzysztofowi. Pan doktor złagodniał.

— Po męża zaraz przyjedzie karetka. Zawiozę go do Suwałk.

— Czy...

— Czy będzie żył? — wzruszył ramionami. — Bo ja wiem? Nie mam zamiaru zdawkowo pocieszać kobiety tak dzielnej jak pani.

Zbielały mi usta.

Nie jestem dzielna. Chcę pociechy. Nie powiedziałam tego na głos. Czy można cudzej śmierci bać się bardziej niż własnej?

Nigdy już nie będę taka jak przedtem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Krzysztof nie miał zawału. Atak trzustki, podrażnienie otrzewnej — lekarz ze szpitala w Suwałkach tłumaczył niejasno, zresztą nie mnie, ale Jadwidze, która przejęła na siebie wszystkie rozmowy z lekarzami i pielęgniarkami. Jeszcze ciągle chodziłam zamroczone, nie chciałam o niczym myśleć, z irytacją odrzuciłam propozycję Jadzi, że pojedzie ze mną do Warszawy, a Lutek zaopiekuje się Krzysztofem po wyjściu ze szpitala i przywiezie go naszym samochodem za parę dni, kiedy się nieco wzmocni.

— Lutek mówi, że Krzysztof powinien tu trochę zostać, żeby przyjść do siebie.

— Toteż z nim zostanę:

— Przecież już nie masz czasu. Wiesz dobrze, że musisz malować. Nie zdążysz na wystawę.

— Nie zostawię go samego.

Zdawało mi się, że nie po raz pierwszy toczę tę rozmowę, jakbym wszystko przeżywała po raz wtóry.

Nadal żyłam w nierealnym świecie. Jadłam, co podawano, brałam proszki nasenne, żeby spać w nocy, rozmawiałam z ludźmi nie bardzo wiedząc, o czym mówimy. Tylko samochód prowadziłam z jasnym umysłem, spokojna i skupiona. Już wiedziałam, że maszyna mnie słucha.

Jadwiga była markotna, rozdrażniona, łatwo wpadała w gniew, ale mnie otaczała kwoczą opieką. Uparła się, żeby przejąć organizację powrotu do Warszawy.

— Przecież on nie może prowadzić wozu. Nie wiem nawet, kiedy pozwoli mu jechać.

— Jeśli nie pozwoli, to poczekamy. A prowadzić będę sama.

— Ty? — tak chyba patrzyli na Łazarza jego znajomi po niespodziewanym zmartwychwstaniu.

Moje wyprawy samochodowe uszły jej uwagi, a mnie nie chciało się tłumaczyć, że moje dawne zwierzenia są nieaktualne. Może je wyrzucić, nie nadają się do użytku. Zmieniłam się. Umiem prowadzić wóz. Nie wiem natomiast, czy umiem malować.

Ostatecznie pojechaliśmy w dwa samochody. Lutek jako kierowca ze mną i Krzysiem, który czuł się jakoby całkiem dobrze, ale jeszcze wolał leżeć, niż siedzieć. Zadowolona byłam z tego układu. Przez ostatnie nielekkie dla mnie dni moja przyjaciółka nieznośnie mnie irytowała. Chodziła posepna jak chmura gradowa, jakby poczuwała się do obowiązku celebrowania żałoby, wtrącała się do wszystkiego, bez przerwy o coś mnie pytała, ale nie słuchała odpowiedzi. Była roztargniona, nawet nie zorientowała się, że sama jeżdżę do szpitala. Na zmianę zadreśla mnie troskliwością lub obrażała się o byle co. Chciała wszystkim rządzić, wszystko poprawiać. Po prostu miała pretensje, że nie dostała głównej roli w rozgrywanej sztuce.

Z Lutkiem podróż przeszła spokojnie. Rozmawialiśmy niewiele — Krzysztof kłopotał się, że nie będzie mógł mi w niczym pomóc, lekarz kazał mu jeszcze przez co najmniej tydzień leżeć. Ja przeżuwałam swoje niezbyt wesołe myśli, przysięgałam sobie, że już nie będę jędzą, przestanę mu dokuczać. Lutek zachowywał się jak Dobra Pani. Pocieszał Krzysztofa, że na pewno płótno jest w porządku, przyrzekał, że pomoże przy pakowaniu wystawy — wybierali się z Jadzią też do Paryża, mniej więcej w tym samym czasie co my. W ogóle był miłszy niż zawsze i pierwszy raz w pełni zrozumiałam, dlaczego Jadzi tak na nim zależy. Dotychczas uważałam, że jest porządny, ale nudny i belferski, i że wyszła za niego za mąż trochę na złość pierwszemu mężowi, a przede wszystkim dlatego, że status mężatki odpowiadał jej bardziej niż status kobiety porzuconej. Czy ja też rozglądałabym się za nowym mężem, gdyby Krzysztof mnie porzucił? Odwróciłam się do Krzysztofa, który wygodnie pólleżał na tylnym

siedzeniu. Chciałam się do niego uśmiechnąć, ale miał zamknięte oczy i bladą, zbolaną twarz. Lutek podchwycił w lusterku moje spojrzenie.

— Pamiętaj, masz go zaraz położyć do łóżka. Przez pierwsze parę dni nie wolno mu nawet po mieszkaniu chodzić.

— Przecież to nie był zawał.

Lutek wzruszył ramionami. Wiedziałam, że jego zdaniem — podkreślił to parę razy — był to jednak zawał. Lekarz coś kręci, szpital był przepelniony, może woleli go szybciej wypchnąć, zresztą teraz po zawałach wypuszczają już po dziesięciu dniach. Doktor Wiśniewski od początku postawił taką diagnozę. Jest co prawda chirurgiem, ale zna się przecież na chorobach serca.

— Bardzo pobieżnie go zbadał.

— Wszystko jedno. Ten kardiolog w szpitalu nie chciał cię straszyć. Ale przecież kazał Krzysztofowi zrobić w Warszawie kontrolne badania.

Krzysztof drzemał chyba, bo nie wtrącał się do naszej rozmowy, i niemal do samej Warszawy jechaliśmy w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach.

Lutek okazał się niezwykle troskliwy. Wniósł na górę nasze rzeczy i podczas gdy oboje z Krzysztofem niesłuchanie, wolno wdrapywaliśmy się na czwarte piętro, zdążył otworzyć okna i nawet chciał rozesać tapczan, ale na to już nie pozwoliłam. Pożegnaliśmy się serdecznie — Lutek skrócił przez nas urlop i teraz miał zamiar wykorzystać resztę wolnych dni i pojechać na aukcję bibliofilską do Poznania. Martwił się, że nie jestem w dobrej formie i straciłam tyle czasu.

— Gdybym pojechała na spływ i tak bym wcześniej nie wróciła — rozmawialiśmy w pokoju Krzysztofa, który poszedł do łazienki.

— Zdaszysz?

— Zdam. Jutro zaczynam.

Rozjaśnił się.

— Jeśli to płótno rzeczywiście jest spaprane, zadzwoń, jeszcze dzisiaj zagruntuję ci nowe. Krzysztofa trzeba na razie z tego wyłączyć.

Machnęłam ręką.

— Daj spokój, na pewno teraz po wyschnięciu podkład okaże się dobry. Krzysztof przesadza. — Nie chciałam mu się zwierzać, że moim zdaniem Krzyś wymyślił to sobie, aby mieć pretekst do rezygnacji ze spływu.

Do pracowni weszłam dopiero nazajutrz. Po raz pierwszy w życiu nie marzyłam o tym, żeby zamknąć za sobą drzwi, odgrodzić się od świata, zostać sam na sam z płótnem, pędzlami i farbami. Wtedy na kajaku przy akompaniamencie dalekich grzmotów myślałam o obrazie, w którym wyrzucę z siebie strach. Widziałam w wyobraźni „Burzę po potopie”, przewyższającą napięciem grozy wszystko, co dotychczas namalowałam. Widziałam, jak szara płaszczyzna nasycy się barwami, jak w obłąkany przerażony świat biją pioruny z nieba urągającego ziemi zalanej wodą, skazanej na zagładę.

Teraz nie umiałam zobaczyć nic prócz tego, co naprawdę znajdowało się wokół mnie. Krzątałam się po pracowni, niepotrzebnie przestawiając różne przedmioty z miejsca na miejsce. Długo, dokładnie zmiatałam, ścierałam nagromadzony przez miesiąc kurz.

Dreńczył mnie niepokój, nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Przez cały dzień szukałam pretekstów, żeby nie pracować. Łaziłam bez celu po mieszkaniu. O dwunastej zajrzałam do Krzysztofa, który siedział w fotelu z książką w ręku, ale nie czytał.

— Będiesz się złościć, że jestem pasożyt i nic nie robię?

Zdziwiłam się.

— To był temat naszej ostatniej przed wyjazdem kłótni, nie pamiętasz? Leniwy mąż eksploatujący pracowitą żonę. Konik polny i mrówka. Ja zawsze miałem więcej sympatii do konika. A ty, rzecz jasna, jesteś po stronie mrówki?

— Chyba nie... — Nie chciałam okazać, że jestem dotknięta. — Mrówka prawi morały. Ale nie wyobrażam sobie życia bez pracy.

— To znaczy bez nic nierobienia? Czy też chodzi ci o pracę dla pieniędzy?

— Skądże! — obruszyłam się.

— No tak, tobie praca sprawia przyjemność. Gdybym był tak zdolny jak ty! Bardzo mnie to zgnębiło, kiedy musiałem przyznać się sobie, że chociaż coś niecoś mi się w moim zawodzie udało, w gruncie rzeczy nie jestem zdolny.

— Ja też nie jestem zdolna.

— Ty? To zależy od dnia. Czasem budzisz się niezwykle utalentowana, a czasem zupełnie do niczego.

Po raz pierwszy od dawna droczył się ze mną i żartował.

— Dasz mi kawy?

— Wolno ci?

— Wszystko mi wolno, byle nie w nadmiarze. Jestem jeszcze słaby, ale nie bój się. Tydzień rekonwalescencji i zaraz będę silny i milczący jak bohaterowie westernów.

— Kiedy ja może nawet wolę, jak jesteś wątpy i gadatliwy.

Napięcie między nami zelżało, jakby w niepamięć poszły wzajemne urazy. Ale mimo to nadal byłam niespokojna. I nie mogłam wziąć się do żadnej roboty. Kiedy stałam przed płótnem, nie widziałam nic. Jakby poraziło mi wyobraźnię. Może prawdziwy strach zabił urojone lęki? I amputowano mi talent? Zmieniłam się i świat mi się zmienił. Oswoiłam go, umiem sobie z nim poradzić. Czy człowiek, który przeżył potop, może bać się burzy?

Nazajutrz rano u Jadwigi nie odpowiadał telefon. Zirytowało mnie to. Nasze poranne rozmowy telefoniczne przeszły w zwyczaj. Nie lubiłam zmian w rytmie dnia. Wzmogło to mój niezrozumiały niepokój. Wszystko leciało mi z rąk i bałam się, że Krzysztof zauważy, jak jestem zdenerwowana. Staralam się zejść mu z oczu, wolałam więc nie wchodzić na górę, ale w pracowni też nie miałam ochoty przebywać. W końcu zamknęłam się w swoim pokoju i nastawiłam kasetę z *la stravaganza* Vivaldiego w prześlicznym wykonaniu walońskiej orkiestry smyczkowej. Ale nie uspokoiło mnie to. Po południu znowu na próżno usiłowałam dodzwonić się do Jadzi.

Nakryłam do kolacji w kuchni — Krzysztof oświadczył, że będzie schodził na dół i żadna siła nie zmusi go do jedzenia w jego pokoju — wyjątkowo uroczyście. Kolację też zrobiłam galową — zamiast jak zwykle sałatę i parę plasterków mięsa, wędliny lub sera, ostentacyjnie postawiłam na stole zupę cebulową, a w salaterce kusił podniebienie krem brule z migdałami. Nie zwiódło to jednak Krzysztofa.

— Co ci jest? Przestań latać jak ćma po mieszkaniu i powiedz, co ci dolega. Mów do mnie, a nie do tego kawałka papryki na talerzu. O co chodzi?

— O nic. Bardzo nie lubię czuć się tak, jak się czuję. Jakby za chwilę miała nastąpić katastrofa. Nie mogę malować, nie mogę czytać, nawet muzyki nie mogę słuchać. Rozmawiać też mi się nie chce. A jeszcze Jadwiga się nie odzywa — dodałam niezbyt konsekwentnie.

Moje narzekania przerwał dzwonek telefonu. Pewna, że to wreszcie Jadzia, wykonałam trójskok, choć nie jest to kobieca dyscyplina. Ale dzwonił Lutek z Poznania, zatroskany, że Jadwiga nie podnosi słuchawki. Miała wieczorem czekać w domu na wiadomość od niego, kiedy wraca. Usłyszawszy, że też jej od rana nie mogę złapać, nie ukrywał zdenerwowania.

— Ewo, przepraszam... Wiem, że masz swoje kłopoty, ale nie bardzo rozumiem... bo przecież... widzisz... czy ewentualnie mogłabyś... — jąkał się, nie mogąc wykrztusić swojej prośby.

— Pójść tam? Jak się nie odzywa, to jej nie ma w domu. Dzwonek telefonu jest głośniejszy niż dzwonek u drzwi.

— Może telefon jest zepsuty?

— To Jadzia zadzwoniłaby do mnie z miasta.

Chwilę się zastanawiał.

— Ewo, może to głupio z mojej strony, ale wolałbym, żebyś poszła na Solec do naszej sprzątaczkii, wzięła od niej klucze i zobaczyła, co się dzieje u nas w mieszkaniu.

Dał mi adres gosposi i numer telefonu hotelu w Poznaniu, żebym zadzwoniła po powrocie niezależnie od pory dnia czy nocy.

Pojechałam samochodem, ustaliwszy uprzednio z Krzysiem trasę. Nawet nie denerwowałam się przy skrętach w lewo, prowadziłam ostrożnie, ale pewnie i bez wahań. Gosposia Jadwigi, pani Wanda, była osobą stanowczą. Moja przyjaciółka tak długo z uprzejmości udawała przed nią, że jest bezradna, wszystko źle robi, a ona, pani Wanda, jest niezwykle zdolna, aż gosposia zaczęła odnosić się do niej z lekceważeniem, które przeniosła częściowo i na mnie. Teraz oświadczyła, że za skarby nie puści mnie samej i oczywiście ustąpiłam, choć nie miałam wielkiej ochoty wieźć pasażera. Mój pierwszy w życiu pasażer nawet nie zorientował się, z jak zielonym kierowcą krąży po Warszawie. Szłam dumnie po schodach na pierwsze piętro zadowolona z siebie, nagle wyzbyta złych przeczuc.

\* \* \*

Jadwiga leżała na podłodze koło tapczanu. Ani przez chwilę nie miałam wątpliwości, że nie żyje, i wiedziałam, że do śmierci prześladować mnie będzie jej sina twarz, otwarte usta, wytrzeszczone oczy z niebieskiego szkła. Słyszałam krzyk pani Wandy. Chciałam ją uciszyć, ale nie mogłam wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. To ona pierwsza ocknęła się i chwyciła telefon. Zdrętwiała i ogłuszona, nie ruszając się z miejsca słuchałam, jak pyta, czy to pogotowie, i odpowiada, że nie wie, co to za choroba, pacjent na nic się nie skarży, bo nie żyje. Śmierć, owszem, chyba gwałtowna, ale ona nie wie. Boi się podejść bliżej, bo może to nawet cholera albo dżuma, pani ma pianę na ustach.

— Nie wiem. Ja jestem gosposia i przychodzę sprzątać raz na tydzień. W zeszłym miesiącu nie byłam, bo nieboszczka pojechała na urlop.

Sposób mówienia pani Wandy zawsze zachwycał nas obie i dopiero świadomość, że moja przyjaciółka nie będzie się śmiała, kiedy powtórzę jej tę rozmowę, przywróciła mi poczucie rzeczywistości. Dyżurny z pogotowia chyba poinstruował panią Wandę, jak ma zadzwonić na milicję, bo po raz drugi zdawała sprawę z tego, co zastałyśmy w mieszkaniu. Wróciła do mnie trochę zadyszana, ale przejęta własną ważnością.

— No załatwiłam, a jakże. Zaraz tu będzie milicja, wojsko, wszyscy święci. Skarbie, niech pani usiądzie, przecież ledwie się, chudzino, trzymasz na tych swoich nożętach.

Jej czułość wywołała łzy w moich oczach. Wtuliłam twarz w jej obfity biust i wreszcie — na stojąco, na progu pokoju, w którym leżały zwłoki mojej przyjaciółki — wyplakałam z siebie wszystkie smutki. Wstrząs, jakim była choroba Krzysztofa, żal, że się z nim przez ostatnie dwa lata nieustannie kłóciłam, przerażenie, że jestem tak inna, niż chciałabym być, smutek, że Jadzia nie żyje i że nieszczęście, które wisiało w powietrzu, to właśnie była jej śmierć.

Nie bardzo pamiętam, co odpowiadałam na pytania panów z ekipy śledczej. Miałam tylko jedną myśl w głowie. Że muszę zadzwonić do Lutka do Poznania i powiedzieć mu, co się stało.

Oficer, który ze mną rozmawiał, zauważył, że nie jestem zbyt przytomna.

— Może pani już teraz iść do domu, mamy pani adres, zgłosimy się jutro.

— Ale w takim stanie nie potrafię prowadzić samochodu. — Nie czułam się na siłach przejawiać samodzielności.

Odwoził mnie miły sierżant, który nawet starał się mnie zabawić opowiadając o zaletach nowego modelu „Zastawy”, ale nie byłam szczególnie dobrą rozmówcą.

Do Lutka zadzwonił Krzysztof. Wytrzymał atak niedowierzającej rozpaczy, poprosił, żeby rano z dworca najpierw przyszedł do nas. Po czym dał mi kieliszek koniaku, przygotował napar z lipy, mimo moich słabych protestów posłał mi tapczan. Był dobry, czuły, opiekuńczy.

Następne dni przeżyłam jak w gęstej mgle. Nie pamiętam, kto mi pierwszy powiedział — Lucjan czy Krzysztof — że Jadwiga popełniła samobójstwo. Zaprotestowałam gwałtownie. Nie mogłam nie tyle w to uwierzyć, ile pogodzić się z tym. Fakt jednak okazał się bezsporny. Wybałuszone oczy, spieniona ślina na wargach, ta straszna sina twarz, która jak ostry cierń uwierała moją obolałą pamięć, była skutkiem zażycia cztero- czy pięciokrotnej dawki bellatropixu — lekarstwa, które sprowadziła sobie w ubiegłym roku z Niemiec na jakieś ze swoich wymagowanych schorzeń sercowych. Nie mogła go zażyć przypadkiem — wiedziała, że należy przestrzegać właściwego dozowania, bo w większych dawkach lekarstwo jest silną trucizną. Musiała sama z własnej, nieprzymuszonej woli przełknąć kilka tabletek, bo w filiżance z kawą, która stała na stole i którą najprawdopodobniej popiła tabletki, trucizny nie było. Zresztą zostawiła list do Lutka — na jego biurku znaleziono kartkę z króciutkim, starannie wykaligrafowanym tekstem: „Lutku, przepraszam, ale bardzo się nudziłam i świat mnie źle traktuje...” Sama sprawa więc nie ulegała wątpliwości, powodów jednak nie mogłam się domyślić, choć niemal nad niczym innym się nie zastanawiałam.

Lucjan nie żądał dla siebie współczucia. W dwa dni po powrocie z Poznania poszedł do pracy. Zgarbił się tylko, zamknął w sobie. Przychodził do nas wieczorem, nic nie mówił, tylko brzęczał nieznośnie kluczami i siedział nieskończenie długo. Wszystko w ogóle działo się długo i powoli. Czekaliśmy bez końca na zgodę na pogrzeb. Dziś jeszcze nie mogę bez skurczu serca przejść koło gmachu medycyny sądowej, gdzie dręczono biedne ciało Jadwigi. Sama ceremonia pogrzebowa odbyła się po cichu. Jadzia nie miała bliższej rodziny, przyszedł brat Lutka z żoną, trochę znajomych, niewielu, bo w gazetach nie było zawiadomienia, a od nekrologów, że „zmarła tragiczną śmiercią”, upłynęło już osiem dni.

Po pogrzebie poszłam z Lucjanem do ich mieszkania, żeby przejrzeć rzeczy po Jadzi i odpowiednio nimi zadysponować. Lutek sam nie czuł się na siłach tego zrobić, ale i ja niewiele mu pomogłam. Wszystko w tym domu było zbyt zwyczajne, zbyt dobrze znane. Śmierć Jadzi nic tu nie zmieniła. W pokojach pani Wanda nadal utrzymywała nieskazitelny porządek. W kuchni, w otwartej apteczce na ścianie, nadal stały niezliczone lekarstwa, na etażerze leżały książki kucharskie i spięte spinaczami małe sterty przepisów kulinarnych wyciętych z czasopism. Na kredensie butelki z wodą Jana i Dąbrówki. Nad lodówką wisiała czarna niewielka tablica, na której oboje wypisywali pro memoria. Widniały tu jeszcze przykazania, które Lutek zostawił przed wyjazdem do Poznania i dotychczas nie stał.

Nie jedz za dużo.

Czekaj na mój telefon we wtorek po ósmej.

Wkładaj okulary do czytania.

Odbierz twój płaszcz z pralni.

Przeplukuj nerki.

Łzy mi napłynęły do oczu i nie ja Lutka, ale on mnie bezradnie pocieszał.

Potem wszystko pozornie wróciło do normy. Krzysztof, który zajęcia w swojej szkole zaczynał pierwszego października, zaczął grać w tenisa. Sporo wychodził z domu, miły dla mnie, uprzejmy, ale bez tej bliskości, która kiedyś nas łączyła. Lutek bywał często, ale prawie się nie odzywał. Od czasu do czasu przestawał bawić się nerwowo kluczami, spoglądał na mnie pytająco i stwierdzał bez zdziwienia w głosie.

— Ty też się tego nie spodziewałaś.

— Ani przez chwilę.

— Nie zwierzała ci się? Nie mówiła, że jej źle ze mną?

— Przeciwnie, mówiła, że dobrze.

Przynosiło mu to jakby ulgę, ale nie przywracało równowagi.



— Trzeba normalnie pracować, prawda? Kończysz już pierwszy obraz?

Ten temat nie był mi miły. Lutkowi nie mogłam odmówić odpowiedzi.

— Jeszcze nie, ale pracuję.

— Nie pozwolisz zobaczyć?

— O nie — w tym wypadku umiałam być stanowcza. — Wiesz przecież, że kiedy maluję, nikomu nie wolno wchodzić do pracowni. Nawet Krzysztofowi.

— Wiem. Tak sobie powiedziałem. Zdążysz na Paryż?

— Z drugim obrazem chyba nie. Ale z tym muszę, to się przecież nazywa wystawa trzydziestu trzech, więc mniej nie może być. Tylko rezerwy im nie dam. — Nie miałam ochoty kontynuować rozmowy. — A ty pojedziesz?

Wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Właściwie mi wszystko jedno, czy będę nie rozumiał, jak do tego doszło, tutaj czy tam.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Robota szła mi jak po grudzie. Nigdy jeszcze w życiu tak źle mi się nie malowało. Byłam znieczulona jak po narkozie i czułam się jak oszustka. Nie widziałam obrazu, zmuszałam się do kłamania sobie i innym.

— Krzysiu, amputowało mi talent. Nie umiem malować.

— Talent zabija tylko sprzedaż duszy diabłu. — Krzysztof żartował, ale ja odpowiedziałam poważnie.

— Może w ogóle na tym jeziorze mi dusza wywietrzała, przestałam się bać. Moją wyobraźnię karmił strach. Pokonany strach jej nie pobudza. Nie mogę przecież kłamać, żeby nie zawieść ewentualnych nabywców. Nic z tego resztą nie wyjdzie. Inni to może potrafią, ale ja nie.

Błysk ironii w jego oczach uświadomił mi, że przeczę sama sobie. Tyle razy wygłaszałam — przeciw niemu oczywiście — sentencje, że praca i wytrwałość to więcej niż zdolności i że kłopoty twórcze to przeważnie preteksty lenistwa.

\* \* \*

W piątek, dwudziestego września, zjawił się u nas kapitan Kawecki. Nie był mi całkiem obcy. Prowadził przed paroma laty — jeszcze jako porucznik — śledztwo w sprawie śmierci znanego pisarza, Stefana Szaleja; w sprawę zamieszany był mój kolega Henryk Jaremko, wzięty grafik i niezły malarz. Sprawa była głośna, przesłuchiowano w związku z nią mnóstwo ludzi i owe mnóstwo z uznaniem opowiadało o takcie, inteligencji i kulturze bardzo wówczas młodego porucznika.

Powitałam go niemal z ulgą. Owszem, byłam zaskoczona, nie miałam pojęcia, o co chodzi, ale w gruncie rzeczy gdzieś w tyle głowy błąkała się myśl, że śmierć Jadzi, jej samobójstwo niczego nie zakończyło, że trzeba jeszcze coś wyjaśnić, do czegoś wrócić. Jakby ta śmierć nie odeszła w przeszłość, ale trwała nadal, i jakbyśmy wszyscy na coś czekali. Drgnąłam, kiedy w tok moich myśli padły niespodziewane słowa:

— Domyśliła się już pani, że przyszedłem w związku ze śmiercią Jadwigi Hron.

Z czasem miałam przyzwyczać się do tego, że Staszek Kawecki lubi popisywać się odgadywaniem cudzych myśli. Ale za pierwszym razem efekt był duży. Prawdę mówiąc nietrudno było moje myśli rozszyfrować, sądziłam jednak, że raczej będzie kluczył, zanim przystąpi do sedna sprawy. Jego bezpośredniość rozładowała napiętą atmosferę i sprawiła, chyba nie bez udziału osobistego wdzięku kapitana, że od pierwszej chwili czułam się w jego obecności swobodnie.

Siedzieliśmy na zydlach w pracowni.

— Jak dawno znała pani Jadwigę Hron?

— Od niepamiętnych czasów. Znałam ją jeszcze jako Dzięnię Małecką i potem jako Gigę Sawicką.

— Przyjaźniły się panie od dzieciństwa?

— Tak. Nie byłyśmy wtedy jeszcze, rzecz jasna, paniami. Właściwie z początku to nie była przyjaźń, tylko Jadwiga mną rządziła. Była wtedy o cztery klasy ode mnie wyżej, kochała się w bardzo apodyktycznej nauczycielce i próbowała się z nią utożsamiać. Potem już zawsze upodobała się do człowieka, w którym się w danym momencie kochała.

— Prawo mimikry. Częste u kobiet — kapitan spieszył się. — Przepraszam. Nie lubię uogólnień. Chciałbym po prostu dowiedzieć się od pani, jakim człowiekiem była pani przyjaciółka.

Jadzia? Znam ją aż za dobrze, była mi tak bliska, a teraz trzeba ją odsunąć, obejrzeć z daleka, wziąć miarę jak z modelu. Zajrzeć do duszy, jakbym mogła po tylu latach jeszcze w niej coś nowego dojrzeć. Co w tej duszy było najważniejsze? Jedno określenie. Jak u Homera. Odys był przebiegły, Ajaks silny, Hektor mężny.

— Była bardzo dobra — powiedziałam niepewnie.

Kapitan czekał chwilę.

— Trudno opowiadać o kimś bliskim obcej osobie.

Był sympatyczny, ale odnosił się do mnie protekcyjnie, jak do dziecka, które chce się utrzymać w dobrym humorze i szuka się z nim wspólnego języka.

— W ogóle trudno opowiadać o kimś, o kim się dużo wie.

— Łatwiej, jeśli się wie mało?

— Oczywiście. A najłatwiej tylko wiedzieć, a nie mówić. — Coś mnie podkusiło. — Wie pan, jak święty Tomasz z Akwinu odpowiedział na pytanie, co to jest czas?

— Nie mam pojęcia. — Wiedziałałam, czemu przypisać błysk rozbawienia w jego oczach, ale brnęłam dalej w erudycyjne popisy.

— Że dobrze wie, póki się go nie pytają, ale kiedy zadają mu to pytanie, natychmiast przestaje wiedzieć.

— To ładne. — Nie ukrywał uznania, szybko więc przyznałam się, że cytat jest z drugiej ręki, pożyczyłam go od Stefana Themersona.

Uśmiechnął się.

— Często pani pożycza cytaty?

— Tylko kiedy chcę komuś zaimponować — oświadczyłam nonszalancko i nie dając mu czasu na odpowiedź, wróciłam do głównego wątku naszej rozmowy.

— Jadwiga była jedyną córką dość starych rodziców, którzy ją ubóstwiali. Zachwycali się nią nieustannie. Nie była szczególnie ładnym dzieckiem, ale miała piękne popielate włosy. Wobec tego w jej rodzinie włosy stanowiły najważniejszy element urody. — Zamilkłam bezradnie. Mówiłam głupstwa całkiem bez sensu. Ale kapitan poprosił, żebym ciągnęła dalej.

— Proszę się nie obawiać, że to nieważne. Mnie to naprawdę interesuje.

— Ale dlaczego? — dopiero w tym momencie uznałam to za dziwne.

— Kiedy w grę wchodzi nagła śmierć, zawsze badamy sprawę dokładnie. Samobójstwo z powodu depresji niczego nie tłumaczy. Depresja najczęściej jest skutkiem, nie przyczyną. Mnie chodzi o przyczyny.

Zdziwiłam się.

— U nas samobójstwo nie jest przecież przestępstwem jak w Anglii.

— Ale jego okoliczności trzeba wyjaśnić. Zwłaszcza kiedy są tak zagadkowe. Zdrowa kobieta, raczej zrównoważona i nie neurotyczna, nagle zostawia mężowi, który wyjechał na parę dni, zdawkową kartkę na jego biurku. „Lutku, przepraszam, ale bardzo się nudziłam i świat mnie źle traktuje”. Tekst niemal żartobliwy, bez słowa żalu. I zażywa śmiertelną dawkę bellatropin. Próbuje potem się ratować, ale już nie udaje jej się dotrzeć do telefonu. Jej śmierć jest zaskoczeniem dla wszystkich. Dla najbliższych — jak mąż i przyjaciółka — i najdalszych, jak gosposia i dozorczyńni. — Przyglądał mi się przez chwilę z zastanowieniem. — Próbowала pani do niej dzwonić. Czy kiedy nie odpowiadała, przyszło pani do głowy, że właśnie coś takiego mogło się wydarzyć?

— Skądże! Byłam najdalsza od takich przypuszczeń. Dręczył mnie co prawda niepokój, wisiało nade mną jakieś nieszczęście. Przepraszam, panie kapitanie, to nie parapsychologia, nie jestem medium, bywam tylko czasem przewrażliwiona. Ale nic w tym nie było z przecucia, że Jadzia sobie zrobi coś złego. Irytowało mnie, że nie ma jej w domu, złościłam się, że może nie zapłaciła przed wyjazdem za telefon. Była raczej rozrzutna i lekkomyślna, ale w pewnych przypadkach nie lubiła się rozstawać z pieniędzmi — wie pan, są tacy ludzie —

jakby chciała je jeszcze trochę potrzymać. W każdym razie nawet przez chwilę nie podejrzewałam, że coś się z nią stało. Była świeżo po urlopie, na nic się nie skarżyła.

— W domu było dużo różnych lekarstw.

— Bo Jadwiga wierzyła w eliksiry młodości, każde nowe lekarstwo uważała za panaceum. Kolekcjonowała fikcyjne choroby, żeby mieć pretekst do brania lekarstw. Ale naprawdę, choć nawet lekarzom umiała wmówić, że ma chore serce, nic jej nie dolegało. Po prostu była za gruba i za dużo jadła. Zresztą gdyby zachorowała, wezwałyby mnie natychmiast. Nawet kiedy Lutek zadzwonił z Poznania, też się właściwie nie zdenerwowałam.

— Nie uważała jej pani za typ samobójczyni?

— Wręcz przeciwnie — teraz już mówiłam płynnie — Jadwiga to uosobienie żywotności. Była cała zwrócona w stronę życia. Wszystko robiła z pasją. Lubiła jeść, spać, budzić się, klócić się, zachwycać, martwić, mówić, patrzeć, nawet chorować. Chciała coś przeżywać, uwielbiała emocje. Chodziła na wszystkie Hitchcocki, żeby się bezinteresownie bać, potrafiła całą noc przetańczyć, mogła godzinami rozmawiać. Marzyła o życiu intensywnym, lubiła przesadzać, wyolbrzymiać. Z kuracji w Piszczanach wróciła zachwycona, że język słowacki jest dramatyczniejszy niż polski. Nasza twarz u nich jest obliczem. Nasze błoto aż bagnem. Dziura — jamą, życie — żywotem. U nas się załatwia, u nich wybawia. — Tak wyraźnie ujrzałam ją przed sobą, że z trudem podjęłam wątek. — Jadwiga żyła w świecie mocniejszych wzruszeń. Czasami była śmieszna, czasami nieznośna, bo narzucała swoją wolę, chciała wszystkich przerobić na swoją modłę, ale zawsze była ciekawa innych i sama też interesująca. Nie sposób się z nią było nudzić, chociaż gadała bez miary.

Nigdy jeszcze z nikim nie mówiłam tyle o Jadwidze. Za długo przyjaźniłyśmy się, żeby ktoś mnie pytał o zdanie o niej. Inteligentne, zaciekawione spojrzenie kapitana Kaweckiego pobudzało wspomnienia.

Niepohamowany apetyt Jadzi. Cokolwiek stało przed nią na stole, jeśli nadawało się do jedzenia, nikło natychmiast, nawet jeśli krzywiła się, że niesmaczne.

— U pani Staszkiwicz zjadała cały chleb, który inni zostawiali. Zawsze dobierała zupy. Lutek był zrozpaczony. Błagał ją, żeby dbała o siebie.

— Czy to było dobre małżeństwo?

— Małżeństwo Jadzi musiało być dobre. Jej mąż musiał być wspaniały i nosić ją na rękach.

— A naprawdę, jak to wyglądało?

— Była w każdym razie przekonana, że tak jest. Że to ona oczywiście rządzi. Zawsze wszystkimi komenderowała. Ale prawdę mówiąc już jako młodzianka dziewczyna zachwycała się każdym chłopcem, z którym chodziła.

— Miała powodzenie?

— We wczesnej młodości ogromne. Nie była specjalnie ładna, ale z jej radością życia! Rzuciła chłopców bez litości, jeśli jej się trafił lepszy. Zresztą tak samo koleżanki.

— Miano jej to za złe?

— Niektórzy jej zarzucali, że pnie się na górę po ich barkach i jeszcze kopie, zostawiając za sobą. Ale to nie na tym polegało. Po prostu porzucała ludzi, którzy już jej nie interesowali.

— Budziła niechęć?

— U tych porzuconych chyba tak. Miała opinię snobki. Była zresztą snobką, ale zabiegała o ludzi czy rzeczy warte zabiegów.

— Jak to wszystko pogodzić z jej dobrocią, o której pani wspomniała?

Nie bardzo umiałam to wyrazić.

— Dość rzadko spotyka się niesamolubnych egocentryków. Jadwiga właśnie do tego gatunku należała. Potrafiła zachować się wielkodusznie, była z natury szczodra i życzliwa. Ale tylko dla tych, których zauważała, a wielu nie zauważała lub spokojnie wyrzucała ze swego pola widzenia.

— Ludzie mimo to do niej Ignęli?

— Przeważnie tak.

— A jej nigdy nie porzucano?

Na ten temat miałam wyrobione zdanie.

— Widzi pan, kapitanie, rozwód z pierwszym mężem był dla niej dramatem. Nie dlatego, że tak go kochała, ale ponieważ mu ufała. W ogóle ufała życiu. To był jej pierwszy zawód. Żeby przejść nad nim do porządku dziennego, musiała go wobec siebie i innych w pewnym sensie zmitologizować. Nie umiała sprostać porażkom.

— I odzyskała ufność?

— Bo ja wiem? Znowu nabrała pewności siebie. Albo udawała...

Z nikim chyba nie rozmawiało mi się tak dobrze. Sama nagle zaczęłam wiele spraw lepiej rozumieć.

— Tak mówię, jakbym jej nie lubiła i widziała tylko jej wady. Łatwiej opowiadać o słabostkach niż o urokach. A Jadzia miała mnóstwo uroku. I liczne zalety. Naprawdę byłam jej wdzięczna. Wybrała mnie sobie, żeby mną rządzić, ciągle ode mnie czegoś chciała, trudno jej było dogodzić, ale zrobiła dla mnie więcej niż ktokolwiek inny. Można się było na niej oprzeć.

— Więc jak to było z jej rozwodem? — kapitan wrócił do poprzedniego wątku.

— Rozumie pan, Jadzia była nie tylko jedynaczką rozpieszczających ją rodziców, ale najlepszą uczennicą w całych Suwałkach. Wobec tego nie ulegało wątpliwości, że świat ma do niej należeć. Wszystko musiała robić najlepiej. Miała lekką urazę do Pana Boga, że nie dał jej fiołkowych oczu, wolałaby mieć fiołkowe, ale z czasem uwierzyła rodzicom, że jasnieniebieskie są piękniejsze. Uwierzyła im też, że jest mądra i zdolna, była pewna, że będzie bogata i sławna. To znaczy bogata może nie, bo pieniądze miała raczej w pogardzie, ale na pewno sławna, zwłaszcza że wcześniej przejawiała talenty do rysunku i rzeźby. Nie tylko, zresztą. Najlepiej w szkole pisała wypracowania, układała wiersze, zanim ukończyła dziesięć lat, najszybciej rozwiązywała zadania matematyczne, wiem też, że wszystkie szkolne rekordy dziewcząt w biegach i skokach należały do niej. Przyjechała do Warszawy i zdała na Akademię od pierwszego zamachu — nie uświadamiała sobie, jaka powinna być z tego powodu szczęśliwa, dla niej było to naturalne. Tu rozpoczęła drugi etap życia. Najlepsza uczennica z Suwałk okazała się bardzo przeciętną studentką Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Nie należała też bynajmniej do szczególnie urodziwych i obleganych. Najpierw zaskoczona próbowała się bronić, odzyskać miejsce, które, jak sądziła, jej się po prostu należało. Nie udało jej się. Z czasem, choć nie od razu, pogodziła się z tym i, co najmilej, zachowała pełną pogodę ducha. Zabawne, zawsze zachowywała się jak kobieta piękna, choć przecież nie była ładna.

— Dawno się panie zaprzyjaźniły?

— Kiedy, miałam siedem lat, byłam z babcią na wakacjach w Bukowinie i Jadzia też tam przyjechała. Od razu postanowiła mnie do siebie przystosować. To znaczy poprawić mój charakter, podnieść poziom kultury i polepszyć maniery. A mnie imponowało zainteresowanie starszej o cztery lata dziewczynki. I potem spędzałyśmy stale razem wakacje. Kiedy przeniosła się do Warszawy, byłyśmy już nierozłączne, chociaż chodziłam jeszcze do szkoły, a Jadwiga była studentką.

— I przerobiła panią na swoją modłę?

Westchnęłam.

— Niezupełnie, ale nie dlatego, że wkładała w to zbyt mało wysiłków. Tylko ja miałam zakorzenione wady...

Zanim zdałam sobie z tego sprawę, zdążyłam opowiedzieć o sobie mnóstwo rzeczy, których nigdy nikomu nie mówiłam. Kapitan Kawecki usposabiał do zwierzeń. Nie narzucał się, jakby w małym tylko stopniu uczestniczył w rozmowie, a jednocześnie jego obecność

pomagała formułować myśli. Wyznałam mu nawet, że jestem tchórzem, ale się tego wstydzę i tworzę pozory. Nigdy nie zdobyłam się na taką szczerość wobec Krzysztofa. Kiedy wreszcie speszona zamilkłam, kapitan uśmiechnął się przepraszająco.

— Strasznie dużo czasu pani zajmuję. Bo tak pani barwie opowiada, że wszystko się widzi. Jak prawdziwa malarka. To był między innymi świetny komentarz do pani obrazów.

— Zna je pan?

— Byłam na pani obu wystawach, owszem. I zainteresowały mnie.

— Przecież wtedy nie wiedział pan jeszcze, że... — zająknęłam się.

Kapitan rozłożył ręce.

— Zdarzają się zainteresowania pozazawodowe. Szczególnie w dziedzinie sztuki.

Zarumieniłam się; Udając, że tego nie dostrzega, zapytał rzeczowo:

— Czy mogłaby mi pani jeszcze krótko opowiedzieć o obu małżeństwach pani przyjaciółki? I o obu jej mężach — dorzucił po chwili.

Ucieszyłam się, że poddaje mi nowy temat.

— Jadwiga wyszła za mąż bardzo młodo.

W 1960 roku miała dwadzieścia lat. Uważała, że będzie wielką malarką. Andrzej już pracował. Rodzice sprzedali dom nad Wigrami i kupili jej w Warszawie segment willi. Cztery pokoje, kuchnia, obszerny strych. Od razu — chociaż jeszcze chodziłam do szkoły — miała do mnie pretensje, że nie rozglądam się za mężem. Przekonywała mnie, że to wygodnie. Ma ci kto podać palto w szatni, zawieszać firanki, płacić za komorne i telefon. Na moje nieśmiałe protesty, że nie na tym polega małżeństwo i wolę sama zawieszać firanki, wzruszała niecierpliwie ramionami i nie chciała nawet słuchać. Wszystkie tak mówicie póki co. Ale wierz mi, z mężem jest lepiej i częściej. Pod wpływem Andrzeja chętnie wyrażała się wulgarnie ku przerażeniu swoich rodziców.

— Zabawne — nie mogłam powstrzymać się od dygresji — jak Jadzia, taka na pozór władcza i stanowiąca własne prawa, ulegała wpływom. Wystarczyło, że Andrzej głosił kult nowoczesności i z politowaniem odnosił się do gustów klasycznych, a już Jadzia wszystko, co stworzono przed tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym rokiem, określała wzgardliwie jako starocie. Nawet o Bachu tak mówiła. Myślała, że jest jednoznaczna, uważała siebie za monolit, karciała mnie, że łatwo zmieniam zdanie — bo ona była uparta, a ja ustępliwa. Tymczasem naprawdę zmienna była właśnie ona. Może nie w sprawach zasadniczych, ale w sposobie bycia, w stylu. A styl był dla niej sprawą ważną. Bardzo dbała o swoje, jak to nazywała, środki wyrazu.

— Wspomniała pani, że nie zależało jej na pieniądzach?

— Zupełnie nie zależało. Tak samo zresztą Lutkowi. Lutek zbiera wszystko prócz pieniędzy.

— Pobrali się dopiero niespełna trzy lata temu?

— Tak. Dwunastego października byłaby trzecia rocznica.

— Długo znali się przedtem?

— Krótko. Jadzia rozeszła się z Andrzejem Sawickim po dwunastu latach małżeństwa, w siedemdziesiątym drugim roku. Andrzej po prostu zakochał się w dziewczynie, miłej zresztą i wcale nie takiej nowoczesnej. Dla Jadwigi był to cios między oczy. Znalazła się na dnie nieszczęścia. Nie tylko z powodu zawiedzionej miłości. Bardziej chyba cierpiała jej ambicja. Że się to właśnie jej mogło przydarzyć. Przecież szczerze swoim zwyczajem wierzyła, że jej małżeństwo jest najlepsze. A poza tym naprawdę lubiła mieć męża. Chwalić go, że dobry, piękny, mądry. Mówiłam już, że odkąd zaczęła chodzić z chłopcami, każdy jej chłopak był co najmniej sir Galahadem.

— Pan Lucjan nie sprawia wrażenia sir Galahada.

Trudno się było nie uśmiechnąć.

— Ma pan rację. Ale Jadzia i o nim mówiła, jakby był najdoskonalszym tworem Pana Boga, wzorem wszystkich cnót. Zresztą ma dużo zalet. Jest inteligentny, gruntownie wykształcony, sam potrafił w nie najłatwiejszych warunkach zdobyć szeroką wiedzę.

— Wybrała go spośród wielu innych?

Zastanowiłam się.

— W pewnej mierze. Byli i inni kandydaci, choć nie miała już takiego powodzenia jak we wczesnej młodości. Ale nie dziwię się, że wybrała Lucjana. Nie jest może błyskotliwy, za dużo w nim pedanterii, ciągle każdego poucza. Bywa nudny. Ale jest słowny, rzetelny, pracowity. Ma wszystkie cnoty wiktoriańskie. Można na nim polegać.

— Lubi go pani?

— Tak, oczywiście. Choć przyznaję, że trochę mnie nudzi. Zawsze wolę spotykać się z samą Jadzią. — Łzy napłynęły mi do oczu. — O mój Boże... Przepraszam. — Odczekał chwilę przed następnym pytaniem.

— A jak się poznali?

— Dobrze to pamiętam. W Muzeum Narodowym. Jadwiga poszła obejrzeć Hundertwassera, potem zeszła na dół na film. Bardzo jej się to malarstwo podobało i swoim zwyczajem dawała temu głośno wyraz. A Lucjan, który siedział koło nas, bo znali się z Krzysztofem, zapytał, czy to przypadkiem nie humbug i autoreklama. Jadzia, spontaniczna jak zawsze, zawlekła go z powrotem na wystawę i kazała zachwycać się po kolei każdym deszczowym dniem. Widać przypadli sobie do gustu, bo wprawdzie ciągle nawzajem się wychowywali i pouczali — ona głośno, on cicho — ale szukali swego towarzystwa.

— I postanowili się pobrać?

— Dokładnie wiem, kiedy się na to zdecydowali. Jadzia urządziła przyjęcie po moim powrocie z Brukseli żeby uczcić mój pierwszy sukces zagraniczny, i na tym przyjęciu Lucjan jej się oświadczył. Krzysztof żartował, że oczarowała go nie tyle swoją gościnnością, ile zaimprovizowaną salą balową na strychu. Lutek nagle ujrzał tam oczami duszy swoje zbiory. W każdym razie Jadzia propozycję przyjęła i od razu się posprzeczała, bo ona chciała na złość pierwszemu mężowi wyprawić huczne wesele, a on upierał się przy cichym ślubie, jak przystało na zatwardziałego starego kawalera, który po czterdziestce rezygnuje z zasad. Oczywiście Lutek wygrał. Zawsze mężowie wygrywali z Jadzią. Nieustępliwa była tylko wobec mnie. — Powiedziałam to niemal z przekąsem i sama się przestraszyłam, Na litość Boską, siedzę i z obcym człowiekiem obgaduję najlepszą przyjaciółkę. Dość tego. — Panie kapitanie, gadamy już ponad dwie godziny, może napiłby się pan kawy?

— Nie, naprawdę dziękuję, może potem. — Czy on ma zamiar tu życie spędzić? — Teraz bym jeszcze tylko prosił o parę słów, jak to było w tym roku z waszym wyjazdem na Wigry?

— Już chyba mówiłam?

— Tak. Że zrezygnowała pani ze spływu i postanowiła zostać w Warszawie. Ale nazajutrz zmieniła pani decyzję. Dlaczego?

Przez całe życie uchodziłam za osobę skrytą, a teraz bez żadnych oporów zachowywałam się jak na wysoko płatnym seansie u psychoanalityka. Musiałam się pohamować, żeby o nocy z nietoperzem opowiedzieć krótko i rzeczowo. Chociaż nie wdawałam się w szczegóły swoich histerycznych reakcji, zdawało mi się, że kapitan i tak wszystko rozumie. Jeszcze zanim skończyłam, wstał, rozejrzał się po pracowni, podszedł do płótna rozpiętego na sztalugach, wyczuł, że się cała zjeżyłam i przeprosił, zakłopotany.

— Bardzo mi przykro. Przedłużam rozmowę i już to panią denerwuje. Ale chciałem jeszcze spotkać się z pani mężem i myślałem, że się go doczekam.

Nie miałam wątpliwości, że tak jak i ja usłyszał przed paroma minutami szcęk klucza w zamku drzwi wejściowych.

— Krzysztof właśnie wrócił. Nie wejdzie do pracowni. Boi się mi przeszkodzić. Jeśli chce pan z nim zamienić parę słów, proszę go poszukać. Poszedł na pewno na górę do swojego

pokoju. Pierwsze drzwi na lewo. — Chciałam przez chwilę zostać teraz sama. — Tylko błagam, niech pan z nim nie rozmawia tak długo jak ze mną, bo wymrę z głodu. Chyba że pan zje z nami obiad.

Spojrzał na zegarek i podniósł na mnie wzrok pełen skruchy.

— Przepraszam — mówił „przepraszam” znacznie częściej niż inni ludzie — naprawdę pojęcia nie miałem, że już tak późno. — Jakoś trudno mi było uwierzyć, że kapitan Kawecki może nie mieć o czymś pojęcia. — Przyrzekam, pół godziny najwyżej. A za zaproszenie na obiad dziękuję. Tym razem mam inne plany. — Miał niesłychanie miły uśmiech i łatwo mu było wybaczyć.

Kiedy jednak zostałam wreszcie sama, ogarnęło mnie rozdrażnienie. Nie lubię, jak ktoś mi włązi w życie. Nikt chyba tego nie lubi, ale ja jeszcze na dodatek byłam zła, że sama otworzyłam mu szeroko drzwi.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Byłeś małomówny? — siedzieliśmy w kuchni i piliśmy poobiednią kawę. Kapitan dotrzymał słowa i nie rozmawiał z Krzysztofem dłużej niż pół godziny.

— Średnio.

— O co cię pytał?

— Dość dokładnie o naszą wyspę. Co my tam robimy, jak było ostatnim razem i tak dalej...

— Po co?

— Pojęcia nie mam.

— I o co jeszcze?

— O powody, dla których ze mną nie pojechałaś. Właściwie chciał się dowiedzieć, czy często kłócimy się i czy nasze małżeństwo jest szczęśliwe.

— Nie patrzył w moją stronę.

— I coś mu powiedział?

— Że owszem, szczęśliwe, chociaż ja oczywiście nie jestem ciebie wart.

— Po co takie rzeczy opowiadasz?

— Bo uczono mnie, że milicji należy mówić zawsze prawdę.

Krzysztof poszedł do siebie na górę, a ja szybko zrobiłam porządek, po czym stanęłam na środku kuchni i oświadczyłam surowo suszącym się filiżankom:

— Ewo, przemyśl wszystko. Czujesz się podle, znajdź przyczyny, zanalizuj je i wyjdź z impasu.

Przeszłam do pracowni. Usiadłam skulona na zydłu, obejmując ramionami kolana. Wróciłam do rozmowy z sobą i skarciłam się za brak rozsądku. Jasne, że czuję się podle. Zmarła moja najbliższa przyjaciółka. Jestem wyczerpana nerwowo. Nagła choroba Krzysztofa, lęk o niego, a potem wyczyn przerastający moje możliwości poraził mi wyobraźnię i nie mogę malować, a już najdalej za miesiąc muszę zabrać się do pakowania obrazów na wystawę. Ale nie było to bynajmniej wszystko. Strużka niepokoju, poczucie wewnętrznej niewygody brało się jeszcze skądinąd. Nie warto było się oszukiwać. Dobrze wiedziałam, że Krzysztof zmienił stosunek do mnie. Jakbym była obca. Dawniej, od początku niemal naszej znajomości, traktował mnie jak część samego siebie, a teraz jak oddzielnego, niezbyt bliskiego człowieka. Uprzejmie, ale nie serdecznie. Z uprzedzającą grzecznością, skwapliwie spełniając moje życzenia, ale ostrożnie, jakby bał się mnie urazić. Dlaczego? Czy przestraszył się, że umrze? Strach zmienia człowieka, a Krzysztof bał się po raz pierwszy w życiu. Teraz nasłuchuje, co się w nim dzieje w środku. I dlatego wyszedł ze szpitala ściszony. Inny wobec mnie. Nie taki, jak dawniej, kiedy byliśmy ze sobą szczęśliwi, ani jak ostatnio, kiedy chciałam go za wszelką cenę upokorzyć. Nie umiałam dokładnie określić, na czym ta inność polega. Może gdyby kapitan zadał mi odpowiednie pytanie, potrafiłabym lepiej sformułować, o co mi chodzi. Skąd się wzięło to Wrażenie, że trzeba coś między nami naprawić, choć nie bardzo wiem co.

W ogóle nic nie rozumiałam. Dlaczego kapitan wypytuje i mnie, i Krzysztofa o nasze wyprawy na wyspę, o tryb życia w Rudzie? Co to ma wspólnego z depresją Jadzi? Depresja Jadzi! Nikt chyba nie był do niej mniej skłonny! Tak łatwo przechodziła do porządku nad zmartwieniami. Kłopot to była sprawa, o której przez jakiś czas należało nie myśleć i wtedy przestanie być kłopotem. A jednak... Świat mnie źle traktuje... Biedna Jadzia. Udawała szczęśliwszą, niż była. Tworzyła pozory. Tak jak ja, ale ja udaję tylko przed innymi, nie przed sobą. Znam swoje zmartwienia. Człowiek nie powinien ciągle sobie kłamać. Światu też zresztą zwierzałam się w swoich obrazach. Teraz nie wiem, Z czego się zwierzać, i dlatego tak trudno mi idzie. Westchnęłam i niechętnym spojrzeniem obrzuciłam rozpięte na

sztalugach płótno. Nie umiem się skupić, nie wiem, co chcę malować. Coś się zepsuło. Nie chcę, „żeby to było nasze małżeństwo. Krzysiu — powiedziałam na głos — nie chcę, żeby nam się zepsuło małżeństwo. Już Wiedziałam, że na tym obrazie będzie nie jeden człowiek przytłoczony ciężarem świata, ale dwoje ludzi. Dwoje ludzi razem to już nie strach, to nadzieja.

— Robię się egzaltowana i nieznośnie patetyczna oświadczyłam doniczce z begonią, którą po powrocie z Rudy zdążyłam jeszcze w ostatniej chwili uratować od uschnięcia. Nie, nie będę myślała słowami recenzji z prowincjonalnego dziennika. W ogóle nie będę myślała. I powziąwszy to dość, jakby nie było, niebanalne postanowienie, puściłam kolana, wstałam z zydła, niezbyt szybko podeszłam do sztalug, stuknęłam palcem w płótno i wzięłam w rękę pędzel.

Kiedy po godzinie Krzysztof zawołał mnie do telefonu — musiał zejść z góry, bo ja nie słyszałam dzwonka — byłam w o wiele lepszym humorze.

Dzwoniła pani Teresa. Przejęta, okropnie ciekawa. Jak zwykle przystąpiła od razu do sedna sprawy, nie szukając żadnych pretekstów.

— Ewka — mówiła szybko, jakby bała się, że jej ktoś przerwie — bo tu Julek zaraz będzie wołał, żebym nie przedłużała rozmowy. Wmeldował się do mnie dziś po południu taki sympatyczny oficer milicji i zadał nam mnóstwo pytań. Właśnie przed chwilą wyszedł. Strasznie dociekliwy, ale nie mogę zgadnąć, czego chce dociec. Umieram z ciekawości. Wspomniał, że był u pani.

— Owszem. Był przed południem.

— Właśnie, a na jutro zapowiedział się do Maniewiczów i Beatki. Cały nasz stół chce przebadać. O co mu na litość Boską chodzi?

— Pojęcia nie mam.

— Ale to na pewno w związku z samobójstwem Jadwigi — prawda?

— Na to wygląda.

— Bardzo jest pani niekomunikatywna — pani Teresa nie ukrywała zgorzienia — ale to może dlatego, że nie dopuszczam pani do słowa — zreflektowała się — przez telefon ja tak zawsze. Tylko nadaję i nie umiem przejść na odbiór. Przepraszam, bardzo mnie to wzburzyło. Wie pani przecież, jak cieszę się, kiedy mogę porzucić cyfry i znaki dla żywych ludzi. A nawet martwych — dodała niepewnie. Nie udało mi się wtrącić, bo z przejęciem kontynuowała monolog. — Ewuniu — nie widzę innej rady. Trzeba razem zgadywać. Zrobię jutro musakę, sałatkę grecką i zaproszę was wszystkich. Powiem Beacie, żeby przyniosła lody z Hortexu na deser. A wy przynieście czerwone wino do musaki. Najlepiej hiszpańskie, to będzie międzynarodowo. Czekać! Nie, nie pani, on! Julek chciał mi wyrwać słuchawkę, bo podobno nie wypada żebrać u gości. A ja przecież nie chcę kwiatów. Mam swoje z działki i będzie wam przykro, jak przyjdziecie z bukietem, a u mnie ładniejsze. Dobrze, dobrze, nie jestem dama — pani Teresa nie zmieniała intonacji głosu zwracając się do swego męża — daj mi jeszcze z nią pomówić, bo muszę się naradzić.

Cierpliwie przeczekałam odgłosy szamotaniny.

— Ewa, jest pani jeszcze?

— Słucham, pani Tereso.

— Chodzi o to, czy mam zaprosić Lucjana? — Mimo pytającego tonu nie miała zamiaru dopuścić mnie do głosu. — Z jednej strony wypadałoby, bo niby zbiorą się wszyscy od naszego stołu u pani Staszkievicz, do Magdaleny też zadzwonię, ale z drugiej znów nie wiem, czy to właściwe! Niespełna dwa tygodnie po pogrzebie żony? Czy to wypada? Co prawda on jest posażny wdowiec, a Magdalena jeszcze panna... Julek, odczep się, nie podsłuchuj, to się nie będziesz wściekał. Nie, nie zaproszę go — odpowiedziała znienacka samej sobie. — Nie będzie można przy nim swobodnie rozmawiać. A przecież chcemy

porównać wrażenia. Już dobrze, dobrze. Ewuniu, przyjdziecie o ósmej z panem Krzysztofem. Jak on się czuje? Cieszę się, że go zobaczę. Jak jego serce?

— Jakie mam przynieść wino? — przebiłam się wreszcie.

— Jakie wino?

— To ja pytam, jakie wino.

Pani Teresa musiała być skonsternowana, bo aż zamilkła. Ale po chwili połapała się i śmiejąc się z siebie — nie znam nikogo, kto by równie często śmiał się z siebie — zawołała:

— Nie, żadnego wina! Julek powiedział, żebym się wstydziła i że on sam kupi. Więc się wstydzę, a on kupi. Do widzenia, dziękuję za telefon. Czekamy jutro o ósmej.

Nie zdziwiło mnie, że pani Teresa dziękuje za to, że sama do mnie zadzwoniła. Niewiele postępów pani Teresy mogło mnie zaskoczyć. Za to nieodmiennie rozmowa z nią wprawiała mnie w wesoły nastrój.

Wesoły nastrój towarzyszył mi jeszcze, kiedy wieczorem kładłam się do łóżka. Chociaż Krzysztof odśpiewawszy pod prysznicem bolero Ravela na dobranoc pocałował mnie po ojcowski w czoło, a nie po mężowski w usta.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wśród licznych talentów pani Teresy ogólnym uznaniem cieszyła się jej inwencja kulinarna. Wątpię, czy znalazłby się na świecie drugi uczony matematyk, który tak lubiłby karmić ludzi i tak namiętnie starał się dogodzić różnym podniebieniom. Stół nakryty był na dziesięć osób. Nie był na to dość duży, ale pani Teresa śmiała się, że lubi tłok, a jej potrawy nie nadają się do trzymania na kolanach. Zresztą w ten sposób łatwiej jej pilnować gości, żeby dużo jedli. Pan Julian zgrzytał zębami, że zastawa jest niejednolita, gdyż małżonka — zawsze mówił o pani Teresie nie żona, a właśnie małżonka — myjąc naczynia dekompletuje regularnie wszystkie serwisy, jakie z myślą o gościach — gdyż on także lubił przyjmować — kupował jej niezmiennie na gwiazdkę.

Zresztą, skarżył się, i tak nic nie pomoże. Jeśli mamy osiem jednakowych talerzy, to Terenia na pewno zaprosi dziewięć osób.

Tym razem nakryć było dziesięć i Beata — spotkaliśmy w bramie Wiśniewskich — wykrzyknęła:

— Więc jednak zdecydowała się pani zaprosić pana Lucjana!

— Nie zaprosiłam go. Przecież wiem, co wypada — pani Teresa zerknęła w stronę męża, przybierając minę pełną godności. — Przyjdzie nasz stary przyjaciel, profesor Bartosz.

Próbowałam sobie przypomnieć, skąd znam to nazwisko, kiedy Beata zapytała niedowierzająco:

— Bartosz? Major Bartosz z milicji?

— Już dawno jest na emeryturze. Zanim zaczął pracować w milicji, był długo moim kolegą. Uczył łaciny w szkole, w której debiutowałam jako nauczycielka matematyki.

— Ale czy będzie można przy nim swobodnie rozmawiać?

— Rzecz jasna. Czy ba że ma pani zamiar popełnić przestępstwo?

— Na razie jeszcze nie — wyglądało na to, że Beacie nawet dosyć spodobała się taka perspektywa. — Ale myślałam, że sobie opowiemy o rozmowie z kapitanem. A przy takim majorze to głupio wysuwać koncepcje czy podejrzenia. Weźmie to na serio i klops.

— Nie klops, tylko musaka — sprostowała pani Teresa. Doktor Wiśniewski podniósł z niepokojem wzrok. Nienawidził kalamburów i dostawał wysypki alergicznej w obecności zawodowych dowcipnisiów. — Przy Bartoszu można plotkować, ile wlezie. Jak sam mówi o sobie, ma umysł spekulatywny, toteż lubi rozważać sprawy błahe i nawet nieprawdopodobne. A poza tym co fachowiec, to fachowiec. Zawsze dobrze mieć takiego przy rozwiązywaniu zagadek.

Dziesiątą osobą przy stole miała być Magdalena Korda, aktorka w średnim wieku, która do niedawna grała małe dziewczynki, a teraz przebijała się do ról dramatycznych. Przebijała, bo była malutka, drobna, nieładna, z wyrazista małą twarzą i spojrzeniem, o jakim w ubiegłym stuleciu mówiono by, że jest przepastne. Szarooka, blada, niesłychanie ruchliwa, przyjeżdżała co roku nad Wigry, przed śniadaniem pływała w jeziorze niezależnie od pogody i całe dnie spędzała na spacerach po lesie. Jadwiga zachwycała się nią, jak złośliwie twierdziła Beata, głównie dlatego, że Magdalena nic prawie nie jadła i sąsiadom przy stole oddawała nie tknięte desery, pieczywo i masło.

Następni przyszli Maniewiczowie. Jeszcze witaliśmy się w pokoju, kiedy znowu rozległ się dzwonek u drzwi. Pan Julek wybiegł na korytarz, z którego doszedł nas po chwili dźwięczny, jasny głos Magdaleny. Zawsze mnie ten głos zachwycał, choć teraz modulowała go nieco inaczej i starała się utrzymać w niższych rejestrach.

— Spotkałam pana profesora w windzie. Cóż za radość, że spędzę z nim wieczór...

W oczach Teresy zapalił się błysk, ale natychmiast go ugasiła.

— Nie — szepnęła do mnie — żadnej nadziei na swaty. Za duża różnica wieku wydatnie zmniejsza różnicę płci. Choć dla mnie Bartosz jest nadal atrakcyjny.

Profesor Andrzej Bartosz przekroczył osiemdziesiątkę, silnie kulał, miał siwe włosy i pobrużdżoną twarz, ale jego oczy nadal błyszczały inteligencją i tą ciekawością świata, która odmładza ludzi bardziej niż najhigieniczny tryb życia. Przypomniałam sobie teraz liczne krążące o nim opowieści — jego sukcesy w dziedzinie tropienia przestępców przeszły do legendy — i nie dziwiła mnie chłopięca zachłanność, z jaką przypatrywał mu się Krzysztof.

Zasiedliśmy do stołu. Teresa znikła, aby po chwili, zanim jeszcze pan Julian rozlał wino do kieliszków, wnieść teflonową brytfannę wielkości wanienki dla dziecka, w której apetycznie rumienił się bezszamelowy wierzch musaka teresiana — tak ją nazywaliśmy, ponieważ jej składniki poważnie odbiegały od greckiego prototypu.

— Żadnych zakąsek, proszę państwa. Każdy może sobie dobierać, ile zechce. A powinien chcieć dużo. Musaka jest niemal prawdziwa. Dostałam bakłazany. Sama będę nakładać. Proszę po kolei talerze. Potem będzie jeszcze sałata grecka. — Sytuacja była zbyt poważna, żeby mówić dłuższymi zdaniami.

Każdy czekał w należyтым skupieniu na swoją porcję. Oczywiście znałam przepis pani Teresy na musakę: dwa kilogramy surowych kartofli, pokrojonych w plastry i lekko przesmażonych na oleju, kilogram mięsa wołowego po zmieleniu polanego sokiem pomidorowym, kilo też podsmażonej cebuli, obrany ze skórki i pokrojony bakłazan — co najmniej jeden — jeśli nie było w sprzedaży bakłazanów, pani Teresa zastępowała je różnymi jarzynami — kabaczkami, pieczarkami, czasem po prostu marchewką. Wszystko to posypane solą i pieprzem układała warstwami w brytfannie i pokrywała skróconym sosem bezszamelowym z masła, mąki i mleka. Wierzch posypany był tartym serem — oczywiście ideałem był parmezan, który każdy przywoził pani Teresie z zagranicznych podróży. Nigdy jednak sama nie ośmieliłabym się zrobić musaki. Czułabym się jak plagiator, tak bardzo potrawa ta była związana z domem Bernackich. Za to sałatę grecką podawałam zawsze, kiedy udało mi się dostać oliwki. Też według wskazań pani Teresy: ćwiartki pomidorów, słodki ogórek pokrojony w kostkę, parę szalotek lub małych cebulek, jedna lub dwie papryki, sporo owczego sera, oliwki — wszystko to lekko skropione oliwą i winnym octem. Sałata była pyszna, Krzysztof się nią zajadał, a zachwyceni goście mieli miłe poczucie, że jedzą potrawę wręcz wyjątkową: smaczną, nie tuczającą, zdrową, a na dodatek piękną pod względem kolorystycznym.

Dobrze wiedziałam, dlaczego to sobie właśnie teraz tak wyraziście przypominam. Była to od wieków moja specjalność: intensywnym opowiadaniem sobie byle czego zagłuszać niepożądane myśli.

Wszyscy złożyli już gospodyni należne hołdy, każdy poprosił o dokładkę i pani Teresa stawiając na stole ogromną salaterkę z sałatą westchnęła z głębi serca:

— Jakby Jadwidze smakowała ta musaka...

— A nieszczęsny Lucjan załamywałby ręce, że żona się tuczy — pospieszyła z pomocą Beata widząc, że pan Julian truchleje ze zgorzienia.

Profesor Bartosz podniósł wzrok znad talerza.

— Czy mówicie państwo o niedawno zmarłej pani Jadwidze Hron?

— Właśnie zaczynamy — oznajmiła Beata.

— Wszyscy państwo ją znali, prawda? — Rozejrzał się. — Ją i jej męża?

— Oczywiście. Spędziliśmy razem parokrotnie lato. Nie zaprosiłam go, bo jest bardzo nieszczęśliwy. Rozdarłoby mu to rany.

— A poza tym — wiotka Beata lubiła stawiać kropki nad i — trudno paplać o świeżych zwłokach przy świeżym wdowcu. — Lekko się stropiła napotkawszy mój wzrok. Uświadomiła sobie, że i ja jestem w żałobie po Jadzi. —Przepraszam, ale odkąd dowiedziałam się, że sama też umrę, nie otaczam nieboszczyków przesadnym szacunkiem.

— Śmierć rzecz zwykła. Nie pochwalam jej co prawda, ale trudno protestować. Bardzo się jednak buntuję przeciw śmierci przedwczesnej. Za życie należy być wdzięcznym naturze i nie wolno go skracać — profesor Bartosz mówił powoli, niesłuchanie starannie artykułując słowa.

— Przecież to sprawa osobista. Jeśli ktoś chce zrezygnować z dalszego ciągu... No bo nie można zaprzeczyć, że to jego własność — inżynier Maniewicz był niespodziewanie poważny.

— Owszem. Istnieje nawet coś, co nazywamy pędem do samounicestwienia, wrodzone pragnienie śmierci, ale u osobników normalnych znacznie nad nim przeważa instynkt samozachowawczy. Nie mówię o wypadkach specjalnych. Jak na przykład to — profesor nie zmienił tonu głosu — że wszyscy z apetytem rzucimy się zaraz na deser przygotowany przez Teresę. Dla ludzi w moim wieku to niemal samobójstwo. Ani też nie mówię o psychopatach. Tam śmierć przedwczesna kończy życie skażone. Ale człowiek zdrowy, normalny? Pani Hron była przecież całkiem normalna, prawda? — zwrócił się wyraźnie do mnie, ale wyręczył mnie Krzysztof.

— Jadwiga była uosobieniem biologicznego trwania, żywotności, wrodzonego optymizmu.

— No proszę — profesor jakby posmutniał, — Jeśli taka osoba popełnia samobójstwo, to znaczy najczęściej, że ją zaszczuto. Taka decyzja nigdy nie jest łatwa, ale w tym wypadku musiała być niesłuchanie trudna. Jeśli tak lubiła żyć, to wiedziała, czego się wyrzeka. Wolałaby być tu z nami przy stole, czy nie?

— Na pewno. I ukradkiem, żeby mąż nie widział, dokładałaby sobie na talerz patrząc komuś niewinnie w oczy i z przejęciem rozmawiając.

— Nie pozwalał jej jeść za dużo?

— Nie pozwalał! — Pani Teresa rozłożyła ręce. — Jadzi trudno było czegokolwiek zabronić!

— Miał całkowitą słuszność — doktor Wiśniewski uznał, że skoro rozmowa wkracza w jego dziedzinę, ma prawo Babrać głos. — Robiła się ociężała, mniej chodziła. Każdy lekarz przede wszystkim zarządziłby dietę.

— Okropnie ją dręczył — współczucie Maniewicza miało odcień osobistego zaangażowania. Sam miał skłonności do tycia.

— Przez to się nie zabiła, ręczę wam — Beata za długo milczała. — Była mu, prawdę mówiąc, wdzięczna. Zawsze, kiedy go nie usłuchała, próbowała go przebłagać. Jak przeproszała, kiedy się boczył!

— Ktoś ją jednak skrzywdził — Magdalena Korda mogła mówić najcichszym głosem i tak wokół zalegało milczenie. — Lub jej nie chciał pomóc. Przecież nie los. Jakiś człowiek lub ludzie.

— I dlatego nachodzi nas milicja?

— Dokuczył wam Staszek Kawecki? — Profesor nie udawał, na szczęście, że jest to dla niego niespodzianka. — Biedak! Tak się szczyści swoim taktem.

— Nie dokuczył. Zaciekawiał.

— Władze śledcze zawsze interesują się przyczynami nagłej śmierci. Tereso, jeśli ci ulegnę i zjem jeszcze kawałek tego ciasta, i mnie ona spotka.

— W ogóle dajcie już spokój. — Pan Julian uznał, że zmiana tematu rozmowy należy do obowiązków gospodarza. — Przecież to nie stypa, żeby mówić ciągle o zmarłej.

— Stypa ma swoje dobre strony. Oswaja z myślą o śmierci. Ja chcę wiedzieć, że kiedy umrę, ludzie będą o mnie plotkowali — oświadczyła wojowniczo Beata. — Dobrze i źle, wszystko jedno. Żeby w pamięci coś po mnie na świecie zostało.

Przerwał jej piękny głos Magdaleny.

— A ja opowiem zdumionemu światu, jak się to stało.

Dowiecie się, panowie, o czynach krwawych,

o czynach okrutnych i dyszących żądzą,  
o czynach sprzecznych z prawami natury,  
o przypadkowych zabójstwach,  
wyrokach przypadku —  
o śmierci zadawanej podstępem,  
pod przymusem,  
na koniec o planach, panowie,  
które się załamały  
i runęły na głowy tych,  
co je uknuli.  
Wszystko to wam opowiem.\*

Przez długą chwilę panowała cisza. Jakbyśmy wsłuchiwali się w echo opowieści Horacego o wydarzeniach na duńskim dworze. Pierwszy odezwał się inżynier Maniewicz.

— Strasznie groźne rzeczy pani zapowiada.

— To nie ja, to przyjaciel Hamleta, Horacy — Magdalena zmieniła się w skromniutką starszą panienkę z dobrego domu.

— Szekspir był krwiożerczy — oznajmiła Beatka. — Nawet w najkrwawszych współczesnych kryminałach nie ma tylu trupów, ile w jego tragediach.

— Nadmiar jest w złym smaku — mruknął Krzysztof. — A wielkie dzieła nie boją się złego smaku.

— A może czasy łagodnieją?

Profesor Bartosz spojrzął na doktora Wiśniewskiego z zainteresowaniem.

— To może dziwnie brzmi po największej wojnie w dziejach ludzkich, ale skłonny jestem przyznać panu rację, panie doktorze. Ewolucja gatunku zmniejsza chyba skłonność do bezinteresownego okrucieństwa. Nikt nie był tak mściwy jak greccy bogowie. Hera zmusza Heraklesa do dzieciobójstwa, Afrodyta gubi z zemsty Hipolita i Fedrę, z woli Przeznaczenia, za wiedzą Apolla, szlachetny Edyp zabija ojca i poślubia własną matkę. Tenże Apollo doprowadza Orestesa do matkobójstwa. Rachunek drobnych krzywd, jakie bogowie wyrządzili ludziom, też jest niemały. Oni byli małostkowi. Przepraszam, znowu sięgam do swojej dziedziny.

— Ja tam mitologię kiedyś znałem, owszem, ale wyrzuciłem ją z pamięci, jak miałem trzynaście lat. Niepotrzebny balast odbiera sprawność umysłowi — oświadczył chętnie inżynier Maniewicz.

Magdalena ślicznym, aktorskim gestem odrzuciła głowę do tyłu.

— A dla mnie mity są stale obecne. Jakby się nadal działy.

Nasze wakacyjne rozmowy zwykle sprowadzały się do przerzucania się żartami i wymiany informacji. Toteż zaskoczyła mnie nieoczekiwana powaga tych ludzi, których znałam od innej strony. Profesor miał rzadki dar pobudzania ludzi do myślenia. Teraz jednak zwrócił się wprost do mnie. Mówił cicho, usiedliśmy z boku na tapczanie, nie przejęłam się piorunującym spojrzeniem pani Teresy. Chciałam pobyć trochę sam na sam z profesorem, potrzebne mi to było. Pomoże mi to uśmierzyć niepokój, niech mi w tym nikt nie przeszkadza.

— Przepraszam za tych greckich bogów. Nie należy się na nich zbyt często powoływać. Ale chciałem — przyznam szczerze — przenieść rozmowę na inne tory. Dla nich śmierć pani Jadwigi to temat do konwersacji, ale dla pani to śmierć przyjaciółki. Trudno sprostać takiej stracie.

---

\* W. Szekspir — „Hamlet”. Akt V, scena 2 (spolszczył J.S. Sito).

— Nie tylko o to chodzi. Jesteśmy przecież w wieku, w którym się umiera. — Profesor pokręcił z lekkim uśmiechem głową, lecz nie dałam sobie przerwać. — Ale samobójstwo to bardzo samotna śmierć. I zmienia przeszłość. Przyjaźń, która nie wie, że najbliższy człowiek jest na dnie rozpaczy? To mnie bardziej gnębi niż strata Jadwigi.

— Są ludzie, którzy wolą się dzielić sukcesami niż klęskami. Unikają litości.

— Jadwiga taka nie była. — Szukałam nieporadnie właściwego określenia. — Jadwiga była gadatliwa. Lubiła mieć tematy do zwierzeń. I jeszcze... Jak by to wytłumaczyć? Dla niej własna porażka nie była porażką.

— Ciekawe, ale nie bardzo rozumiem. Była przecież ambitna?

— Nadmiernie ambitna. Nie przyjęto na przykład jej prac na zbiorową wystawę. I zaraz ta wystawa była nic niewarta, a ja mam pecha, że nie mogę się od niej wykręcić.

— Obracała wszystko na dobre dla siebie?

— Właśnie. Sama sobie wmawiała, że jest cudownie. Cierpiała tylko, kiedy rzucił ją Andrzej. Bo nie lubiła być kobietą porzuconą. Też próbowała to po swojemu wykręcić. Ale nikt nie wierzył jej zapewnieniom, że jest w gruncie rzeczy zadowolona.

— A w drugim małżeństwie była szczęśliwa?

— Szczęśliwa to chyba za dużo. Lutek jest suchy, pedantyczny, cały składa się z nawyków i fobii. Nie jada drobiu, nie lubi ciętych kwiatów, nie może zasnąć w mieszkaniu, w którym jest brudna bielizna, i co dzień domaga się, żeby wszystko było wyprane. W ogóle jest wymagający. Ale solidny i godny zaufania. Myślę, że Jadwiga wołałaby romantyczniejszego partnera. Z Lutkiem za to czuła się bezpiecznie.

— Co to za sekrety? — Beata trzymała się już co prawda jedną ręką za bok w miejscu, w którym jej zdaniem znajdowała się tajemnicza śledziona, a drugą chłodziła sobie czoło, bynajmniej nierozpalone, ale oczy błyszczały jej i uśmiechała się zalotnie. — Na pewno piekielnie interesujące.

Przywróciła mi poczucie rzeczywistości. Rzeczywistością byli goście państwa Bernackich, którzy rozsiedli się, jak kto mógł najwygodniej, na niskim tapczanie, dwóch fotelach i odstawionych od stołu krzesłach. Wszyscy łakomym wzrokiem patrzyli na profesora Bartosza.

Teresa postanowiła zapomnieć o obietnicy, że będzie taktowna i dobrze wychowana, i poprowadzić rozmowę tak, jak dyktowały jej własne chęci.

— Bo u każdego z nas, rozumiesz, Andrzej, był dzisiaj lub wczoraj kapitan Kawecki z wydziału zabójstw. I właściwie całe to przyjęcie jest po to, żeby rzecz omówić. To nie znaczy — zastrzegła się, — żeby ustalić kłamliwą wersję, mającą sprowadzić śledztwo na manowce. — Bardzo była dumna, że tak ładnie to określiła. — Po prostu chcemy odgadnąć, o co mu chodzi. Dlaczego nagle zainteresował się nami, o co kogo pytał i do czego zmierza.

— To przecież jasne. Mówiliśmy już o tym, że kapitan Kawecki bada okoliczności gwałtownej śmierci.

— Ale dlaczego dopiero teraz? Po dwóch tygodniach?

— Co tu jest do badania? Otruła się i zostawiła list. Nic dodać, nic ująć.

— Nie wiedziałam, że takimi sprawami zajmują się aż kapitanowie.

— I co my mu możemy powiedzieć?

Mówili chórem, każdy chciał przebić się przez pozostałych. Znowu poczułam się nieswojo. Jakbym czekała, na nieszczęście, a nie miała je już za sobą. Inżynierowi Maniewiczowi udało się oczywiście przekrzyczeć innych i właśnie wygłaszał przemówienie o Samobójstwie Jako Postępku Nieetycznym, a Magdalena jak zwykle wpatrywała się w niego zachłannie, jakby chciała utożsamić się z nim, nabrać jego pewności siebie, poczucia własnej nieomyślności.

— Ja bym surowo karał samobójstwo — zakończył swoją perorę inżynier.

— Udane czy nieudane? — zapytał z całą powagą Krzysztof.



— Tak się czuję, jakbyśmy czegoś nie dopilnowali — pan Julian wbrew uprzednim postanowieniom też dał się wciągnąć w rozważania. — Dopiero byliśmy z nią razem. Wydawała się zwyczajna, pogodna. A już wtedy musiała coś przeżywać...

Przeżywać coś, czego nie chciała przeżyć? Ale co? Jakby siedziała w głębokim dole i wzbraniała się wyciągnąć do mnie rękę. Może bym ją wyciągnęła? Każdemu w nieszczęściu można ulżyć.

— Wcale do niej żadna tragedia nie pasuje. Taka była dowcipna. Jeszcze teraz w Rudzie nakrzyczała na Małgosię. niesprawiedliwie, bo Małgosia słyszała przez ścianę, że Hronowie sprzeczą się o kawę, i zanosła Jadwidze filiżankę neski. Na pewno w nieodpowiednim momencie, ale wiecie przecież, jak Małgosia panią Jadzię uwielbiała. I Jadzia na przeprosiny przysłała jej rysunek, jak sama stoi w pokutnych szatach z głową posypaną popiołem, i pod tym śmieszny wierszyk: „Kto do gniewu skorzy, ten potem jest sorry i do późnej porry wciąż pełen pokorry”. Przecież nie można żartować planując samobójstwo!

Żarcik Jadwigi nie wydał mi się aż tak śmieszny, ale opowieść Krysi Maniewiczowej musiała zrobić wrażenie na profesorze, bo przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niej oczu.

— Ostatnio już nie była specjalnie wesoła — pani Teresa mówiła wolniej niż zwykle. — Bardzo martwiła się o pana Krzysztofa. Jadwiga lubiła mieć przedmiot troski, ale tym razem traktowała to niesłychanie serio.

To prawda, Jadzia lubiła kimś się martwić, dawało jej to poczucie wyższości, utwierdzało w przekonaniu o własnym szczęściu. Tak jej zależało na tym, żeby uważano ją za szczęściarę. Na tamtym świecie, jeśli jakiś nieboszczyk wyraża jej współczucie, na pewno odpowiada dumnie, że ulubieńcy bogów umierają młodo. To znaczy odpowiadałaby tak. Bo po samobójstwie trudno chyba głosić takie teorie?

Siedzieliśmy u Bernackich dość długo. Cały czas coś mnie w środku uwierało. Jakaś myśl, której nie umiałam sformułować. Niejasne uczucie niewygody. Może rzeczywiście nie miała sensu taka stypa z obcymi ludźmi po śmierci kogoś bliskiego? Choć przecież nic z tego, co oni mówią, mnie nie rani. A czuję się poraniona. Czy to dlatego, że Krzysztof tak mało zwraca na mnie uwagi? Był raczej małowówny, ale swoje komentarze, celne i często zabawne, zawsze kierował do kogo innego. Jakby umyślnie mnie omijał. Znowu myślę o sobie i Krzysiu. Otrząsnęłam się. Dręczyło mnie poczucie winy, że zaabsorbowana chorobą Krzysztofa, nie mogąc dojść do ładu z samą sobą, nie dość przejmowałam się zmianami, jakie powinienam dostrzec u Jadzi. Jadwiga zmieniła się. Od kiedy? W samochodzie, kiedy wiozła mnie do Rudy, powiedziałam jej: „Ty się nigdy nie zmienisz”, odrzekła buńczucznie, że nie widzi powodu. Przez pierwszy okres nad Wigrami też wcale nie była zatroskana. Dobrodusznie patronowała mojemu pojednaniu z Krzysiem, stawiała nam wino, zachwycała się, jaką jesteśmy dobraną parą. Dopiero ostatnio... Chodziła zamyślona, mniej mówiła, łatwo wpadała w irytację. A ja byłam zajęta sobą. Ciągłe jestem zajęta sobą. A potem usiłuję korygować przeszłość. Bezsensowny zabieg. Przeszłość jest nieodwracalna. I niestety, to, co przeszło, istnieje nadal. Jak to powiedział Gerhardie?\*, „Czym jestem, pytałem sam siebie, ja, który chodzę po lotnych piaskach teraźniejszości i dźwigam na plecach swoją przeszłość? Jestem pamięcią. Żyję o tyle, o ile pamiętam. Jeśli coś mi się nie zdarzyło, jestem o tyle mniej żywy”. Przez chwilę zdawało mi się, że już wiem, skąd płynie mój niepokój. Ale było to ulotne wrażenie.

Wzmógł się we mnie tylko żal, że nie wiedziałam o Jadzi najważniejszego. Czy można człowieka znać całe życie niemal, móc dokładnie, rok po roku, odtworzyć jego biografię i nie wiedzieć, dlaczego odechciało mu się żyć? To znaczy, nie wiedzieć nic? A Krzysztof? Leżymy obok siebie w łóżku, obejmuje mnie lewą ręką, włosy na jego piersi lekko łaskoczą mnie w policzek. Jest mi ciepło i bezpiecznie. Rano śpiewa w łazience, wychodzi ogolony,

---

\* William Gerhardie, pisarz angielski, znany przed drugą wojną prozaik i eseista.

ma piękne, czyste skronie, blizny na podbródku, niebieskie plamki pod skórą na kolanie, gdzie jako dziecko zapuścił sobie atrament, bo chciał mieć tatuaż. Łatwo się śmieje, woli się bawić, niż pracować. W zabawach jest ambitny, w pracy nie. Dużo czyta, wie o świecie i ludziach z lektur, każdy jest dla niego podobny do postaci z jakiejś powieści. Czy to jest Krzysztof? Czy taki jak teraz, daleki i milczący? Czy uświadomię sobie, jak mało go w istocie znałam, jeśli jutro okaże się, że coś ukrywa? Jeśli zaskoczy mnie nieoczekiwanym postępkiem? Bohaterskim lub podłym? Nie, podłym nie. Do podłości nie jest zdolny na pewno. Ale Jadzia też do jednego nie była zdolna: do odebrania sobie życia. Ludzie nie są tacy, jak się wydają. W każdym razie, jacy się mnie wydają. Łatwo się myślę. O czym Krzysztof teraz myśli?

Wracaliśmy pieszo. Krzysztof nigdy nie brał samochodu, jeśli miał pić wódkę czy wino. Teraz już będziemy mogli brać wóz. Ja łatwo wyrzekam się alkoholu i będę mogła odwozić go do domu. Jeżeli dom pozostanie domem.

— Krzysiu, następnym razem pojedziemy w gości maluchem.

Nie odwrócił do mnie głowy, nie zapytał dlaczego. Wydłużył krok. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

— Ja lubię chodzić pieszo, kiedy jestem objedzony — ciągle patrzył wprost przed siebie.  
— Ty zresztą też dawniej byłaś dobrym piechurem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Rano znowu obudziłam się z uciskiem w sercu. W głowie kłębiły się te same myśli. Co się działo wokół mnie? Dlaczego wszyscy się zmienili, nikt nie jest taki sam jak dawniej? Jadwiga nie żyje, Krzysztof zachowuje się jak daleki znajomy. Ja stoję przed płótnem i nie mogę malować.

Wzdrygnęłam się na dźwięk dzwonka u drzwi. Krzysztofa już chyba nie ma. Przez ostatnie dni wychodził z domu bardzo wcześnie. Nie pytałam dokąd, wołałam nie narażać się na wykrętną odpowiedź. Schodząc na dół po stromych schodach myślałam jeszcze z rozpaczą i zdumieniem, że w moim życiu zaszło coś nieodwracalnego, że wszystko przyjęło zły obrót, ma złe zakończenie: przyjaźń, małżeństwo, twórczość.

Nie spytałam, kto tam, i kiedy na progu ujrzałam Lutka, załapała mnie fala współczucia. Wyglądał starzej o dobre dziesięć lat, był blady, miał pomiętą twarz, jakby go wyprano i nieporadnie wyprasowano zostawiając mnóstwo zmarszczek. Oczy miał mocno podpuchnięte. Jakże mi go było żal, że płacze samotnie w opustoszałym mieszkaniu — mieszkanie bez Jadzi było na pewno bardziej opustoszałe niż bez kogokolwiek innego.

— Dzień dobry — zaciął się lekko. — Czy mogę wejść? Przepraszam, że tak wcześnie i bez telefonu.

— Ależ, Lutek, nic by mnie nie mogło bardziej — zawahałam się, jakiego słowa użyć — pocieszyć. Chodź, proszę.

Wieszając płaszcz mówił:

— Nic nie chcę, tylko posiedzieć trochę z tobą. Nawet nie rozmawiać. Żeby to było we dwójkę z moimi myślami, a nie sam na sam. Rozumiesz?

Usiadł przy stole, ale jakoś dziwnie, na samym brzeżku krzesła, jakby miał zaraz się zerwać.

— Kawy? Herbaty? Nie wiem, czy ci o tej porze można proponować drinka?

— Wypiłbym nawet kieliszek, bo mi zimno — miał żalosny wzrok zbitego psa — ale się boję. Faszeryję się środkami na sen.

— Lutek, czy ty nie masz grypy? Przecież cały się trzęsiesz.

— To ze zdenerwowania. Nie jestem chory. Nie mogę być. Bo kto by koło mnie chodził? — przypuszczał, zdaje się, że to brzmi żartobliwie.

— Zanim się ożeniłeś z Jadwigą, też bywałeś chory.

— To co innego — potrząsnął głową, — Byłem człowiekiem żyjącym samotnie, częścią świata. A teraz bez niej jestem sam na świecie — znowu wstrząsnął nim dreszcz, ale spróbował się do, mnie uśmiechnąć. Zapiekły mnie oczy pod powiekami:

Wyciągnęłam z barku Remy Martin, mój ulubiony koniak, rezerwę na złe momenty, kiedy odpychało mnie od sztalug na całe życie i trzeba było się przemóc, żeby znowu wejść do pracowni. Przyniosłam z kuchni wodę sodową i w wysokich szklankach zrobiłam nam obojgu *fine a l'eau* — koniak z wodą i lodem, chociaż trochę szkoda mi było na to tak szlachetnego trunku. Ale w tej sytuacji łatwiej było rozmawiać ze szklanką w ręku,

Lutek przyjął drinka z wdzięcznością, po pierwszym łyku nieco się ożywił.

— Nie mówmy o mnie, błagam. Opowiedz, co słyhać u ciebie? Pracujesz nad drugim obrazem?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem, czy pierwszy skończę.

— Jak to? — był szczerze przejęty. — Nie masz prawa. Przecież zobowiązałaś się wystawić trzydzieści trzy.

— Ale wystarczy i trzydzieści dwa.

— Nie wypada — zaprotestował. — Pomyśl, młoda malarka w rozkwicie talentu! Uznają, że ich lekceważysz.

Nie był już nieszczęsnym, zagubionym wdowcem. W jego głosie zabrzmiały dawne, apodyktyczne tony.

— Mogę być akurat w złej formie. Co przecież jest prawdą. A zresztą mam dawniejsze obrazy.

Obruszył się.

— Dawniejsze są w innym stylu.

— Ten też będzie w innym stylu. Jeśli go w ogóle skończę.

— Coś ty? — Aż poczerwieniał z oburzenia. — Co ty wygadujesz. Nie wolno do tego stopnia zaniedbywać obowiązków. Nie możesz sobie na to pozwolić. Zniszczy ci to karierę. Teraz nie jest modna nieodpowiedzialna cyganeria. Artysta musi być godny zaufania. Żaden marchand nie będzie lansować lekkoducha. Malarz dzisiaj musi być pracowity.

— Nie bądź taki zasadniczy. Praca nie jest jedyną cnotą — zdałam sobie z pewnym rozbawieniem sprawę, że cytuję Krzysztofa. — Mogę uprawiać inne.

— Nie chodzi tylko o pracowitość. Los obdarzył cię talentem nie po to, żebyś go marnotrawiła. W ogóle nie rozumiem. Nigdy nie byłaś kapryśną histeryczką.

Byłam zadowolona, że coś go wyrwało z apatii, ale nie miałam ochoty na kłótnię. Powiedziałam cicho.

— Lutek, daj spokój. Wcale nie chcę rezygnować. Ale nic mi nie wychodzi. Za dużo ostatnio przeżyłam i, bo ja wiem, odebrało mi to natchnienie.

Spowaźniał.

— Pozwól mi spojrzeć na to, co dotychczas zrobiłaś. Zaniepokoiłaś mnie...

— Wiesz przecież, Lutek... Przerwał mi:

— Tak, wiem. Nawet Krzysztofowi i tak dalej... Ale ja nie jestem zwyczajny kibic. Nie zapeszę cię. I nie zranię. Umieję milczeć.

Wzruszył mnie jego zapał, chęć współuczestniczenia w mojej pracy i nagle zdecydowałam się.

— No to bierz szklanę, pójdziemy do pracowni. Ale uprzedzam, że to jeszcze nie wiadomo co.

Istotnie nie bałam się zapeszenia. Właściwie gorzej nic mogło być. Byłam zablokowana, nie umiałam zrobić ani kroku dalej. Jakby ktoś zaciągnął wszystkie hamulce. Paraliżowała mnie też świadomość, że goni mnie termin, że nie mam już czasu. Może cudzy wzrok mnie pobudzi, może coś się w mojej porażonej wyobraźni wreszcie ocknie. Parę razy przecież już mi się zdawało, że ruszę wreszcie z miejsca. Ale ostrożne pochwały i gorące zachęty Lutka nie wzbudziły we mnie chęci do pracy.

Krzysztof wrócił do domu właśnie, kiedy Lutek wychodził. Minęli się w drzwiach, zamienili parę słów. Zanim Krzysztof rozebrał się i umył ręce, zdążyłam nakryć w kuchni do obiadu.

— Marnie wygląda. — Jak zwykle ostatnio unikał patrzenia wprost na mnie.

— Jak przyszedł, było jeszcze gorzej. Dopiero kiedy go wpuściłam do pracowni, trochę się ożywił.

Krzysztof uniósł ledwie dostrzegalnie brwi.

— Pokazałaś mu nie ukończony obraz?

W ciągu sześciu lat naszego pożycia Krzysztof ani razu nie wszedł do pracowni, zanim obraz nie został ukończony.

— Musiałam. Był taki apatyczny. Siedział i patrzył w pustkę, aż ciarki chodziły po plecach. Strasznie był smutny.

— No wiesz, trudno, żeby w dwa tygodnie po samobójczej śmierci żony tryskał dowcipem. Nawet jeśli nie prosił losu, aby chwila trwała, i nawet jeśli nieboszczka nie dawała mu pełni szczęścia — dorzucił.

Znowu był sarkastyczny. Krzysztof, który dawniej tak rzadko posługiwał się ironią, teraz każdą rozmowę, nawet rozpoczętą spokojnie i obojętnie, kończył kąśliwie. Dlaczego jest cierpki? Czym zawiniłam? Przecież powinien być ze mnie zadowolony. Dumny nawet. Uratowałam mu życie. Może dlatego mnie nie lubi? Nie chce być wdzięczny? Ale ostatecznie i przedtem miał powody do wdzięczności.

— Wiesz dobrze, że Jadwiga była dobrą żoną i że byli ze sobą szczęśliwi.

Zatrzymał widelec z kawałkiem mięsa w drodze do ust.

— Szczęśliwi? I żeby nie mącić szczęścia, odeszła z tego świata?

Skuliłam się. Miał rację oczywiście. Ciągłe zapomniałam, że dałam się zwieść pozorom, że Jadwiga żyła i czuła inaczej, niż mnie się wydawało.

— Przepraszam, przykro mi. — Miałam wrażenie, że chce mnie pogłodzić po dłoni, ale trwało to sekundę. Cofnął się razem z krzesłem.

Po krótkim milczeniu odezwał się obojętnym głosem:

— Była bogatsza od niego. To nie jest zdrowa sytuacja dla mężczyzny.

Chciałam zakpić, że zrobił się staroświecki, ale powstrzymałam się. Z nowym Krzysztofem niełatwo było żartować.

— Czego Lucjan tu szuka?

— Niczego nie szuka. Po prostu nie może znieść ciężaru samotności.

— Żartujesz chyba.

— Mówię jak najbardziej serio.

— Cenił sobie samotność do pięćdziesiątki prawie i myślisz, że te dwa lata małżeństwa tak go zmieniły?

— Chyba tak. W każdym razie jest przybity.

— I dlatego pozwoliłaś mu popatrzeć na obraz, który malujesz?

Wreszcie zrozumiałam, dlaczego jest zły, i nieco poweselałam. Jeśli go to gniewa, to znaczy, że go jeszcze obchodzę.

— Bardzo mu na tym zależało. A ja chciałam go pocieszyć.

— I teraz czujesz się jak dobry harcerz po przeprowadzeniu staruszki na drugą stronę ulicy.

Chciał mnie dotknąć. Z trudem przełknęłam ślinę.

— O co ci chodzi? — złąłam się kłótliwego tonu jego głosu. — Ostatnio wszystko masz mi za złe. Każde słowo, każdy gest.

— I tak ci nie grozi kompleks niższości. Odkąd umiesz prowadzić samochód, nie widzisz w sobie żadnej skazy.

— Jesteś zły, że się od ciebie niezależniam? Wolisz, żebym się wszystkiego bała i żebyś mógł występować jako obrońca i podpora?

Fałszywy obrońca, spróchniała podpora — byłam złośliwa, uszczypliwa. Wiedziałałam, że źle robię, że go ranie, mówię rzeczy nieodwracalne, jak w złym śnie miałam i wrażenie, że to powtórka, że już kiedyś stałam na środku kuchni i rzucałam mu w twarz słowa pełne jadu. W twarz, która stopniowo zmieniała się w maskę, gdzie obcość zacierała znajome rysy Krzysztofa zapewniającego mnie w kazimierskim deszczu: Ewa, będziemy razem szczęśliwi.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Odczułam ulgę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, i wdzięczność do kapitana Kaweckiego, że właśnie ten moment wybrał, by zjawić się u nas przepraszając, że bez zapowiedzenia, nie miał skąd zadzwonić, a koniecznie chciał ze mną dzisiaj porozmawiać. Nie bardzo mu wierzyłam, podejrzewałam, że umyślnie mnie nie uprzedził, bo coś knuje po swojemu, ale mówiłam z nim grzecznie, starałam się być miłą, choć w głowie ciągle jeszcze kłębiły mi się nowe zarzuty, stare wyrzuty i rozpaczliwe pytanie, co zepsuło nasze małżeństwo.

— Czy ma to coś wspólnego ze śmiercią pani Hron?

Przez chwilę, otumaniona, miałam wrażenie, że kapitan włączył się w moje myśli. Z trudem zdałam sobie sprawę, że słowa kapitana to dalszy ciąg, że przedtem już coś mówił, czego nie dosłyszałam.

— Przepraszam — zdobyłam się na uśmiech — nie dotarło do mnie, co pan powiedział.

— Mówiłem, że jest pani czymś zaabsorbowana, i spytałem, czy ma to związek ze śmiercią pani przyjaciółki.

Siedzieliśmy w pracowni. Kapitan od razu tu właśnie skierował kroki i teraz rozmawiając ze mną patrzył bynajmniej nie ukradkiem na płótno rozpięte na sztalugach. A co dziwniejsze, wcale mi to nie przeszkadzało, jakbym pogodziła się z faktem, że w jakiejś mierze pan kapitan Kaweckie uczestniczy w mojej pracy.

— Krzysztofowi bym na to nie pozwoliła.

— Proszę? — ocknęłam się słysząc zdumienie w głosie kapitana.

— Przepraszam, panie kapitanie.

Snułam dalej swoje myśli. Śmieszne, dawniej nigdy nie mówiłam głośno do siebie, a ostatnio już parę razy przyłapałam się na tym. Widocznie mój stan się pogarsza, bo zaczynam mówić do siebie nawet w towarzystwie. — Usiłowałam żartobliwym tonem pokryć zmieszanie. — Oczywiście, ma pan rację. Jestem zaabsorbowana śmiercią przyjaciółki — dodałam poważnie.

— Zaraz do tego wrócimy. — Znałam już upór kapitana, że to on wyznacza temat rozmowy i nie można go odwieść żadnym manewrem od wytyczonego planu, chyba że jak pies poczuje świeży trop. — Powiedziała pani, że mężowi nie wolno tu wchodzić? — Zawiesił pytająco głos.

Wzruszyłam ramionami. Wiedziałam, że nie zadowoli się zdawkowym wykrętem.

— Po prostu obawiam się, że mąż ma do mnie lekką urazę. Bo nigdy nie wpuszczam go do pracowni przed ukończeniem obrazu, a dziś najpierw pozwoliłam tu wejść Lutkowi, a teraz znów panu.

— Lutkowi? To znaczy, że był tu dziś pan Hron?

— Inaczej trudno by mi było wpuścić go do pracowni.

— Rozumiem — mówił z namysłem, nie zwracając uwagi na moją próbę ironii. — Czy może mi pani powiedzieć coś więcej o jego wizycie?

Mogłam naturalnie uznać, że kapitan nie ma prawa się tym interesować. Za bardzo już' czuł się współuczestnikiem naszego życia, był wszystkiego ciekaw i miał za złe, że coś dzieje się poza nim. Nie usprawiedliwiała aż tak intensywnego zainteresowania prowadzone przez niego dochodzenie. Ale łatwiej mi było mówić o Lutku niż o napięciu między mną a Krzysiem. Nie tylko mówić, ale i myśleć wolałam o czymkolwiek, byle nie o tym właśnie. Nie było to łatwe. Bo dokładnie relacjonując przebieg odwiedzin Lutka — kapitan przerywał pytając o szczegóły — słyszałam jednocześnie, że Krzysztof zbiega po schodach, otwiera w komnacie szafę. Przebiera się? Nie chciałam, żeby wyszedł. Musimy przecież wreszcie pomówić z sobą uczciwie. Bez irytacji. Bez udawania. Wyjmę butelkę wina, dwa kieliszki,

usiądziemy przy stole i powiem mu: „Porozmawiajmy. Nie masz prawa stać się obcym człowiekiem nie wyjaśniając dlaczego. Inna była między nami umowa”. Znowu nie dosłyszałam pytania kapitana.

— Kiedy powinna pani skończyć obraz? — powtórzył.

— Pakujemy wystawę za cztery tygodnie. Najdalej za trzy muszę być gotowa. Właściwie miałam namalować dwa obrazy — jeden rezerwowy — ale będę szczęśliwa, jeśli zdążę chociaż z tym jednym.

Miałam przez chwilę ochotę spytać go, co go to w gruncie rzeczy obchodzi, ale uznałam, że zmienia temat, aby oderwać moją uwagę od odgłosów w sąsiednim pokoju. Kiedy byłam mała, podejrzewałam ciocię Połę, przyjaciółkę mojej matki, o wszechwiedzę. Byłam absolutnie pewna, że zawsze wie, co się dzieje ze mną i we mnie, i tylko przed nią jedyną nie usiłowałam ukryć swoich strachów, nic nigdy nie udawałam, przekonana, że natychmiast mnie zdemaskuje. Przy kapitanie Stanisławie Kaweckim doznawałam podobnych uczuć. Bynajmniej nie był podobny do cioci Poli, nie przypominał też niczym Pana Boga, ale zdawało mi się, że zawsze widzi podszewkę słów i zdarzeń, że potrafi jednocześnie słuchać, mówić i patrzeć. Ze, jednym słowem, świetnie zna moje myśli.

— Może porozmawiam teraz z pani mężem?

Nie miałam wątpliwości, że wyczuł moje napięcie i postanowił mi pomóc zatrzymując Krzysztofa w domu.

Poszłam w ślad za nimi po paru minutach na górę. Dotychczas nie zdawałam sobie sprawy, jak wyraźnie z mojego pokoju przy nie domkniętych drzwiach pokoju obok słyszeć stamtąd każde słowo.

Kapitan swoim zwyczajem przeprosił i oświadczył, że nie prowadzi przesłuchania, ale chciałby swobodnie pomówić z nim właśnie o Jadwidze Hron.

— Mężowie zawsze wiedzą mnóstwo o przyjaciółkach żon, prawda?

— Nie przypisuję sobie szczególnej celności sądów w dziedzinie psychologii — Krzysztof zawsze starannie dobierał słowa, kiedy był zdenerwowany.

— Rozumiem. Jako sportowiec interesuje się pan raczej stanem ciała niż duszy.

— Nie. Po prostu portret psychologiczny to wynik obserwacji modelu i komentarzy osób postronnych. Ja nigdy nie obserwowałem zbyt ciekawie Jadwigi, a już zupełnie nigdy o niej nie rozmawiałem.

— Nawet z żoną?

Krzysztof zawahał się.

— Ewa czasem coś tam o niej napomykała. Czasem z irytacją, częściej z zachwytem.

Czy on wie, że ja podsłuchuję? Po co kłamię? Jeśli mówiłam o Jadzi, to nie po to, żeby ją chwalić, ale przeważnie, żeby wyrzucić z siebie złość na nią, że mnie terroryzuje, że jest apodyktyczna, że siebie uważa za miarę wszechrzeczy.

— I nie wyrobił pan sobie o niej żadnego zdania? — Kapitan był uparty.

— Ależ oczywiście. Trudno przy ciągłych wieloletnich kontaktach nie mieć własnej opinii o człowieku. Jadwiga uważała, że wiele jej się od życia należy, wszystko, co w nią godziło, traktowała jako niesprawiedliwość natury ogólnej. — Mówił płynniej, niż się spodziewałam, jakby wielokrotnie o tym rozmyślał. — Ale miała wiele zalet. Była uczynna, życzliwa, pełna życia. Więcej jeszcze wad — narzucała swoją wolę, swoje poglądy, nie znosiła sprzeciwu, krytyki. Dla siebie była doskonałością. Dla mnie była przede wszystkim nudna — koniecznie chciała być nieustannie inteligentna, gardziła rozmową o drobiazgach, popisywała się erudycją — od dzieciństwa uciekałem od najlepszych uczennic. Nie można było z nią pomilczeć. Ale nie dziwię się, że Ewa ją lubiła. Więcej — ceniła i w pewnym sensie podziwiała.

— Jaką jej zaletę uznałby pan za dominującą?

Kapitan Kaweckie miał swoje metody.

— Bo ja wiem? Ewa lepiej potrafiłaby panu odpowiedzieć. Umie myśleć syntetycznie. Nie byłaby tak znakomitą malarką, gdyby tego nie umiała.

Wstrzymałam oddech. Nie. Krzysztof nie wie, że słyszę każde słowo. Znam go, wstydziliby się mnie chwalić. Co do pochwalenia znajdzie u Jadwigi? Wytrzymałość na trudy? Ciekawość świata? Życzliwość, gotowość do dobrych uczynków?

— Chyba za najcenniejszą jej cechę uznałbym radość życia. Optymizm zwyczajnie wychodzący nawet z ciężkich prób. Przy niej łatwiej było przejść do porządku nad własnym zmartwieniem czy zawodem.

— Radość życia? Trudno to pogodzić z samobójstwem?

— Nie jestem pewien... Ludzie nie spodziewający się wiele, rzadziej przeżywają rozczarowania. Pamiętam Jadzię z okresu, kiedy rzucił ją pierwszy mąż. Ogłuszyło ją to, ale świetnie sobie z tym poradziła, zachowała twarz, chociaż była przecież gorzko nieszczęśliwa. Umiała przegrywać. Tym razem musiała to być zgryzota ponad jej siły i umiejętność przegrywania.

Krzysiu, jesteś jeszcze lepszy i mądrzejszy. Proszę, kochaj mnie, postaram się na to zasłużyć. Kiedy wyrządziłam ci krzywdę? A może pokochałeś inną kobietę? Poczulałam chłód w sercu. Kapitan żegnał się z Krzysztofem przepraszając za najście. Wysunęłam się cichutko z pokoju, zbiegłam ze schodów na palcach i usiadłam na stołku w kuchni. To była dobra pozycja strategiczna. Pożegnaj się z kapitanem i zatrzymam Krzysztofa, jeśli będzie chciał wyjść bez rozmowy. Nie będę się z nim kłócić. Upokorzę się, przeproszę nie wiadomo za co. Naprawię nasze małżeństwo, jeśli jest do naprawienia, a jeśli nie... Ze skrzyni w korytarzu wzięłam wczorajszą gazetę. Chciałam lekturą zagłuszyć niespokojne myśli. Sądziłam, że ledwie zdążę spojrzeć na nagłówki — kapitana jednak widać coś zatrzymało.

Nie czytam zazwyczaj dokładnie prasy, wolę, jak mi wskażą, co jest ciekawego, ale w kuchni nie było nic innego do czytania, nawet książkę kucharską wyniosłam do swojego pokoju, a myśleć nie miałam ochoty. Wzburzyła mnie wiadomość o kolejnym porwaniu samolotu, przejęta grozą, że na oczach świata morduje się niewinnych ludzi, zapomniałam prawie o Krzysztofie i kapitanie; za to znudziły mnie rozważania o budownictwie, ostra krytyka obecnego stanu rzeczy. Niech to załatwią beze mnie, nie znam się na tym, ci, co się znają, niech usuną usterki, żeby nie trzeba było o nich pisać. Na trzeciej stronie było dokończenie wywiadu ze znanym historykiem sztuki. Nie chciało mi się wracać do początku. Musiał tam mówić o stratach z powodu kradzieży lub zniszczenia dzieł sztuki, bo w dalszym ciągu wymienił Rubensa spalonego podczas pożaru kościoła Św. Józefa w Kaliszu i Cranacha skradzionego z Marcinówka. Rozśmieszyło mnie pytanie dziennikarza, co wydaje mu się większą stratą — jeśli przypadnie arcydzieło malarza obcego czy mniej słynnego, ale rodzimego. Historyka także to pytanie wyraźnie zaskoczyło, bo natychmiast zaczął sam sobie przeczyć i po stwierdzeniu, że Polska jest krajem bogatym w arcydzieła — chwalenie swojskości przeszło u nas w nałóg — odrzekł, że po hekatombach wojny w kraju na skrzyżowaniu dróg każda strata jest niepowetowana.

Kapitan nadal nie schodził. Żałowałam, że nie słyszę, o czym rozmawiają. Przeglądałam ogłoszenia — nie najmniej ciekawą stroną gazety. Lubiłam czytać zwłaszcza oferty sprzedaży: błotniki do fiata oraz znaczki księstwa Monako w jednej ofercie, kozuch afgański i botki włoskie, salon Ludwik XVI i żyrandol rococo, samochód antyk, nasiona nasturcji. Na górze lekko stuknęły drzwi, zerwałam się ze stołka i zabrałam do mycia czystej szklanki. Pierwszy na progu kuchni stanął kapitan. Pocałował mnie w rękę, jeszcze raz przeprosił za nie zapowiedzianą wizytę, niestety nie ostatnią, jak ostrzegął. Krzysztof nie wspomniał, dokąd idzie i kiedy przyjdzie. Narzucił kurtkę, wyszli razem, nie mogłam go zatrzymać. W mieszkaniu zrobiło się bardziej pusto, niż gdyby było nie zamieszkane. Zalała mnie fala goryczy, obrazy. Zaciśnęłam zęby, już nie planowałam, że go prześlągam. Postanowiłam z



urazonej ambicji zrobić sobie laskę, wesprzeć się na niej, zdusić ponizającą chęć pogodzenia się za wszelką cenę.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że przeszłam do pracowni. Ocknęłam się przed zaczętym obrazem, wzburzona i pełna niechęci. „Maluj — powiedział Lutek — tylko sztuka ma sens, wszystko inne — mija bez śladu”. Lutek jest dla mnie lepszy niż Krzysztof. Nie będę myśleć o Krzysztofie. Namaluję pogodny obraz ku pokrzepieniu serc.

Pracowałam długo. Przez radio nadawano „Tytana” Mahlera. Zgasiłam je, kiedy skończyła się muzyka, i po chwili ze zdziwieniem stwierdziłam, że pogwizduję mahlerowską wariację prościutkiego kanonu o braciach Jacques. Po raz pierwszy od wielu tygodni byłam nawet zadowolona z tego, co robiłam. Opadły ze mnie gniewy i smutki. Kiedy wreszcie odłożyłam pędzel, miałam dwa pragnienia: napić się mocnej herbaty i powiedzieć komuś, że dobrze mi się malowało. Jadzi nie było na świecie, Krzysztof nie wrócił. Nastawiłam czajnik i zadzwoniłam do Lutka. Chciałam stłumić radość w głosie, ale musiał ją wyczuć i nie miał o to pretensji.

— Naprawdę dobrze ci poszło?

— Chyba tak. Dzwonię, bo to dzięki tobie. Zachęciłeś mnie, wzięłam się w garść. — Wyraźnie zobaczyłam siebie skuloną w wielkiej garści. Roześmiałam się.

— Słyszę, że jesteś zadowolona.

— Bo to taka ulga. Po tylu tygodniach.

— Rozumiem — westchnął. — Jak ci zazdroszczę. Sam bym też chciał się zapamiętać w tworzeniu piękna, ale umiem je tylko podziwiać — zabrzmiało to nieznośnie patetycznie i zawstydziłam się. Najchętniej zakończyłabym rozmowę, z kuchni dochodziły odgłosy gotującej się wody, ale Lutek chyba rozsiadł się wygodniej w fotelu.

— Był u mnie znowu kapitan Kawecki. Koniecznie chce dotrzeć do przyczyn samobójstwa Jadzi.

Zacisnęłam dłoń na słuchawce.

— Lutek, czy ty wiesz coś, czego ja nie wiem?

Milczał długo.

— Nie. Ale trochę się domyślam, tylko nie mogę przecież mówić o tym z obcym człowiekiem.

— Ja nie jestem obca...

Nawet nie zauważył, że mu przerwałam.

— Jadwiga była ze mną szczęśliwa. Wiem to na pewno. Nie kłamałaby słowem, gestem, spojrzeniem. Ale chciała ciągle tak samo intensywnie to szczęście przeżywać. Ja nie jestem Romeo ani Tristan. Nie nadaję się na to — skinęłam bezwiednie głową. Rzeczywiście bardzo się nie nadawał. A na dodatek Jadzia, no pomyśl tylko, lękała się, żebym jej nie porzucił. Jak Andrzej. Bo może ty nie wiesz, ale ona przez odejście Andrzeja straciła pewność siebie. Z twardej ziemi przeniosła się na grząski grunt. I stale bała się, że się zapadnie. Budziła się w nocy z krzykiem. W dzień była wesoła, gadatliwa — w nocy nachodziły ją depresje. Mówiła, że sama siebie nudzi, że ma do siebie odrazę. Że trudno współżyć z człowiekiem, którego się nie lubi, a ona siebie nie lubi.

— Jadzia siebie nie lubiła?

Mówił coraz szybciej i głośniej:

— Ewo, tyś jej wcale nie znała. Może dawną tak, ale nie tę obecną. Moja żona co dzień robiła rachunek krzywd i rozczarowań. I widzisz, to jest moja największa zgryzota. Nie umiałem jej przywiązać do życia. Nie potrafiłem utwierdzić jej w dobrym mniemaniu o sobie. Są ludzie, którym to jest potrzebne jak powietrze. Jadzi zabrakło powietrza. Uznała, że nie istnieje, skoro nikomu nie jest potrzebna, i otruła się.

Tak musiało być. A ja o tym nie wiedziałam. O mojej najlepszej przyjaciółce?

— Ewo, jesteś tam?

— Jestem.

— Przepraszam cię. Nie chcę przecież ci przeszkadzać — w jego głosie brzmiała prawdziwa rozpacz. — Niepotrzebnie ci to mówię. Po to, żeby ulżyć własnemu sumieniu, obarczam twoje. Przebaczone, błagam. — Płakał. Nie mogłam tego znieść.

— W porządku, Lutek. Rozumiem, że wolałeś mi to powiedzieć przez telefon niż wprost.

— Właśnie. Nie chcę się rozklejać. — Biedak! — Zrób sobie mocnej herbaty i idź z Krzysztofem do kina.

Pomyślałam, że zacznę krzyczeć, jeśli doda „trzeba z żywymi naprzód iść”. Ale nie dodał. Pożegnałam się dość szorstko i szybko pobiegłam do kuchni. Woda prawie się wygotowała, ale starczyło jeszcze na jedną szklankę. Rozmowa z Lutkiem rozwiała nastrój euforii. Nie udało mi się nie myśleć o Jadzi, choć próbowałam zagłębić się w lekturze ostatniego Rossa MacDonalda — kłopoty Lwa Archera często pomagały mi zapomnieć o własnych. Kiedy wreszcie posłyszałam chrobot klucza w zamku, pomknęłam na korytarz jak błękitny ekspres. Niemal rzuciłam się Krzysztofowi na szyję. Byłam zdecydowana nie zwracać żadnej uwagi na jego reakcję. Pocałowałam go w usta ciepłe i znajome, rozweseliło mnie to i prawie pieszcząc się — ja! — zaczęłam paplać szybko, nie dopuszczając go do głosu.

— Krzysiu, nareszcie mi się dobrze malowało. Taka jestem szczęśliwa. Krzysiu, musimy to uczcić. Krzysiu, chcesz, napijemy się wina, mamy butelkę greckiego białego, zrobię ci omlet, już ci od lat nie robiłam, dobrze, Krzysiu?

Był zbity z tropu.

— A czy ja jestem głodny?

— Na pewno. Chcę ci pokazać, co namalowałam, i wolę, żebyś miał słodki smak w ustach i lekki szum w głowie.

Rozbawiło mnie jego zdumienie.

— Przecież chyba jeszcze nie skończyłaś obrazu?

— Skądże! Ale już go trochę widać. I jakoś mi nie przeszkadza cudze spojrzenie. To znaczy nie cudze, ale twoje.

Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Wolał mi nie psuć nastroju wypominając Lutka czy kapitana. Ucieszyłam się, że nie protestuje i zgadza się razem ze mną bawić w dobre małżeństwo. Siedzieliśmy w kuchni na wysokich stołkach. Zrobiłam omlet z konfiturą wiśniową, którą jak co roku dostałam od matki. Krzysztof spokojnie zdawał sprawę z rozmowy z kapitanem. Okazało się, że trwała tak długo, bo mówili jeszcze o sportach wodnych, o naszej przeprawie z wyspy do pensjonatu i o mojej niespodziewanej dzielności.

— Musiałem szczegółowo opowiedzieć, jak uratowałaś mi życie.

— Nie mów głupstw. Każdy by to zrobił sprawniej. — Nie, przeszło mi przez gardło, że dowiedziałam tym, jak go kocham. — Ja na tym skorzystałam. Przełamalam głupie strachy. Zmieniłam się.

— Zmieniłaś się.

— Na lepsze chyba.

Nie uśmiechnął się.

— Chyba na lepsze. W każdym razie na samodzielniejsze. Nie potrzebujesz już buforu między sobą a światem. Możesz być zdana na samą siebie, bardziej nawet niż dawniej, zanim mnie spotkałaś, i nie będziesz mi wyrzucać, że cię ubezwłasnowolniłem.

Wstałam.

— Chodź do pracowni. — Nie chciałam się spierać, a nawet przekomarzenie się przy naszych otwartych ranach mogło doprowadzić do stanu zapalnego.

Krzysztof był ostrożny.

— Chyba będzie mi się podobał — powiedział po dłuższej chwili. — Nie wiem, czym go zapelnisz, ale już ma nastrój. Jest inny.

Trochę byłam rozczarowana. Zdawało mi się, że widać już na płótnie konstrukcję zwartą, dobrze zrównoważoną, sądziłam, że Krzysztof zauważy przekorę, dowcip, czułość. Ale wychodząc dorzucił tylko:

— Wydaje się duży. Jakby płaszczyzna stała się większa po zamalowaniu.

Poszliśmy na „Intrygę rodzinną”. W kinie śmiałam się. W drodze powrotnej wsunęłam Krzysiówi rękę pod ramię, udawałam, że jest mi lekko na sercu, że jestem beztroska i zadowolona z życia. Ale nie byłam. Nadal coś mnie gnębiło i gniotło. Udawałam szczęśliwszą, niż jestem. Jak tyle kobiet przede mną. Jak Jadwiga. Jak Jadwiga przed śmiercią.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kapitan Kawecki zadzwonił o dziewiątej rano. Krzysztofa znowu nie było w domu. W czwartki miał od ósmej lekcje w szkole. Robiłam właśnie sobie w kuchni kawę, żeby otrząsnąć się z resztek snu, w którym działo się coś przykrego, czego pamięć na szczęście nie chciała zachować. Obudziłam się z ciężką głową i łzami w oczach — nie wiadomo dlaczego, bo ubiegły dzień był przecież stosunkowo pogodny. We wtorek wróciliśmy z kina w zgodzie, rozbawieni pomysłami Hitchcocka. Wypiliśmy jeszcze po kieliszku wina rozmawiając przyjaźnie o błahostkach. Wczoraj Krzyś był w szkole, a ja do dwunastej malowałam. Byłam zadowolona, już dobrze widziałam, jak ma obraz wyglądać, wiedziałam, że go ukończę najdalej za tydzień, dwa tygodnie. Nawet zawiadomiłam o tym telefonicznie Lutka i sprawiła mi przyjemność nieklamana ulga w jego głosie.

— Tak się bałam, że to nasze nieszczęście pochłonie i twoją szansę. Wiesz, tak jak z kamieniem rzuconym w wodę. Kręgi rozchodzące się od niego mącą wodę na dużej przestrzeni. — Był nastawiony filozoficznie. Mówił jak zawsze pedantycznie i powoli, ale z przejęciem, które mnie wzruszyło. Zależało mu na mnie bardziej, niż sądziłam, i w myśli zawiadomiłam Jadzię, że niesłusznie bała się po ślubie, jak się ułożą moje z nim stosunki. On cię będzie nudził, a ty, zanim go lepiej poznasz, już go skreślisz z listy ewentualnych przyjaciół — oświadczyła z żalem po powrocie z pierwszej wspólnej z nim podróży za granicę, kiedy ociekłam z powitalnej kolacji nie mogąc dłużej słuchać nie kończących się opisów drzwi kościelnych, którymi raczył mnie jako znającą się na rzeczy artystkę.

Pijąc kawę starałam się sobie wmówić, że jestem rześka, wesola i pełna ochoty do życia i pracy. Przymierzałam się jednocześnie do innych, mniej obowiązujących sposobów spędzenia czasu. Iść do Łazienek na spacer? Jeszcze zielono, już złoto, zamglone słońce, jesienna cisza. Wzrok się nasyci, ale złe myśli rzucą się do gardła, będą dusić — małe drapieżne łasice. Brr... Nie. Położyć się na tapczanie z książką? Jaka? Żadna nie oderwie mnie od rzeczywistości. Muzyka też byłaby dziś tylko akompaniamentem do rozważań. Malować? Dobrze wiedziałam, że zbożne zamiary okażą się niewypałem. Najlepiej będzie wyciągnąć do kawiarni panią Teresę... Może jest dziś wolna? Byłam już w korytarzu, kiedy zadzwonił telefon. Kapitan był dziarski, co we mnie natychmiast wzbudziło niechęć. Postanowiłam na przekór mu być tępą, powolną, nic nie rozumiejącą. Ale postanowienie okazało się zbyt ciężkie.

— Pani Ewo, przepraszam, że tak późno.

— Późno?

— Bo ja dopiero teraz wszystko sobie ułożyłem.

— Nic nie rozumiem — zła, że jestem tępą naprawdę, a nie na przekór, stałam się opryskliwa. — Czy mógłby pan mówić po kolei? Podmiot, orzeczenie, jak postać z realistycznej powieści.

Speszył się widocznie, bo zamilkł na dłuższą chwilę.

— Przepraszam najmocniej... Czy pan Krzysztof pani nie uprzedził?

Teraz ja się z kolei stropiłam.

— O czym miał mnie uprzedzić?

— Że zadzwonię wcześniej rano i ustalimy godzinę wyjazdu.

— Wyjazdu? Dokąd, na litość Boską? Niechże pan przestanie mówić zagadkami.

Byłam wściekła. Nie na kapitana. Na Krzysztofa, że miał mi coś powiedzieć, ale nie raczył, że nasz wczorajszy pogodny dzień nie był dniem przyjaźni i wcale nie wróciliśmy do normalnych stosunków.

Kapitan zaczerpnął oddechu i wyrecytował szybko:

— Umówiłem się z panem Krzysztofem, że pojedziemy dzisiaj do Rudy.

Zdębiałam.

— Jak to? — Nie cierpiałam tego pytania, bo jak na nie odpowiedzieć? Ale zbyt mnie to zaskoczyło. — Dlaczego, po co? Dzisiaj? Przecież Krzysztofa nie ma.

— Nic nie mówił — stwierdził z westchnieniem kapitan. — Ustaliliśmy, że pojedziemy w czwórkę. Ja nakłonię profesora Bartosza, a on panią. Oczywiście, jeśli nie będzie to za bardzo kolidować z pani planami. Ruszymy dziś zaraz po obiedzie i zostaniemy tam tak długo, jak trzeba, to znaczy na pewno przez jutrzejszy dzień, a może i przez sobotę.

— Ale po co?

— Trudno mi dokładnie wyjaśnić — już nie jąkał się i nie przeproszał. — Potrzebne to jest z wielu powodów. A raczej może okazać się potrzebne. W każdym razie warto ten eksperyment zaryzykować. Możemy, naturalnie, choć z żalem, zrezygnować z pani towarzystwa? — zawiesił pytająco głós.

Błyskawicznie uzmysłowiłam sobie, że ostatnią rzeczą, na jaką miałabym ochotę, jest pozostanie w pustym mieszkaniu. Nie dlatego, żebym się bała. Nawet o nietoperzu myślałam bez przerażenia. Ale napięcie i zdenerwowanie nie pozwoliłyby mi pracować. Krążyłabym po pokojach zła i niespokojna. Osaczyłyby mnie wszystkie moje zgryzoty i zmartwienia.

— Pojadę z wami. Krzysztof wraca po dwunastej.

— Wiem, przyrzekł, że w parę minut będzie gotowy. Podjechalibyśmy po was o drugiej, dobrze? Zdaży pani? Zjeść możemy coś po drodze.

— Nie, zrobię w domu wczesny obiad. Punktualnie o drugiej będziemy przed domem. Oczywiście, jeśli Krzysztof nie zapomniał.

Postanowiłam nie okazywać mu urazy. Nie miał ochoty zastanawiać się razem, po co oni chcą jechać na Wigry, wolał mnie zaskoczyć, żeby nie było czasu na domysły. Lub też w ogóle nie chciał, żeby pojechała. Dobrze. Żadnych wyrzutów. I tak chodzę jak po lodzie, każdej chwili możemy znaleźć się na dwóch różnych kawałkach kry. Może ta wspólna podróż coś naprawi? Powrót do miejsca, gdzie przeżyliśmy razem ciężkie chwile...

Wyciągnęłam kraciatą torbę, wrzuciłam do niej ciepły sweter, koszulę, szlafrok. Jeszcze przybory toaletowe, ręczniki. Zdecydowałam, w co się ubiorę, i poszłam do kuchni umyć sałatę i obrać parę kartofli. Na obiad było jeszcze o wiele za wcześnie, ale wiedziałam, że nie ma mowy o malowaniu. Zrobiłam więc odkładane od miesięcy porządki w kuchennych szafkach i szufladach. Znalazłam parę zagubionych na amen otwieraczy do konserw, kilka przepisów na potrawy, które wycygałam od pani Teresy, żeby je beztrudno wetknąć między nie używane serwetki, różne inne drobiazgi i dosyć z tego wszystkiego zadowolona postanowiłam rozejrzeć się po mieszkaniu w poszukiwaniu dalszych tego typu zajęć.

Na górze drzwi od pokoju Krzysztofa były uchylone. Kusiło mnie, żeby tam wejść. Może w którejś szufladzie jego biurka odkryję tajemnicę, jego zachowania? List, dziennik, notatki, zwierzenia na kartce papieru? Stałam na progu. Pokój Krzysztofa był taki jak on sam: jasny, czysty, nie zatłoczony, uporządkowany — nic w nim nie było z rozbawienia, który zjadał mi codziennie bezcenne minuty na szukanie zapodziań gdzieś, a potrzebnych drobiazgów. Krzysztof, choćby się nie wiem jak spieszył, zawsze przed wyjściem z domu wszystko starannie odkładał. Na biurku panował idealny porządek. W kącie pokoju stał złożony rajsbret. Na tapczanie zasłanym pledem bez jednej fałdki leżała okładka do góry „Schizofrenia” Kępińskiego — jedyny ślad, że z pokoju niedawno ktoś wyszedł. Zrobiłam krok w stronę biurka. Co się spodziewałam tam znaleźć? List do dziewczyny: „Najdroższa, żyć bez ciebie nie mogę, ziemia jest pusta, niebo jest puste”, lub od dziewczyny: „Krzysiu, nie zapomnę nigdy naszej cudownej nocy, twoich rąk, ust, ciała”. Fotografii, numer telefonu, a obok serce przebite strzałą? Powody jego uprzejmego chłodu, obojętnej grzeczności? I co wtedy? „Krzysztofie, skończmy z fikcją, znalazłeś partnerkę bardziej ci odpowiadającą, dzieci na szczęście nie mamy, nie rozbijemy rodziny”. Tylko ja będę rozbita. Sama będę gruntowała swoje płótna, sama będę prowadziła samochód, sama będę snuła się po Paryżu, po Rzymie, przeżywając gorzki smak nie dzielonych z nikim zachwyty. Nikt nie będzie w nocy

oddychał koło mnie i nikt nie będzie mnie zmuszał do spania w namiocie i kąpieli w lodowatym Bałtyku. Może nawet znajdę kogoś z innego gatunku, kto zgodzi się tylko dzielić moje życie, a nie każe mi uczestniczyć w swoim... Ale czy będę z tego zadowolona? Wzruszyłam ramionami. Nie, nie będę szperać w jego biurku. To poniżające i dziewiętnastowieczne. Trzeba żyć w swojej epoce. W mojej epoce kobieta jest człowiekiem. Po powrocie z Rudy porozmawiam z Krzysztofem. Powiem mu, że mąż ze sztucznym uśmiechem jest gorszy niż brak męża. Wydoroślałam ostatnio, wolę teraz być sama świadomie, z wyboru, a nie z głupiego strachu przed zdemaskowaniem jak niegdyś. Wysłałam zamykając starannie drzwi. Właśnie kończyłam Rossa MacDonalda, kiedy wrócił Krzysztof. Przeprosił grzecznie, że mnie nie uprzedził o umowie z kapitanem. Nie tłumaczył się, po prostu wyraził skruchę. Zapytał pogodnie, czy dam mu coś do jedzenia i ucieszył się, kiedy oświadczyłam, że obiad jest gotowy. W ogóle był tak uprzejmy, dobrze wychowany, czarujący, że zaciskałam pięści, z trudem opanowując wściekłość. Również przybrałam ton miłego ożywienia, jak w towarzystwie mało interesujących cudzoziemców, z którymi toczy się konwencjonalną rozmowę.

Kapitan siedział za kierownicą. Krzysztof usiadł przy nim, a ja z tyłu obok profesora Bartosza.

Profesor uśmiechał się szczerze, a nie sztucznie jak my oboje. Natychmiast oznajmił, że cieszy go wszystko. Perspektywa pobytu nad Wigrami, wyprawy do lasu na grzyby, jesiennego zapachu jeziora.

— A poza tym miło mi podróżować w tak czarującym gronie.

Lubiłam nieco staroświecki, pełen galanterii sposób bycia profesora Bartosza.

— Nawet to, że dzień jest zamglony, uwydatnia barwy — wskazał ręką na płot przydrożny, rozświetlony soczystym amarantem winnych pnączy. — Hundertwasser nauczył mnie, że bez słońca kolory są wyrazistsze, nie gasi ich światłocień, nie ustępują blaskowi. Przepraszam — przerwał zakłopotany — może pani nie lubi, jak się mówi o kolegach? Człowiek przebywając z twórcami zapomina, że *genus irritabile vatum* i nie należy chwalić poetów przy poecie ani malarzy przy malarzu.

— Mnie to nie dotyczy. Nie mam o sobie najlepszej opinii, ale nawet gdybym uważała się za geniusza, nie chciałabym być jedynym dobrym malarzem na świecie.

— Chwała Bogu — profesor uśmiechał się, ale widziałam, że w lusterku obserwuje Krzysztofa, który wygląda, jakby liczył przejeżdżające samochody i nic więcej go nie interesowało. — To szczęście dla pana, że żona nie wymaga kadzideł.

Krzysztof zwrócił do nas twarz.

— Moja żona ma takie mnóstwo zalet i talentów, że chwalenie jej wymagałoby pełnego etatu.

Profesor lekko uniósł brwi. Krzysztof usiłował złagodzić sarkastyczny ton.

— Pochwał żąda zresztą tylko za fantazję w komponowaniu potraw.

Byłam wdzięczna za cień uśmiechu, jaki do mnie skierował. Ale natychmiast odwrócił wzrok. Skuliłam się w kącie samochodu i pomyślałam wyraźnie, całym zdaniem, że jestem okropnie nieszczęśliwa. Profesor chyba coś z tego zrozumiał, bo nie dopuścił, żeby zapadło milczenie.

— A pan, panie Krzysztofie, gdzie umiejscowił swoje ambicje?

Nie był to najlepszy start do rozmowy.

— Och, ja nie świecę własnym blaskiem. Ale nie mam pretensji do losu. Być zdolnym to taka odpowiedzialność.

— Sami skromni ludzie — roześmiał się profesor. — Stanisław też odrzucił z oburzeniem mój komplement, że świetnie prowadzi. Zupełnie jakbym znalazł się w towarzystwie trojga spośród siedmiu mędrców greckich. Wśród nich też była przecież kobieta. — Skłonił przede mną głowę.

Nie chciałam, żeby w samochodzie zapadła cisza, i na moją prośbę profesor nie szczędząc dramatycznych szczegółów opowiadał nam, jak to w Milecie wyłowiono trójnog, który należało zgodnie z decyzją delfickiej wyroczni przekazać najmądrzejszemu, i jak trójnogu zrzekli się kolejno Tales z Miletu, Bias z Prieny, Kleobulina z Rodos, Periander z Koryntu, Pittak władca Miltyleny, Scyta Anacharsis i wreszcie prawodawca ateński Solon, gdyż każdy uważał, że kto inny bardziej na miano najmądrzejszego zasługuje.

Krzysztof słuchał zachłannie, lubił takie opowieści, oczy błyszczały mu ciekawością jak u chłopca, widać było, że stara się to wszystko zapamiętać, może nawet powtórzy sobie wieczorem przed zaśnięciem lub rano przy goleniu. Ogarnęła mnie fala czułości, ale bałam się ją okazać. Dlaczego, u diabła, przestał mnie lubić? Cóż to za niewygodna być nie lubianą żoną. Natychmiast po powrocie z Rudy skłonię go do poważnej i szczerzej rozmowy.

W wozie było wygodnie. Lekki powiew od przedniego okna niósł zapach wilgotnej ziemi i przywędłych liści. Gdyby Krzysztof siedział obok i otoczył mnie ramieniem! Kiedyś jechaliśmy z przyjaciółmi i ich psem, ogromnym dogiem, który od czasu do czasu uważał się za malutkiego maltańczyka i właśnie w samochodzie chciał za wszelką cenę zmieścić się na kolanach swej bardzo drobnej pani. Sama też się tak trochę czułam. Profesor Bartosz już nie bawił nas rozmową. Silnik szedł równo, nieco zbyt głośno, jak zwykle w starych fiatach. Chciałam być biedna, godna współczucia, mieć katar, gorączkę. Żeby chociaż rozboleła mnie głowa!

— Jak się pan czuje, panie Krzysztofie?

Profesor czytał w myślach, ale najwyraźniej pomieszały mu się teksty. Pytanie powinien był skierować do mnie, a nie do Krzysia, który zdumiał się niepomierne.

— Ja?

— Nie ma tu chyba innego Krzysztofa — uśmiechnął się profesor.

— Ależ znakomicie!

— Już pan zapomniał o swojej niedawnej chorobie?

Oboje dopiero teraz zorientowaliśmy się, o co chodzi profesorowi.

— Nigdy o niej nie pamiętałem. To była przelotna dolegliwość. Nie przywykłem chorować.

W Łomży zaczął siać deszczyk. Kapitan ożywił się opowiadając o wczasach wędrownych i splywach, jakie robił za młodu. Obaj z profesorem wspominali jakieś szkolne wycieczki, z okresu, kiedy Bartosz był nauczycielem łaciny w szkole, do której chodził Staszek. Krzysztof też uczestniczył w rozmowie, wesoły i swobodny. W wozie zapanował majówkowy nastrój. Rozproszył złe myśli, zapomniałam o swoich zmartwieniach, nawet o tym, że nie żyje moja najlepsza przyjaciółka i nie wiem dlaczego odebrała sobie życie. Minęliśmy już Grajewo. Profesor mówił właśnie, jak jeden jedyny raz w życiu sprowokowany został do uderzenia słabszego od siebie człowieka. Człowiekiem tym był czternastoletni Staszek Kawecki, który przeraził swego ówczesnego wychowawcę skacząc z nadbrzeżnego drzewa wprost do Biebrzy, głębokiej w tym miejscu i zmaconej wirami.

— Uderzyłem go oczywiście ze strachu. Jeszcze teraz się tego wstydzę. Całe życie starałem się trzymać własne strachy w cuglach, nie działać pod ich wpływem. Zachowywać się, jakbym nie był przerażony, nawet jeśli bałem się strasznie. Ale skutki strachu są nieoczekiwane. — Napotkałam w lusterku wzrok kapitana, niespodziewanie poważny.

Pensjonat pani Staszkiwicz był zamknięty na głucho —po sezonie przenosiła się do Suwałk. Na wsi było już pusto, żadnych letników. Bez trudu znaleźliśmy pomieszczenie — cztery obszerne pokoje w dwóch sąsiadujących z sobą domach. Nie zaproponowałam Krzysztofowi, żebyśmy wzięli jeden pokój. Zbyt łatwo było mi wyobrazić sobie jego uprzejme zdziwienie i protest, że tak jest wygodniej. Prawie natychmiast po naszym przyjeździe Krzysztof i kapitan gdzieś znikli. Kręciłam się trochę koło domu, poszłam znajomą ścieżką w stronę jeziora. Było dość ciepło, ale wilgotno, włożyłam za cienkie

pantofle, żałowałam, że nie wzięłam wellingtonów, mogłabym nie zważać na błoto i kałuże. Czego chce kapitan? Po co nas tu przywiózł i dokąd pojechali z Krzysztofem? Moje życie ostatnio składa się z samych pytań. Miałam w gruncie rzeczy ochotę wrócić i porozmawiać z profesorem, ale jednocześnie bałam się tego. Znałam opinie o profesorze Bartoszu. Wiedziałam, że jest specjalistą od sondowania duszy, a nie chciałam, żeby w moją zapuszczano sondę. Pajęczyny niejasnych niepokojów, cienkie nitki przygnębieniu łatwo mogły się zmienić w postronki nieszczęścia. Wolałam żyć po wierzchu, może uda się przeczekać, może rany nie jęczące same się zabliznią.

Przez drzewa prześwitywało popołudniowe, przymglone słońce. Wyszedłam nad jezioro. Czy nie to właśnie powinnam malować? Jesień, pustka, rudo, szaro — obraz inny niż dotychczasowe. W nie zabudowanej pustce dwoje ludzi trzyma się za ręce. Świat wokół nich jest pełen spokoju i ciszy, chcą go w siebie wchłonąć, stopić się z nim, złagodnieć, zapomnieć o gniewie i złości. Ocknęłam się raptownie. Z tyłu dobiegł mnie głos profesora.

— Trudno kulawemu tak pędzić. Czuję się niemal jak satyr goniący nimfę. Tyle że satyr nie jest zbyt sprawny, więc nimfa ma wszelkie szanse.

— Ale nimfa nie ma zamiaru uciekać...

— Gdybyśmy sobie gdzieś usiedli? Tylko, Boże uchroni, nie na pniu. Stare kości nie lubią wilgoci.

Z żalem pożegnałam wzrokiem rozległą rudziczną jesiennych pól, obramioną czarnym lasem.

Skierowaliśmy się w stronę pensjonatu pani Staszkiwicz. Profesor już po drodze wypytywał mnie dokładnie o tryb życia pensjonatowych gości, pory posiłków, tutejsze zwyczaje, nawet jadłospis. Dom był zamknięty, ale usiedliśmy na ławce na dziedzińcu. Opowiadałam po kolei, kto gdzie mieszkał, kto był w jakim nastroju podczas wakacji, kto z kim się przyjaźnił i z kim kłócił. Profesor wszystkiego słuchał uważnie, zadawał pytania inteligentne i pobudzające i ani się spostrzegłam, a już wdałam się w opowieść o sobie i o Krzysztofie. Nie wiem dotychczas, jak to się stało. Nie miałam przecież zamiaru zwierzać się profesorowi, a tym bardziej opowiadać mu rzeczy, które przed samą sobą wolałam ukrywać. Że nasze małżeństwo już od dawna się psuje. Ja mam do Krzysztofa żal, że tak łatwo wyrzekł się wszystkich ambicji. A on nic sobie nie robi z moich pretensji. Chce żyć tylko dla rozrywki i przyjemności.

— Homo ludens — profesor mówił z namysłem — zazwyczaj najmiłszy typ męża, przyjaciela, krewnego. Niczego nie bierze tragicznie. Zawsze jest gotów do zabawy, łatwo go pocieszyć w smutku, utwierdzić w radości.

— Wszystko po nim spływa jak woda po gęsi. Jest płytki, nie umie przy niczym się uprzeć. Unika trudności, ślizga się po życiu jak po torze lodowym. Niczego nie wymaga od siebie, liczy tylko na to, że los mu sprzyja — wygłosiłam to wszystko z goryczą, która mnie samą zaskoczyła.

— Wolałaby pani mieć męża traktującego bardziej serio swoje obowiązki?

— Po prostu mężczyznę, a nie chłopca. Widzi pan, profesorze, nie bardzo chciałam wyjść za mąż i jeśli się w końcu zdecydowałam na życie na spółkę, to chciałabym mieć pełne zaufanie do partnera.

— To o panią przekonał do małżeństwa?

— Tak, nie bez trudu.

— Więc jednak w tym wypadku potrafił się uprzeć?

Stropiłam się.

— Nie wiem, czy sam już tego nie żałuje.

— I dlatego mu pani nie ufa?

— Drażni mnie jego niedojrzałość.



— Rzadko spotyka się człowieka całkiem dorosłego. A jeszcze rzadziej budzi to prawdziwą sympatię. A pana Krzysztofa ludzie lubią, prawda?

— Krzysztofa ludzie istotnie lubią. Nawet moi najdawniejsi znajomi, moja własna rodzina lgnęła do niego i szukała jego towarzystwa. Jadzią też zawsze dopytywała się, czy Krzysztof przyjdzie, choć ja wołałam, jak spotykałyśmy się tylko we dwie.

— To chyba normalne u przyjaciółek? Ta chęć przebywania sam na sam?

— Moja przyjaźń z Jadzią była raczej nawyku niż z potrzeba serca. Mam nawet wyrzuty sumienia, że za miło przejęłam się jej śmiercią, to znaczy nie śmiercią — nie przestaję o tym myśleć — tylko faktem, że jej już nie ma. Łatwiej mi się bez niej obejść, niż powinno.

— Przeszła pani nad tym do porządku?

— Tak, nad jej brakiem. Choć nie nad sposobem zejścia ze świata. Nie wiem, nie rozumiem, jak mogłam nie wiedzieć o niej najważniejszego — że jest zdolna odebrać sobie życie.

— Zaskoczyło to panią.

— Ponad wszelką miarę — styl profesora był zaraźliwy. — Bo proszę zrozumieć. Jadzia była inna. Żadnych głębi. Niesłuchanie zadowolona z siebie. Nie z siebie osobiście, ale z postaci, jaką była Jadwiga Sawicka-Hron. Nie dostrzegała w sobie najmniejszej skazy, toteż wolno jej było lekceważyć wszystko, co było odmienne niż u niej. Mogła, wszem, zrozumieć, że ktoś woli Beethovena niż Bacha, ale ten ktoś był u niej przez to gorzej notowany. To, co sama sprezentowała, było najlepsze i najsluszniesze. Gardziła ludźmi z pechem! Może nawet im współczuła, ale gorszyli ją. Ona miała szczęście. To była Jadzi główna ambicja, niezależnie od tego, co się działo, jej sprzyjało szczęście, dlatego tak trudno mi uwierzyć, że była naprawdę nieszczęśliwa, wbrew słowom Lutka, wbrew faktom. A zwłaszcza że się do tego przyznała. Przed innymi i przed sobą! Nie nie upozorowała wypadku, zostawiła list niczego nie tłumaczący...

— Nawet żartobliwy...

— To jedyne było w jej stylu. Widzi pan, panie profesorze, Jadwiga mogła orzec, że należy popełnić samobójstwo. Że właśnie to wypada zrobić. Wyznaczyłaby kogoś, kto zajmie się pogrzebem, zostawiłaby testament bardzo szczegółowy i obszerny wesoły list z motywacją decyzji wynikającej nie ze zmartwień, ale z fantazji. Jednym słowem mogłaby zachować się jak Petroniusz w „Quo vadis” i nawet uznać, że inni ludzie są gorsi, bo nie zachowują się jak Petroniusz. Ale przyznać się, że nie umiała czemuś sprostać? Zresztą, na litość Boską, czemu? — Zdałam sobie sprawę, że podniosłam głos niemal do krzyku.

W oczach profesora był wyraz, którego dobrze nie rozumiałam. Niepokój? Troska? Skupiona czujność?

— To jest właśnie pytanie, na które Staszek Kawecki szuka odpowiedzi.

Milczałam przejęta i zgnębiona. Po dłuższej chwili profesor znów się odezwał:

— Zdaje mi się, że ma pani dosyć rozmowy ze mną. Moi uczniowie też miewali kiepskie samopoczucie po godzinie zwierzeń. Pójdę wyciągnąć na chwilę stare kości na tapczanie. Mam taki w swoim pokoju. Odwrotny.

— Odwrotny?

— Tak. Stolik nocny z lampką stoi złośliwie w nogach, więc wieczorem nie można czytać. Są takie szatańskie pomysły.

— Kiedy oni wrócą?

— Pojęcia nie mam.

Nie spytałam, dokąd pojechali. Wołałam przemilczeć, że Krzysztof nic mi nie powiedział. Znowu poszłam w stronę lasu. Byłam zadowolona, że profesor zostawił mnie samą, bo dokuczala mi zgaga jak po prawdziwej sondzie. Las zawsze działał na mnie kojąco, tym razem jednak przyłączył się do nieprzychylnego mi świata. Był pierwszy dość pogodny dzień po ulewnych deszczach, ziemia parowała, pachniało mokrym mchem i grzybami. Las —

jaskrawozielony latem, biały zimą, późną jesienią zwykle posepny, groźny — dziś wydawał się nudny, monotony, przygnębiał mnie, czułam się zmęczona fizycznie i psychicznie. Chciałam uciec od własnych myśli, ale samotność też mi ciążyła. Próbowałam chodzić sprężystym krokiem, z głową odrzuconą lekko do tyłu — poprawiało mi to zwykle nastrój. Krzysztof śmiał się, że udaję Nike zwycięską. Teraz sprężysty krok niewiele mi pomógł. Nie potrafiłam wykrzesać w sobie ani odrobiny optymizmu, ani śladu energii. Zawróciłam w kierunku domu.

Kapitana spotkałam na drodze. Pobyt na świeżym powietrzu ożywił go.

— Idę się przelecieć i nacieszyć zapachem lasu — nie ostrzegłam go, że las dzisiaj cuchnie. — Trzeba skorzystać z wycieczki w plener. Był wesoły, nie udawał poważnego. Normalnie poczułabym do niego sympatię. Ale teraz wszystko mnie drażniło. — Czy mój mąż też wrócił?

— Naturalnie. Czeka na panią koło domu. Przyjdę najdalej za pół godziny, zjemy obiad, nasza gospodyni już gotuje kurę, i pojedziemy na wyspę. Chociaż bo ja wiem? Jasno jest jeszcze do piątej. Może lepiej zrezygnować ze spaceru i odłożyć obiad? Chyba zdążylibyśmy, jak pani uważa?

Nic nie uważałam. Nie miałam pojęcia, o co chodzi i dlaczego mnie pyta o radę. Może Krzysztof jest we wszystko wtajemniczony i kapitan sądzi, że i ja się świetnie orientuję. Wzruszyłam ramionami.

— To zależy, jak pan długo chce być na jeziorze.

— A ile trwa droga na wyspę?

— Pięćdziesiąt pięć minut — odpowiedziałam automatycznie. — Przy dobrym wietrze trochę mniej. Łódką chyba nieco dłużej niż kajakiem. Czy mamy jechać na wyspę? — Ugryzłam się w język. Postanowiłam przecież o nic nie pytać. Kapitan i tak nie dosłyszał. Myślał o czymś intensywnie, spoglądał na niebo, coś obliczał.

— Bardzo jest pani głodna?

Zaskoczył mnie.

— Chyba nie — odpowiedziałam niepewnie.

Roześmiał się, już znowu wesoły i uprzejmy.

— Zazdroszczę ludziom, którzy muszą pytać się żołądka, czy są głodni. Mój daje mi sygnały z niczym się nie licząc. Wracam z panią. Bierzemy łódkę. W czwórkę nie damy inaczej rady.

Okazało się, że na wzburzone nerwy lepsza jest falująca woda niż parujący las. Na łódce od pierwszej chwili poczułam się raźniej. Po pierwsze Krzysztof ukradkiem sprawdzał, czy się nie boję, i oczy mu się przelotnie rozjaśniły, kiedy weszłam dziarsko pierwsza i bez żadnych strachów usiadłam w dziobie. Słońce złoćło spienione, lecz niewysokie fale, woda miała barwę malachitu, drzewa na pobrzeżach wydawały się powleczone czarnym lakierem. Nie zaprotestowałam, kiedy Krzysztof wziął wiosła, siedziałam cicho chłonąc urodę jeziora, uszczęśliwiona, że się nie boję, że strach mnie opuścił, że woda jest mi życzliwa. Profesor miał przymknięte oczy. Uświadomiłam sobie, że chciał się położyć, wypocząć i jazda łódką nie jest dla niego na pewno przyjemnością. I w ogóle po co właściwie jedziemy? O co tu chodzi? Wrócił niejasny niepokój. Od dzieciństwa źle znosiłam atmosferę szeptów i sekretów. Jakie Krzysztof ma tajemnice z kapitanem? Zerknęłam na niego ukradkiem. Miał zafrasowaną twarz, chmurne spojrzenie, nigdy nie wyglądał tak na wodzie — wiosła w dłoniach zawsze wprawiały go w dobry humor. Co mu jest? Nie, nie będę mu współczuć. W ogóle mam tego wszystkiego dość. Nie mogę wciąż się zamartwiać. Życie jest za krótkie. Niech się dzieje, co chce. Na razie czeka mnie mnóstwo emocji. Wystawa. Paryż. Muszę wyjść z impasu. Skończyć obraz. Jeśli Krzysztof chce się boczyć, coś przede mną ukrywa, trudno. Od tej chwili przestaję się tym przejmować.

Zza zakrętu wyłonił się kij, na którym jak zwykle siedziały rybitwy. Wyspa była już w zasięgu wzroku.

— Kajakiem byłoby stąd jeszcze dwanaście minut — przerwałam ciszę — łódką chyba o trzy minuty więcej.

— Dobrze pani zna tę drogę.

Roześmieliśmy się oboje z Krzysztofem.

— Ewa zna tu każde drzewo na brzegu. Przy jej pamięci wizualnej. Jeździmy tędy co rok co najmniej dwadzieścia razy tam i nazad.

— A poza tym ta ostatnia przeprawa. — Profesor ocknął się z drzemki. — Wyobrażam sobie, jakie to było trudne dla kogoś, kto niemal nie umie wiosłować.

— W panice o wiele szybciej nabywa się umiejętności...

Czy można odtworzyć w pamięci stan rozpaczliwego popłochu? Jakbym przebywała równocześnie na dwóch płaszczyznach czasu w tym samym punkcie przestrzeni, płynęłam tu z nimi spokojnie pod pogodnym jesiennym niebem i w przerażeniu szamotałam się z nieposłusznym kajakiem, pewna, że za moment się wywróci. Do rzeczywistości przywołał mnie głos Krzysztofa.

— Ewa jest w transie. Opuściła ten świat dla innego, konkurencyjnego. Przepraszam, profesorze, ale na pewno nie dosłyszała, o co pan pyta.

— Istotnie nie dosłyszałam?

— Nieważne — profesor przyglądał mi się ze zrozumieniem. — Pytałem, jak długo to wtedy trwało.

— Trochę ponad półtorej godziny.

— W burzliwą pogodę, na obciążonym kajaku? To prawdziwy rekord.

— Gdyby trwało dłużej — kapitan przybrał ton umyślnie rzeczowy — byłoby już po pogrzebie pana Krzysztofa.

Wrócił mi tamten ucisk w sercu.

— Nie udało się powstrzymać zawału?

Ich milczenie wydało mi się nabrzmiałe niedomówieniami.

Kapitan zażądał od Krzysztofa, żeby na ostatni etap oddał mu wiosła. Zamienili się miejscami, ale chybotanie łódki mnie nie zaniepokoiło. Profesor poskarżył się na ból w prawym barku.

— Czy zna się pani na medycynie, pani Ewo?

— Trochę na anatomii, uczą nas tego w akademii.

— A na ludzkich dolegliwościach?

— Och nie, leczenie chorób to dla mnie czarna magia.

— Szkoda. Zawsze wolę leczyć się u pacjentów. Myślałem, że mi pani poradzi jakiś środek na lumbago, mam już wcale ładną kolekcję rad.

Przybiliśmy do wyspy w tej samej zatoczce co zwykle. Na brzegu było dość sucho, udało mi się wyjść z łódki bez zamoczenia nóg. Kapitan i profesor rozglądali się ciekawie. Poczulałam coś na kształt dumy, że nawet w szarawym jesiennym półmroku — panował tu cień — wyspa jest tak ładna. Liście na dębach jeszcze nie całkiem uschły, wierzby wyglądają jak stare drzewa oliwne, sosny jak pinie. Trochę tu jest obco, inaczej niż latem, ziemia przebrała się w suknię o innych barwach i deseniach.

Dotarliśmy idąc pod górę do miejsca, gdzie zwykle rozkładaliśmy materace, kiedy zorientowałam się, że panowie nie podziwiają uroków pejzażu, tylko zawzięcie czegoś szukają. Rozgarniają krzewy, nachylają się nad mchem i leśnym poszyciem.

— Czy bawimy się w poszukiwaczy skarbów? — pokryłam żartem irytację. Kapitan ze śmieszoną smugą błota na nosie odpowiedział mi z całą powagą:

— Nie. Tropimy ślady waszego ostatniego pobytu.

— Odciski palców? Wgłębienia po materacach? — ciągle próbowałam być dowcipna.

Profesor stwierdziwszy, że pieńek, na którym chciał przysiąc, ocieka wilgocią, pokręcił melancholijnie głową.

— Nie, to nie jest zajęcie dla kulawego starca. Szukać zeszłorocznego śniegu!

— Powiedzcie mi wreszcie, o co chodzi!

Krzysztof wpatrywał się ze ściągniętymi brwiami w ziemię.

— Czy ty na pewno wzięłaś wtedy wszystkie rzeczy?

— Chyba wszystkie. Czy coś zginęło? Mówcie, na litość boską! — zabrzmiało to zbyt rozpaczliwie i dodałam szybko: — Lubię zagadki, kiedy na ostatniej stronie jest rozwiązanie. Ale nie tak.

Kapitan wyłonił się zza kępy świerków z dziecienną łopatką w dłoni,

— To ta?

— Ta — Krzysztof namyślał się nad czymś. — Ale zwykle wykopywaliśmy dołek tutaj.

— Ostatnim razem nie zakopałam śmieci.

— Tak też sądziłem. Spieszyłaś się, bo bałaś się burzy.

— I niepokoiłam się o ciebie — dodałam z naciskiem.

— Pamięta pani, co tu zostało?

— Nie pamiętam. Ale wiem, co mogło zostać.

— To proszę nam to powiedzieć. Możliwie dokładnie.

— Ogryzki po jabłkach, bo jedliśmy jabłka. — Kapitan skinął głową. — Papier po kanapkach z serem, bo w pośpiechu mogłam go nie włożyć z powrotem do torby. I chyba jedna kanapka, bo Krzysztof nie miał apetytu. I jeszcze może papierowy kubek do kawy.

— Zabieraliście państwo ze sobą kawę?

— Tak. W małym jednoporcjowym termosie zamykanym na korek.

— I jeden kubek tylko?

— Jeden. Ja nigdy kawy nie piłam. Miałam po kawie skłonności do zawrotów głowy.

— Więc kubek pani zostawiła?

Rozejrzałam się bezradnie.

— Bo ja wiem? Chyba tak.

— A termos?

— Termos na pewno zabrałam.

— W domu go nie ma — Krzysztof unikał mojego wzroku.

— Szukałam wszędzie.

— Kajak się przewrócił. Mógł wypaść.

— Ale kubek powinien być tutaj?

— Kubek był papierowy. Zmiękł od deszczu i wgniotło go w ziemię — tłumaczyłam się, jakby żądano ode mnie usprawiedliwienia.

— Nawet papier po kanapkach się znalazł — kapitan pokazał mi zmiętą kulkę śniadaniowego papieru.

Nic z tego nie rozumiałam. O co im chodzi? Dlaczego szukają kubka i termosu, który może od miesiąca leży na dnie jeziora.

— Jest pani pewna, że termos wypadł, kiedy kajak się przewrócił?

— Nie, pewna nie jestem. Raczej przeciwnie. Zawsze wkładałam go na samo dno torby. Ale nie pamiętam, byłam wtedy rozkojarzona, wszystko robiłam automatycznie, rękami, a nie głową. Zwykle sprawdzałam, czy termos jest pusty, wylewałam ostatnie kropelki. Zdaje mi się, że i tym razem to zrobiłam. Potem go już nie widziałam. Jadzia suszyła mi rzeczy... — urwałam gwałtownie. Po raz pierwszy od przyjazdu do Rudy uświadomiłam sobie, że chodzi przecież o Jadwigę. Rozjaśniło mi się nagle w zamroczonej głowie. Nabrały sensu tajemnicze miny, wymijające odpowiedzi, umykające spojrzenia. Krzysztof nie miał zawału. Próbowano go otruć. Trucizna była w kawie. Ta sama trucizna, od której zginęła Jadwiga? Tak, na pewno ta sama. I to mnie podejrzewają, że chciałam pozbyć się Krzysztofa. Nonsens. Chciałam go

zabić z zazdrości, nienawiści, a potem ratowałam ze strachu, że zbrodnia się wyda? Bzdura. To już raczej przypuszczaliby, że Krzysztofa otrułam przez pomyłkę, a naprawdę szykowałam zatrutą kawę dla Jadwigi. Bredzę. Dlaczego miałabym zabijać Jadzię. Zresztą ona przecież popełniła samobójstwo. Zostawiła list. Czy oni wiedzą, że tylko ja jedna umiałam naśladować jej charakter pisma?

W drodze powrotnej zachowywałam się niezbyt przytomnie. Mąciło mi się w głowie, chciałam sobie coś przypomnieć, odnaleźć zagubiony wątek, jakieś słowo, które mogłoby otworzyć jak klucz wszystkie tajemnice.

Przez skłębione myśli przebijał się głos kapitana, który prosił, żebym dokładnie opowiedziała, jak się odbyło wsadzanie Krzysztofa do samochodu. Odtworzyłam, jak umiałam, całą sytuację, nie zapominając ani o błocie, ani o rozpaczliwym szukaniu kluczyków. Łódka dobijała już do brzegu. Kapitan w miejscu, w którym wywrócił się kajak, uważnie wpatrywał się w dno jeziora. Woda była przezroczysta, na dnie leżała tylko jakaś butelka — tych niestety nigdy nie brakowało przy brzegach. Nic poza tym. Termosu nie było. Nabrałam już zresztą pewności, że włożyłam go na samo dno torby, nie mógł więc wypaść. Dopiero potem gdzieś się zapodział. O nic nie pytałam, czułam tępy ból w tyle głowy. Chciałam wrócić do swego pokoju, położyć się, nie myśleć, zasnąć.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po powrocie z Rudy nie mogłam w żaden sposób wziąć gię do pracy. Jakby ręka nie umiała udźwignąć pędzla. Zamykałam się co prawda w pracowni, ale nie po to, żeby malować. Tylko tutaj w niezbyt na pozór wygodnej pozycji — skulona na zydłu, obejmując ramionami podkurczone kolana — umiałam zmusić się do mniej więcej logicznego myślenia. Próbowałam myśleć po kolei, uporządkować chaos w głowie, ponumerować dane i wnioski.

Co wiem na pewno? O Krzysztofie, że nie miał zawału. I że wypił zatrutą kawę. O Jadzi, że popełniła samobójstwo ty jakimś związku z tą sprawą. W jakim? Założmy, że chciała uśmiercić Krzysztofa, nie udało jej się i przerażona, z poczucia winy, sama się zabiła. Teoretycznie jest to możliwe, gdyby Jadzia była zamroczona od rozpacz. Ale dlaczego?. Żyli z sobą i on z nią zerwał? Próbowałam myśleć o tym spokojnie, bez emocjonalnego zaangażowania. Romans Jadwigi i Krzysztofa? Absurd. Krzysztof mógł mnie zdradzać, ale nie Jadwiga, która już w szkole nie umiała kłamać, jeśli sama w swoje kłamstwo nie uwierzyła.

Więc co się właściwie stało? Z trudem koncentrowałam rozproszone myśli, ale postanowiłam nie dać za wygraną. Znowu wracałam do pierwszej niezbitej tezy. Krzysztofa ktoś chciał zamordować. Nie ja, choć oni na pewno mnie o to podejrzewają. Oni to kapitan i Krzysztof. Profesor mnie chyba broni. Lubi mnie. A Krzysztof? Ktoś wsypał do termosu truciznę i potem ukrył termos. Każdy spośród gości pensjonatowych mógł to zrobić. Nalałam do niego gorącej wody i wsypałam neskę już podczas śniadania, a zabraliśmy go dopiero, kiedy przebrani schodziliśmy z wiosłami nad jezioro. Sposobność więc mieli dosłownie wszyscy. Motyw natomiast umiałam znaleźć w gruncie rzeczy tylko jednego typu: rozpacz porzuconej kobiety, gdyż „niema gorszej furii w piekle niż porzucona kobieta”, lub zazdrość zdradzonego mężczyzny. Dosyć to było monotonne i raczej staroświeckie, ale przecież innych tropów nawet wymyślić nie potrafiłam, a Krzysztofa, jakby to melodramatycznie nie brzmiało, usiłowano otruć. Oczywiście tego typu motyw pozwalał jednak pewne osoby wyeliminować. Nie wyobrażałam sobie w roli Otella Lutka, nawet gdyby Jadwiga kochała Krzysztofa. Nie nadawali się do tego co prawda także ani flegmatyczny doktor Wiśniewski, ani dowcipny inżynier Maniewicz. Na myśl o wsypującym truciznę panu Julianie nawet w tym nastroju musiałam się uśmiechnąć. Rozbawił mnie też pomysł, że pani Maniewiczowa głosi wszem wobec chwałę męża, a po cichu obłędnie kocha się w Krzysztofie!

Tak więc ten jedyny rzekomo możliwy motyw pozwolił mi stopniowo wykluczyć wszystkich pensjonariuszy pani Staszkiwicz jako potencjalnych morderców. Przeglądałam ich sobie po kolei, jakbym przerzucała karty albumu z fotografiami, i wróciłam do punktu wyjścia. Do faktu, że Jadwiga popełniła samobójstwo i że poprzednio najprawdopodobniej ktoś usiłował otruć Krzysztofa. Nic nie pomagało. Ani kawa, ani koniak. Znowu zaczęłam obchodzić z daleka sztalugi, jakby w ich pobliżu było szczególnie zimno. Nic nie potrafiło skłonić mnie do roboty. Perspektywa paryskich przyjemności przestała mnie cieszyć. Namawiałam sama siebie na radość, że powędruję wybrzeżem Sekwany, że wieże Notre-Dame bieleć będą w błękitnej paryskiej mgielce, że arkady na placu des Vosges będą złote w złotym powietrzu, a kościół St.-Germain-des-Pres — granitowo-czarny w zadymionym mroku. Nawet udało mi się dość wyraziście zobaczyć siebie wśród wernisażowej publiczności, ale Krzysztofa obok mnie nie było. Zachwyty w pojedynkę nie miały smaku.

Niedobrze działo się ze mną i na próżno podejmowałam co rano postanowienia, że dziś już będzie inaczej. Spotykałam się ze znajomymi, nawet zaprosiłam gości. Sztucznie się uśmiechałam, sztucznie martwiłam, że nie ma Jadzi, wszystko było sztuczne, odbywało się na powierzchni. W głębi tkwiła drzazga, ale wolałam jej nie tykać, własne strachy obchodziłam z daleka tak jak sztalugi. Może jedynie przy Bernackich nieco się ożywiałam, ich życzliwość

była bezsporna, pani Teresa nie otulała mnie współczułem, bez osłonek okazywała ciekawość.

W takim nastroju z zadowoleniem powitałam dzwonek do drzwi, chociaż normalnie, kiedy docierał do mnie w pracowni, klęłam w żywy kamień nawet listonosza przynoszącego dobre nowiny. Krzysztof o tej porze był w swojej szkole. Pobiełam otworzyć. Na progu stał Lutek, speszony, z przeprasającym wyrazem twarzy.

— Ewo, czy mogę wejść? Przepraszam, że bez uprzedzenia, ale nie mogłem sobie miejsca znaleźć.

Zrobiło mi się go szczerze żal. Był ciągle jeszcze zagubiony, jakby śmierć Jadwigi zerwała jego więź ze światem.

— Wejdz, mój drogi — lepiej było współczuć jemu niż sobie.

Długo i dokładnie wycierał nogi o słomiankę, choć na dworze było sucho i tak pogodnie, że nawet nie miał płaszcza, był w ciepłym, włochatym swetrze. . — Szczerze mówiąc, cieszę się, żeś przyszedł. Nie chce mi się pracować — przybrałam umyślnie ton nonszalancki. — Napijesz się kawy?

— Nie, raczej nie. I tak bardzo źle sypiam. Mam wysokie ciśnienie na skutek stresu i kawa mi szkodzi.

— To herbaty?

— Wolałbym, żebyś mnie nie traktowała jak gościa. Nie zabawiaj mnie, nie częstuj. Posiedzę sobie tu — stanął w otwartych drzwiach pracowni. — Odetchnę zapachem farb i terpentyny. — Rozejrzał się. — O, tam usiądę — wskazał stary, podniszczony fotel pod oknem. — I nawet nie będę patrzył w twoją stronę. Wiem, że tego nie lubisz.

— Kiedy nic nie maluję — westchnęłam. — Nie mogę się zmobilizować. Wymyłam wszystkie pędzle, niby przygotowałam paletę. Bawię się i udaję, że pracuję.

Lutek spoważniał.

— Tego się obawiałem. Wspomniał mi Krzysztof, że być może zrezygnujesz i pošlesz mniej? — zawiesił pytająco głos.

Zdziwiłam się. Rzeczywiście chodziły mi takie myśli po głowie, ale nie dzieliłam się nimi z Krzysztofem. Ostatnio w ogóle bardzo rzadko dzieliłam się z nim myślami. Raczej się do tego nie nadawały.

— Bo ja wiem... Organizatorzy zgodnie z umową żądają trzydziestu trzech obrazów. Mówiłam ci już przedtem, że może poszukam wśród starych.

Obruszył się.

— A ja cię ostrzegłem, że one są w zupełnie innej konwencji. Nie możesz tak mieszać — oświadczył surowo Zresztą, są mniej dojrzałe, malowałaś je przed paroma laty, najlepsze sprzedawałaś, zostały ci te słabsze. — Miał oczywiście w pełni rację. — Czy mogę się przyjrzeć? — spytał z rzadką u niego nieśmiałością.

— Proszę — było mi wszystko jedno.

Stanął przed sztalugami i długo milczał. Kiedy wreszcie odwrócił się do mnie twarz mu promieniała.

— To jest znakomite — w jego głosie brzmiał nieklamany zachwyt i ulga.

Nigdy jeszcze Lutek tak mnie nie zaskoczył. W żaden sposób nie mogłam się z nim zgodzić. Nie byłam wcale przesadnie niepewna siebie i zazwyczaj podobało mi się to, co namalowałam. A już nigdy, ale to nigdy, nie mizdrzyłam się i nie umniejszałam swych prac, żeby nie podsłuchał zły duch. Ale to tutaj? Żadnej dynamiki, napięcia wewnętrznego. Świat po potopie? Raczej żałosna para smutnych ludzi, którzy bynajmniej do siebie nie lgną. Nie wystarcza to, żeby z zamalowanego płótna uczynić obraz. Lutek nie słuchał moich protestów.

— Mylisz się. Nawet nie musisz go kończyć. Tak będzie może lepiej. Zamknięty cykl i zapowiedź nowego z parą ludzi, a nie z samotnikiem. Jeszcze nie całkiem sformułowana. Zaręczam ci, że to będzie sensacja wystawy. Nie dlatego, że najlepsze, ale że niespodziewane.

Recenzenci to lubią. Pozwala im to okazać znawstwo i domyślność. Ten obraz zostawia więcej marginesu dla interpretatorów niż inne twoje dzieła. I na pewno ktoś go kupi. Mogę się założyć.

Rzadko mówił z takim zapalem. Żarliwie odnosił się tylko do znalezisk do swojej kolekcji i byłam naprawdę Szczerze wzruszona. Ale nie dałam się przekonać.

— Nie, nie posłę w świat nie wykończonego obrazu. Nawet dla przyjemności panów recenzentów. Pamiętasz, jak śmieliśmy się z naszego przyjaciela Artka, że drży o każdy swój obraz, nad którym stracił kontrolę, ponieważ wisi w muzeum czy w czyimś mieszkaniu? Ludzi z Poznania dopytywał się, jak się zachowują jego obrazy w tamtejszej galerii. I czy są jeszcze dobre. Trząśł się ze strachu. Bardzo dobrze go rozumiem. — Przyjrzałam się krytycznie płótnu rozpiętemu na sztalugach. — Wiesz co, Lutek? Ja chyba to zmyję. Niech ten niewydarzony niedonosek przestanie mnie nękać.

— Nie waż się! — Lutek aż poczerwieniał. — Nie masz prawa niszczyć arcydzieła!

Poczułam się nieswojo. Nikt jeszcze nie nazwał żadnego mojego obrazu arcydziełem. Byłoby to na pewno przesadne pochlebstwo, nawet gdyby nie chodziło o ten chybiony twór. Ale ile żaru w to twierdzenie włożył Lutek! Zwariował, to jedyny możliwy powód. Śmierć Jadwigi i samotność padły mu na mózg. Przy swoim znawstwie nie mógłby się tak zachwycać, gdyby był zdrowy. Przelękłam się po raz pierwszy od wielu tygodni, odkąd rozstałam się na jeziorze ze strachem. Jestem z nim sama w domu. Krzysztof wróci późno. Lutek ma oczy całkiem białe z gniewu.

— Lutek — trzeba traktować go łagodnie, nie dać nic po sobie poznać — zrozum, to nie jest arcydzieło.

— Los nie jest sprawiedliwy — nawet jego głos wydał mi się teraz zmieniony. Nie skrzypiący jak zwykle, ale pogrubiały, wydobywał się nie z gardła, a z brzucha. — Gdybym ja potrafił namalować jeden taki obraz, jeden jedyny, byłbym szczęśliwy do końca życia. A ty patrzysz na niego i wydymasz wargi, że to nie jest to.

— Bo też to nie jest coca-cola — wydusiłam z siebie kiepski dowcip, ale nie rozładowało to napięcia.

Nie analizowałam źródeł wzmagającego się niepokoju. Chciałam go zagadać. Przez chwilę jeszcze paplałam, że Lutek jest nadzwyczajnym przyjacielem, że aż się wstydzę, bo sprawiam mu zawód, i coś tam jeszcze nie bardzo do rzeczy, ale narastało we mnie zniecierpliwienie.

— E tam, nie będę się z tym dłużej cackać. Rezygnuję. Biorę trzydzieści dwa obrazy i jeden dawniejszy.

— A co zrobisz z tym?

Przyjrzałam mu się bez entuzjazmu.

— Najchętniej bym go pocięła, ale szkoda płótnu, zmyję cały i na nowo zagruntuję.

Lutek zbladł. Nie spodziewałam się takiej reakcji. Myślałam, że zemdleje, ale opanował się.

— Ewo, błagam, nie wolno takich rzeczy mówić nawet żartem. — Przelknął z trudem ślinę. — Proszę cię, podaruj mi ten obraz. Uszczęśliwisz mnie, a sama o nim zapomnisz.

— Mowy nie ma. Nie zapomnę. Mówiłam ci o Artku. Ja też mam tremę, kiedy myślę o moich najlepszych obrazach, że gdzieś tam wiszą i brzydą. Nudzą się właścicielom lub kojarzą z czymś zupełnie niedorzecznym. Pamiętam — chciałam go koniecznie zabawić — w domu u rodziców wisiała reprodukcja Miro i środek kompozycji skojarzył mi się z łopatką słonia. Diabli wiedzą dlaczego. Znienawidziłam i obraz, i malarza. — Westchnęłam obłudnie. — Podaruję ci oczywiście jeszcze kiedyś obraz. Przyrzekam. Ale nie ten. Poroniony płód. Potworek. Dwie głowy — mały tułów i skrzela zamiast rąk. Brrr... — Otrząsnęłam się ze wstrętem i zdecydowanym ruchem sięgnęłam po wilgotną gąbkę. — Pomóż mi zmywać, dobrze?



Zagroził mi drogę. Mój niepokój ustąpił miejsca przerażeniu. Lutek był biały jak papier, wargi mu drżały, ręce trzęsły się febrycznie.

— Ewo, proszę, nie zmuszaj mnie do postępowania wbrew mojej naturze. Nie znoszę, jak mnie do tego doprowadzają. Ustąp, proszę, ofiaruj mi ten obraz. Lub sprzedaj. Zapłacę dużo. Nikt go nie będzie widział. Nikomu nie powiem, ty też nikomu nie mów, zapomnij o nim. Jeśli się ktoś zapyta, mów, że go zniszczyłaś — zamilkł, ale nie ruszał się z miejsca. — Nie, to nie da się zrobić.

— Na pewno nie da. Ja się nie zgodzę.

— Nie o to chodzi — machnął z rezygnacją ręką. — Po prostu nie wytrzymasz. Opowiesz w kawiarni, zrobisz z tego zabawną anegdotę. — Mówił bardziej do siebie niż do mnie.

Nie rozumiałam, jakie ma zamiary, nawet gdy nachylił się i podniósł z podłogi sznur. Pod ścianą leżało już w pogotowiu wszystko, co potrzebne do pakowania obrazów: papier, pudła kartonowe, karton falisty, taśma klejąca, sznury w kłębkach i luzem. Lucjan wziął w rękę kawał grubego sznura i przyglądał mu się z namysłem. Kosmyk włosów, który mu zawsze opadał na czoło, miał zlepiony potem. Jeszcze kiedy stanął tuż koło mnie, nie zdawałam sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zarzucił na mnie sznur ze zręcznością, która zdumiała mnie nawet w tym momencie obezwładniającego strachu. Ściągnął go z niespodziewaną siłą. Usiłowałam coś z siebie wykrztusić, miałam sparaliżowane gardło, nie mogłam wydobyć głosu, zresztą zaciskając jedną ręką boleśnie sznur wokół moich przegubów, ramieniem w grubym swetrze zatkał mi usta. Staliśmy na środku pracowni tuż przy słupie, do którego teraz usiłował mnie przytroczyć. Próbowałam z nim walczyć, ale unieruchomił mnie bez trudu, paraliżowało mnie zdumienie i zgroza, dusiłam się, włoski z jego swetra łaskotały mnie w ustach, próbowałam go bez większego przekonania odepchnąć, ale już zdążył przycisnąć mnie do słupa, otoczyć sznurem. Na chwilę odsunął ramię, zakrztusiłam się powietrzem, ale sięgnął tylko po wilgotną szmatkę, powalaną farbami, którą wycierałam nadmiar koloru z pędzli. Kiedy wepchnął mi ją do ust, żołądek podszedł mi do gardła, ale nie zwymiotowałam. Miał już teraz obie ręce wolne, poprawił jeszcze knebel, otarł pot z czoła. Przyciśnięta do słupa nie mogłam się poruszyć, tylko serce tłukło mi się w piersiach, jakby miało rozwalić żebra, bolały mnie wykręcone do tyłu ramiona, z oczu ciekły mi łzy, dusiłam się, nos mi spuchł. Nadal nic nie rozumiałam, nie był to zresztą moment właściwy dla dociekań i rozwiązywania zagadek. Wiedziałam już, miałam pewność, że są to ostatnie chwile mego życia. Nie, nie czułam strachu, że przejdę na drugą stronę, przerażenie zostało gdzieś poza mną, nie dotyczyło mnie, było stanem historycznym, a nie aktualnym. Było mi tylko szkoda. Że to już, że koniec, że nic już nie naprawię, niczego nie dokonam. Krzysztof nie dowie się nigdy, jaką mógł mieć we mnie dobrą żonę, nie namaluję arcydzieła. W skłębione myśli przedarł się głos Lucjana. Miałam mdłości, ćmiło mi się w oczach, nie chciałam słuchać, ale nie mogłam przecież zatkać sobie uszu.

Zdjął z haka pod sufitem lampę i przez kółko żelazne przewlókł sznur. Nie musiałam odgadywać, co chce zrobić. Sam mi to dokładnie opowiadał, nie przestając ani na chwilę manipulować rękami. — Musimy się, Ewuniu, pośpieszyć. Nie, żebym się bał, że nadejdzie Krzysztof. Twojego małżonka jakoś ostatnio nie bardzo ciągnie do domu. Ale widzisz — przerwał na moment, żeby ostrożnie i z wielką dbałością odnieść zdjęty z klosz lampy w kącie pracowni — mamy jeszcze do załatwienia mnóstwo spraw. Muszę cię powiesić, rozumiesz. Może niepotrzebnie cię w to wtajemniczam, chyba sama się domyśliłaś, prawda? Ale rozmowa skraca czas oczekiwania. Trudno to co prawda nazwać rozmową — zawahał się jakby na chwilę. — Oczywiście najhumanitarniej byłoby cię ogłuszyć. Ogłuszanie skraca czas jeszcze bardziej. Ale zdajesz sobie przecież sprawę, że cios w głowę zostawia ślady. A ślady mogłyby wzbudzić niewczesne podejrzenia. Pan kapitan jest taki dociekliwy! Żadne więc morderstwo. Boże uchowaj! Samobójstwo, niewątpliwe samobójstwo! Jak Jadwiga. Jestem już niemal specjalistą od cudzych samobójstw. No cóż, neurotyczna artystka, kłopoty

twórcze, zmartwienia rodzinne, pokusa, żeby iść za przykładem ukochanej przyjaciółki. Ludzie wiedzą, że nie mogła skończyć obrazu. I Krzysztof, i państwo Bernaccy. Oczywiście przed śmiercią postanowiła go zniszczyć. Dla tych, co cię znają, będzie jasne, że nie zabiłabyś się zostawiając na widoku takiego niedonoska. Sam to zeznam powołując się na twoje własne słowa sprzed godziny. Poszukają i przestaną.

Jego głos świdrował mi w głowie, chciałam ciszy, marzyłam o ciszy. Tortura głosu była gorsza od bólu napiętych mięśni, wysuszonej krtani.

— Będę ci musiał wymasować przeguby, żeby nie było znaków po sznurze. Ciągłe narażasz mnie na kłopoty. Ile się natrudziłem, żeby złowić tego nietoperza! Dobrze to wymyśliłem, zawsze umiem znaleźć wyjście z sytuacji. — Zbliżył się i spojrzał mi prosto w twarz. — Wolałbym, żebyś nie patrzyła tak bystro. Łatwiej byłoby mi cię powiesić, gdybyś zemdłała. Prawdziwa kobieta na pewno zemdłałaby w tej sytuacji. Ale ty nie jesteś kobieca — pretensja w jego głosie rozśmieszyła mnie na mgnienie oka i wystarczyło to, żeby przywrócić pełną realność temu, co się dzieje. Dopiero teraz jasno i wyraziście zdałam sobie ze wszystkiego sprawę: że Lucjan Hron chce mnie powiesić, że za parę minut nie będę już żyła. Dominujące uczucie fizycznej niewygody ustąpiło miejsca nie rozpaczy nawet — rezygnacji. Z oczu ciekły mi łzy, chciałam, żeby już prędzej było po wszystkim, nie miałam w sobie żadnej woli walki, choć Lucjan mówił właśnie:

— Tylko się nie szarp. Pamiętaj, nie chcę ci zadawać bólu. I tak cię krzywdzę, ale przecież nie ma rady, sama rozumiesz.

Nie rozumiałam. Na chwilę ogarnął mnie dojmujący żal, że nie zaspokoję ciekawości, umrę, nie wiedząc, dlaczego umieram. Dlaczego Lucjan mnie zabija, po co mu mój nie dokończony obraz. Jest obłąkany? Czy wariat może zachowywać się tak logicznie i konsekwentnie? Oszczędzać siły, sprawnie wszystko przygotować, rozmawiać trzeźwo i wesoło? Lutek zdjął płótno ze sztalug i zwinął w duży rulon.

Rulon obwiązał cienkim sznurkiem, starannie, bez pośpiechu. Raz jeszcze sprawdził, czy pętla na haku u sufitu mocno się trzyma, i podszedł do mnie, jakby nieco skłopotany. Miał ściągnięte brwi i chłodne, kalkulujące spojrzenie.

— No, jedziemy w ostatnią podróż. — Zawahał się, wiedziałam, o co mu chodzi. Zastanawiał się, jak nie ogłuszając mnie podoła zadaniu, jeśli się będę opierać i wrywać. Byłam dość szczupła, ale wyższa od niego, niełatwo mu będzie mnie dźwignąć mimo związanych rąk i nóg. Pod pętlą ustawił stół, wzrokiem zmierzył odległość i stanął obok mnie. Nie mówił już wyraźnie, tylko mruczał pod nosem.

— Przykro mi, Ewuniu, duża urosłaś i przez to mamy kłopoty. Najpierw cię ścisnę za szyjkę. Musisz stracić przytomność, bo inaczej nie dam rady.

Nie tylko ciało sprężyło się do obrony. Teraz już apatia przeszła, w zamęcie myśli świadoma byłam, że jedynie knebel ratuje mi godność. Prosiłabym, błagała. Nie, nie chciałam umierać.

— Całe szczęście, że dałem się wczoraj zaprosić na kolację. Pani Teresa lubi wciągać innych ludzi do swojej troski o przyjaciół. Bardzo się martwiła, że jesteś w depresji, że nie możesz skończyć obrazu, chcesz go zniszczyć. Prosiła mnie o pomoc. Słusznie. Ja na pewno nie dopuszczę, żebyś go zniszczyła.

Naciągał niespiesznie rękawiczki, które wyjął z kieszeni marynarki. Wiedziałam, po co to robi.

W uszach huczały mi wszystkie akordy Beethovena, przed oczyma latały czarne płatki. Stanął za mną. Poczulałam na szyi jego palce. Próbowałam cofnąć głowę. Na próżno. Puścił mnie, przeszedł do przodu, widocznie pozycja była niewygodna, przeszkadzał mu szeroki słup. Znowu zacisnęły się na mojej szyi obie dłonie w rękawiczkach, tuż przed oczami miałam jego twarz, jak na zbliżeniu w kinie, widziałam ją porysowaną zmarszczkami, skupioną, zafrasowaną.

— Przepraszam, ale muszę, nie utrudniaj mi, nie jestem sadystą.

Żeby szybko stracić świadomość, nie przedłużać, nie wiedzieć. Zamknęłam oczy, nie chciałam już ich nigdy otworzyć. W chwili śmierci człowiek nie żegna się z życiem. Może się modli, jeśli wierzy w zbawienie, ale już się nie boi. Na szczęście. Rezygnuje. Własne istnienie przestaje go obchodzić. Już nie całkiem przytomna, chciałam jeszcze zrozumieć śmierć, pustkę, próżnię, pojąć świat, na którym mnie nie będzie. Nie wspominałam całego życia. Podobno tonący to robi, duszony nie — wiem to z własnego doświadczenia. Jeszcze mnie dręczyło, że Krzysztof uzna to za samobójstwo, będzie miał wyrzuty sumienia, będzie cierpiał, nie dowie się, że go do końca kochałam. Ogarnęła mnie rozpacz, rozpacz miała być ostatnim uczuciem, jakiego doznałam za życia.

Dłonie Lucjana były silne, palce giętkie, długie obejmowały całą szyję. Dławiłam się, szumiało mi w uszach, ale przez szum coraz głośniejszy docierał do mnie przyspieszony oddech mordercy. Zwierzęce sapanie, jak wtedy, przez telefon. Żyłam jeszcze. Czułam, słyszałam. Czas trwał nie mijając. Ręce na gardle zwolniły ucisk. Nogi miałam miękkie, ale sznur trzymał mnie, nie mogłam opaść na podłogę. Jak liść? Szmątka? Bezwładne, martwe ciało? Nagle przez mrok w głowie przedarła się świadoma myśl. Trzasnęły drzwi wejściowe. Morderca przestraszył się. Serce zaczęło mi bić jak szalone. Wrócił Krzysztof. Ale czy wejdzie do pracowni? Nigdy nie wchodził, nie pozwalałam przeszkadzać sobie w pracy i teraz umrę przez swoje obyczaje. Gdybym choć mogła dać mu znać, tupnąć nogą, charknąć głośno, jęknąć. Lucjan już mnie nie dusił, ale dalej nie puszczał mojej szyi. Nasłuchiwał. Usiłowałam dojrzeć drzwi za jego plecami. Skoncentrować myśli. Tylko myślą mogę przyciągnąć Krzysia. Krzysiu, otwórz drzwi, Krzysiu, wejdź tu, Krzysiu, ratuj, krzyczałam bezgłośnie i rozpaczliwie. Natężałam wolę nieskończenie długo, wieki całe. Nigdy potem nie uwierzyłam Krzysztofowi, że od momentu wejścia do mieszkania do chwili, kiedy obaj z kapitanem wpadli do pracowni i Krzysztof przeciął sznury, upłynęło zaledwie trzydzieści sekund.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

— Dziękuję za uratowanie mi życia. Ale i tak umrę, jeśli nie zaspokoicie, panowie, mojej ciekawości.

W komnacie trzeba było siedzieć na wysokich gdańskich tronach wokół stołu. Tylko mnie, jako niedoszłym zwłokom, przysługiwały przywileje i Krzysztof przytaszczył z pracowni stary fotel, brudny, ale miękki i wygodny. Skuliłam się na nim podwinawszy nogi. Krzys sam obsługiwał gości — profesora Bartosza, kapitana Kaweckiego, pana Juliana, niesłychanie dziś uroczystego, i panią Teresę, jeszcze bardziej niż zwykle ożywioną. Podawał herbatę i szarlotkę, przeciw której pani Teresa gwałtownie protestowała, chociaż to ona była jej główną konsumentką. Teraz poparła mnie z przejęciem.

— Będą nawet dwa trupy. Mnie też trafi apopleksja.

— To nic innego, tylko szantaż. Artykuł sto sześćdziesiąt siedem, paragraf pierwszy... — Kapitan Kaweckie był w dobrym humorze. Z rozjaśnioną twarzą wyglądał szczególnie młodo. — Poproście profesora. On lubi snuć opowieści.

— Owszem, lubię — profesor Bartosz pokiwał z politowaniem głową. — Jestem normalnym człowiekiem i korzystam z daru mowy w przeciwieństwie do niektórych oficerów milicji. — Koledzy nazywali Staszka Kaweckiego Staś Ścichapek, bo z trudem pokonywał własną małomówność i wolał działać, niż mówić; profesorowi za to wygłaszanie okrągłych zdań sprawiało wyraźną przyjemność. — Tropienie zbrodni to pasjonująca przygoda intelektualna. Nie znam większej satysfakcji niż dotarcie do prawdy przewrotnie zatajanej, wyciągnięcie metodą błędów i doświadczeń właściwych wniosków z nikłych często przesłanek. Jakaż to ulga nabrać pewności, że trafiło się na właściwy ślad i można nim iść dalej. Tropiąc zbrodniarza czuję się jak pies myśliwski. — Nie zwracając uwagi na niecierpliwe parsknięcie pani Teresy, która wierciła się niespokojnie na krześle, sięgnął niespiesznie po filiżankę. — Jeśli już wspomniałem o psach... — profesor uznał, że pijąc kawę powinien zmienić temat rozmowy na mniej drastyczny. — Czy wiecie państwo, że Owidiusz przytacza imiona wszystkich trzydziestu czterech psów, jakimi Diana poszczuła Akteona?

Pani Teresa ze zdenerwowania włożyła do ust przesadnie duży kawałek szarlotki.

— Profesorze! — w jej głosie brzmiała prawdziwa rozpacz. — My nie chcemy, żeby pan nas teraz doksztalcał. Nas zżera ciekawość.

— A ty zżerasz szarlotkę — pan Julian stanowczym ruchem przesunął półmisek na drugi koniec stołu.

Profesor odstawił filiżankę.

— Od czego zacząć? — Na szczęście nie czekał na odpowiedź. — Jak wiecie, każde samobójstwo wymaga dochodzenia. Najczęściej sprawa jest jasna. Samobójstwo dorosłego człowieka rzadko niestety bywa całkowitą niespodzianką. Znajomi jakby go oczekują. Martwią się, współczują, ale nie umieją zażegnać katastrofy. List pożegnalny — przeważnie taki jest, bo śmierć zadana własną ręką wymaga usprawiedliwienia — potwierdza ich obawy. Domniemane samobójstwo Jadwigi Hron było natomiast dla wszystkich, co naprawdę nader rzadko się zdarza — absolutnym zaskoczeniem. Dla wszystkich — najbliższych przyjaciół i dalekich znajomych. Tkwiła w tym jakaś zagadka. Człowiek był spisany na straty, ale sprawy ad acta nie można było odłożyć. I zajął się tym kapitan Kaweckie. Nie bez kozery.

— Właśnie — pani Teresa przytaknęła z zapalem. — Julek od razu powiedział, że to dziwne. Aż kapitan! Przecież wydawało się, że nie ma tu nic do roboty. Kapitan nie zajmuje się byle czym — rozejrzała się niespokojnie, czy takie określenie śmierci Jadzi nie urazi niczyich uczuć.

— Słusznie. Ale kapitan Stanisław Kawecki ma w swojej gestii od samego początku dochodzenie związane z kradzieżą bezcennego obrazu.

— Cranacha z Marcinówka. — Nie spytałam, stwierdziłam. Jakby w mrocznym pokoju ktoś rozsunął firanki i wpuścił snop światła. Nie wszystko stało się dla mnie jasne. Ale już rozumiałam — bez zdziwienia, z ulgą nawet — dlaczego miałam umrzeć, żeby Lutek mógł zachować „Burzę po potopie”.

— Cranacha z Marcinówka. Od bez mała trzech lat tropił najbardziej nawet iluzoryczne ślady i na nic, ale to literalnie na nic nie natrafił. Na żadne transakcje, żadne podejrzone kontakty, nic, co by rokowało jakiegokolwiek nadzieje, że doprowadzi do złodzieja. Stasiu, nie wstyd ci wyręczać się starym człowiekiem? Teraz ty zabierz głos, a ja spokojnie zjem szarlotkę. Porażka przy zarzucaniu sieci to nie jest powód do chwały, nie będziesz więc musiał walczyć z własną skromnością. Kapitan nie zaprotestował. — Sieć zarzuciliśmy istotnie, i to gęstą. Wszystkie przejścia graniczne były zaalarmowane. Przez prawie trzy lata każdy przedmiot o wymiarach zbliżonych do skradzionego obrazu poddawano skrupulatnym oględzinom. Byliśmy niemal pewni, że nikt obrazu nie wywiózł za granicę. A w kraju wszelki słuch o nim zaginął. Trudno było założyć, że ten, co go ukradł, chce cieszyć się nim w pojedynkę i całe ryzyko poniósł z miłości do piękna, a nie do pieniędzy. Wartość obrazu nie była powszechnie znana, dopiero niedawno stwierdzono, że to autentyczny Cranach, i prasa nie zdążyła jeszcze zrobić z tego sensacji. Interesowałem się więc przede wszystkim środowiskiem ludzi, którzy już mogli o tym wiedzieć — artystów, historyków sztuki, muzeologów. Nic mi to nie dało, nic nie wynikało z obserwacji, nie miałem się o co zaczepić. Toteż na to dziwne samobójstwo w tym właśnie środowisku rzuciłem się jak... — zawiesił głos i pani Teresa podpowiedziała tonem nie dopuszczającym sprzeciwu:

— Zgłodniały rekin.

Kapitan zdziwił się nieco, ale powtórzył posłusznie:

— Jak zgłodniały rekin. Rozmowy i przesłuchania potwierdziły, że coś się pod tym wszystkim kryje. Zacząłem drążyć, coraz bardziej pewny, że wreszcie trafiłem na właściwy trop. A potem już wszystko stało się jasne.

Pani Teresa wydała cichy, ale żalony jęk, Krzysztof roześmiał się, rozbawiony. Profesor przechylił na bok głowę i popatrzył na swojego ucznia z bezbrzeżną litością.

— Jak ja cię, Stasiu, wychowałem! Musiałem, stary gaduła, narzucić ci spartańską lakoniczność i teraz nie możesz się z tego wyleczyć. Więc tak: Staszek złapał się tej sprawy jak tonący brzytwy. Najpierw wyglądało to raczej beznadziejnie. Wszystko jakby oczywiste: samobójstwo, list do męża, nikt, komu by ta śmierć przyniosła korzyść. Ale najbliższa przyjaciółka denatki szykowała obrazy na wystawę zagraniczną — wysyłka obrazów za granicę z natury rzeczy budziła jego podejrzliwość. A tu jeszcze było kilka znaków zapytania — haczyków, na których można było zaczepić nitki, żeby krążyć po labiryncie nie błądząc.

— Haczyki bywają różne — tym razem kapitan sam z własnej woli podjął relację. — Mechanizm dedukcji można wprawić w ruch w najrozmaitszy sposób. Ja najczęściej zaczynam od czynnika dla mnie w technice wykrywania zbrodni najistotniejszego. Szukam zmian nagłych, nieoczekiwanych, trudnych do wytłumaczenia. Tropy przestępstwa to nierzadko właśnie owe zmiany. Te zwłaszcza, które zachodzą w ludziach, w ich usposobieniu, w postępowaniu, w powziętych uprzednio decyzjach. Tutaj od razu natrafiłem na mnóstwo tego rodzaju tropów. Przede wszystkim dostarczyła mi ich sama denatka. Samobójstwo Jadwigi Hron nie leżało w charakterze postaci. Jakby zagrała rolę z innej sztuki. Proszę — położył na stole niewielki zeszytek — ten notatnik to moje prywatne dossier sprawy, margines protokołów i sprawozdań. Są tam między innymi pytania wyłaniające się w związku z każdą przesłuchiwaną osobą. Mogę na przykład odczytać pytania dotyczące Ewy Rucińskiej. Jeśli pani pozwoli, oczywiście?

Nawet gdyby kapitan nie uśmiechnął się do mnie tak czarująco, i tak oczywiście nie mogłabym odmówić.

— Dlaczego zmieniła dwukrotnie decyzję w sprawie wyjazdu na Wigry? Co wpłynęło na zmiany w jej usposobieniu — nagle zaczęła prowadzić samochód, ma kłopoty twórcze, jest w niedobrych stosunkach z mężem? Wiedziałem o tym wszystkim od pani bezpośrednio, ale uzyskałem potwierdzenie od pana Krzysztofa i innych świadków. Mogłem więc te zmiany uznać za fakty. Natomiast to, co za panią świadczyło, łatwo było kwestionować. Na pani dobro, że się tak wyrażę, należało zapisać szczerą. Ale może udaną? Z troską. Ale może sztuczne? Tak łatwo jest tworzyć pozory, jeśli nie jest się takim, za jakiego się uchodzi. Fascynuje mnie gra pozorów. Od dzieciństwa chyba wiem, że człowiek często jest inny, niż się wydaje, niż się chce wydać. I korci mnie docieranie do jądra prawdy. Czasem jest to jednocześnie jądro ciemności.

Kapitan zamilkł, speszony, że niespodziewanie dla siebie samego zwierza się obcym ludziom z własnych, intymnych przemyśleń. Ale życzliwe spojrzenia rozproszyły zażenowanie. Teraz mówił szybciej niż poprzednio:

— Podobnymi pytaniami opatrzyłem zeznania i innych uczestników dramatu. Przyznaję, że chciałem, żeby śmierć Jadwigi Hron była związana ze sprawą obrazu. Tylko od kradzieży upłynęły już trzy lata, cóż więc teraz mogło zająć, co doprowadziło do katastrofy? Jadwiga nie wyglądała na osobę zdolną do brawurowej kradzieży na własną rękę — bo oczywiście mogła ten obraz ukraść sama, i teraz ze spóźnionego strachu, może zawiedziona gorzko, że nic jej z tego nie przyszło, a może szantażowana, stchórzyłaby przed odpowiedzialnością i popełniłaby samobójstwo. Denatka co prawda nie zachowywała się jak osoba trawiona zgrzyotą. Dopiero tuż przed śmiercią stała się smutna, nieufna, roztargniona. Ale nie były to zmiany, których logicznym następstwem jest ucieczka od życia. Przepraszam, czy ja mówię jasno? — Kapitan zakłopotał się nagle. — Nie jestem tak pod względem kompozycji zorganizowany, jak mój wychowany na klasykach szef i nauczyciel.

Zaprzeczyliśmy chórem nie dbając o miłość własną profesora.

— Depresyjne nastroje Jadwigi Hron tłumaczyłyby się, gdyby na przykład dowiedziała się ostatnio czegoś, co by ją wzburzyło i zgnębiło jednocześnie. Musiałoby to dotyczyć kogoś bliskiego, bo w przeciwnym wypadku nic nie skłaniałoby jej do dyskrecji. Należałoby wziąć pod uwagę jedynie męża lub przyjaciółkę — pani Jadwiga nie miała bliskiej rodziny. Ale przecież z drugiej strony nie pisałaby listu pożegnalnego do męża, gdyby to on ją zraził do życia. A lojalności wobec przyjaciółki raczej nie posunęłaby tak daleko. Nikt, ale to absolutnie nikt inny z otoczenia Jadwigi Hron nie mógł stać się przyczyną jej samobójstwa. Więc może to jednak nie było samobójstwo? Mimo listu, mimo że musiała — jak pozornie wyglądało — bellatropix przełknąć świadomie i dobrowolnie, bo kawą tylko popiła truciznę — w filiżance i dzbanuszku z mlekiem nie znaleźliśmy jej śladów. Może to, czego się dowiedziała, zagrażało jakiemuś Iksowi? Rzecz jasna, najbardziej dla mnie kusząca była koncepcja, że Jadwigę Hron zamordowano i że Iks, morderca, jest jednocześnie złodziejem obrazu. Bardzo chciałem, żeby tak było, i postanowiłem tę koncepcję przymierzyć do zagadek, które nas w tej sprawie intrygowały.

Nawet pani Teresa zgodziła się, że kapitan musi odpocząć i spokojnie zjeść kawałek szarlotki. Ale tak wyraźnie przejawiała niecierpliwość, że przełknąwszy dwa kęsy natychmiast podjął opowieść.

— Do przeszmuglowania obrazu Iks na pewno zamierzał posłużyć się panią Ewą. Ale jak? Włożyć Cranacha pomiędzy jej płótna? Nonsens, nikt przy zdrowych zmysłach nie podjąłby takiego ryzyka. Jedynym sposobem było zamalowanie jego powierzchni, ukrycie go pod innym obrazem, łatwym następnie do usunięcia. Jeśli więc pani Ewa była niewinna, ktoś inny musiał jej gruntować płótno. I rzeczywiście, okazało się po pierwsze, że przygotowuje je pan Krzysztof, i po drugie, że jej obrazy z ostatniego okresu mają szczególnie grubą podmalówkę.

To się więc zgadzało z moją roboczą hipotezą, i nawet tłumaczyło, dlaczego wypłoszono panią z domu. Tyle tylko, że panu Krzysztofowi, mającemu stały dostęp do pani płócien, nie zależałoby na tym, żeby wyjechała pani z Warszawy. Był to więc argument, że nie on jest Ikssem.

— Dziękuję — mruknął Krzyś.

— Nie ma za co — podobały mi się kpiące błyski w oczach Staszka Kaweckiego. — A więc mój Iks chciał wymienić płótno. Na tym haczyku postanowiłem zacząć kolejną nitkę. I proszę — po labiryncie było już łatwiej krążyć, ukazały się wyraźniejsze ścieżki. Iks wiedział, że pani Ewa ma jechać z mężem na Wigry, a potem na splot, i zaraz po powrocie przystąpi do malowania. A tu nagle zmiana decyzji. Nie był na to przygotowany, ale miał wiele inwencji. Kiedy zrezygnowała z podróży, postanowił zmusić ją do wyjazdu.

— Znał ją, wiedział, że nadmiar wyobraźni czyni ją podatną na lęki — profesor uznał, że sam lepiej to opowie. — U pani Jadwigi był zawsze zapasowy klucz do mieszkania państwa Rucińskich, łatwo mu było w nocy odegrać upiora. Nazajutrz, żeby w dziennym świetle nie skrzepiła się na duchu, wykonał milczący telefon z sapaniem. O, pan Ludwik Hron ma niewątpliwe talenty reżyserskie. Jako szczodry artysta nie skąpił efektów. Nawet nietoperza zdobył, bo był pewien, że temu pani Ewa na pewno nie sprostą. Udało mu się. Po wyjeździe pani Ewy w pustym mieszkaniu wymienił płótno, w miejsce zagruntowanego przez pana Krzysztofa dał ukrytego pod grubą warstwą podmalówki Cranacha. Zdawało się, że może spokojnie czekać, aż tu nowa kłeska. Pan Krzysztof, pogodzony z żoną, oświadcza, że nie jedzie na splot i wraca do Warszawy. To by jeszcze nie było groźne, ale pan Krzysztof nie omieszkał podać do publicznej wiadomości powodu, dla którego chce wracać. Że przed wyjazdem był w złej formie, robił wszystko w pośpiechu i kiepsko zagruntował płótno. Musi przygotować inne, prędko, żeby podkład zdążył wyschnąć. Hrona ogarnął popłoch. Chodziło o zbyt wysoką stawkę. Co z tego popłochu wynikło, niech wam zrelacjonuje Staszek.

Kapitan posłusznie odstawił kawę.

— Profesor nauczył mnie utożsamiać się z przestępcą, żeby odtworzyć przebieg jego rozumowania. Rozumowałem więc jako Iks, stojący wobec konieczności usunięcia Krzysztofa, niedopuszczenia, żeby wrócił do Warszawy. Jak to zrobić? Najlepiej byłoby, gdyby jednak pojechał na splot sam, bez Ewy. Ale na to mogła namówić go tylko żona, a Iks bał się naciskać. Drugą dogodną możliwością byłaby choroba Krzysztofa. Przydałoby się, żeby zachorował, nie ciężko, bo to wymagałoby obecności Ewy, lub, uchojaj Boże, rezygnacji z wystawy. Sprowadzenie na Krzysztofa choroby leżało jednak poza możliwościami Iksa. Mógł spowodować jedynie wypadek, który zatrzymałby go z dala od Warszawy. I przypuszczam, że z tych myśli o wypadku, jego dobrych i złych stronach, zrodził się pomysł morderstwa. Dzieje się tak nierzadko u ludzi bez poczucia moralnego, którzy przyporządkowują świat własnym interesom. Najpierw Iks myślał o morderstwie niejasno, raczej życząc sobie śmierci Krzysztofa, niż ją planując. Od początku jednak ta koncepcja nie przerażała go. Lucjan Hron nie był skłonny roztkliwiać się nad człowiekiem, który mógł zniweczyć jego nadzieje na odwet na życiu za wszystkie jałowe poczynania i brak sukcesów. Rozważał już potem tylko niebezpieczne strony przedsięwzięcia. Podniecał w sobie — jakże częstą u mordercy amatora — ambicję zbrodni doskonałej. Wymyślił to precyzyjnie. Wiedział oczywiście, że sprowadzony już dość dawno przez Jadwigę bellatropix, przynoszący ulgę w atakach dusznicy bolesnej, to w nadmiernych dawkach groźna trucizna, działająca szybko i dająca objawy zbliżone do zawału serca. Wiedział też oczywiście, że Ewa nie umie wiosłować, że śmiertelnie boi się wody. Krzysztof po zażyciu bellatropixu będzie miał zawroty głowy, kurcze mięśni i trudności z oddychaniem. Sam więc nie poprowadzi kajaka, a kiedy wreszcie on, Lucjan Hron, po paru godzinach czekania, jakoby zaniepokojony, popłynie łódką lub poprosi kogoś, żeby popłynął na wyspę, na ratunek będzie już za późno. Ta dawka bellatropixu, jaką poczęstował Krzysztofa w kawie — pani Ewa

kawy nigdy nie piła — sprowadzić musiała śmierć w ciągu kilku godzin. Morderca wziął pod uwagę mnóstwo czynników. Wybrał dzień niezbyt pogodny, gdyż chociaż wyspa leżała na odludziu, przy pięknej pogodzie Ewie mogłoby się udać wezwać pomoc, jeśliby ktoś przepływał nie opodal na łódce czy kajaku. Nie bał się wcale sekcji niezbędnej w wypadku nagłej śmierci. Krzysztof mógł zażywać bellatropix na dolegliwości sercowe, o których nic by nikomu nie wspomniał. Każdy jego znajomy potwierdziłby, że nie należał do ludzi przynajających się do chorób. Tak więc nawet znalezienie śladów atropiny i belladonny nie wywołałoby zdziwienia, przeciwnie, potwierdziłoby tylko, że serce Krzysztofa nie było w porządku, jego nagła śmierć okazałaby się więc bynajmniej nie podejrzana. Profesorze, litości, zaschło mi w gardle, i zresztą jeśli jeszcze przez chwilę będę utożsamiał się z mordercą, wypaczy mi to charakter.

Profesor Bartosz wyraźnie miał już ochotę zabrać głos.

— Istniało też niebezpieczeństwo, że po śmierci pana Krzysztofa pani Ewa nie wróci do malowania i obraz zostanie w Warszawie. To ryzyko musiał jednak morderca podjąć. Wyobrażam sobie zresztą, że nie bardzo w to wierzył. Sam siebie przekonał, że śmierć pana Krzysztofa nie załamie pani Ewy. Uznał, że jak w konsekwencji szkolnego wypracowania: „Po śmierci męża artystka, zachęcona przez szlachetnych przyjaciół, rzuci się w wir pracy twórczej „aby stłumić rozpacz”.

Wiedzieliśmy już o mordercy sporo: że mógł wypłoszyć panią Ewę z mieszkania, że miał do niego dostęp w nieobecności gospodarzy, orientował się w sprawach wystawy, był w Rudzie, kiedy pan Krzysztof zachorował. I był na tyle nieludzki, żeby popełnić morderstwo. Bo mordercy są nieludscy, normalny człowiek ma zakodowany szacunek dla życia osobnika własnego gatunku. To w gruncie rzeczy mogło odnosić się do każdego z pensjonariuszy pani Staszewicz. Ale Iks nie tylko usiłował zabić pana Krzysztofa. Iks zamordował panią Jadwigę — usunął albo współnika, albo przypadkowego świadka. Świadka nie kradzieży obrazu, ale zamachu na życie Krzysztofa. To tłumaczyłoby fakt, że dopiero teraz stała się niebezpieczna dla złodzieja obrazu. A także to, że jak twierdzili znajomi, właśnie tuż przed śmiercią panią Jadwigę coś drażyło — profesor poprzedzał każde nazwisko czy imię panem lub panią, co do opowieści o wykryciu zbrodni wprowadzało towarzyski nastrój. — Potwierdziły to zeznania pani Ewy, a także inne, nawet małej Małgosi. Gdyby chodziło o jakieś zmartwienia, że się tak wyrażę — w trybie normalnym — Jadwiga Hron na pewno zwierzyłaby się przyjaciółce. Nie była to osoba skryta ani szczególnie dyskretna. Iks zabił panią Jadwigę, bo poczuł się zagrożony. Czym? Jeżeli Iksem był, jak coraz bardziej skłonni byliśmy przypuszczać, Lucjan Hron, to pani Jadwiga musiała domyślić się, odkryć w jakiś sposób, że chciał zamordować pana Krzysztofa. Trzeba było jeszcze tylko stwierdzić w szpitalu, czy atak serca pana Krzysztofa nie był przypadłością fizjologiczną, chorobą lub czy mógł być skutkiem zamachu na jego życie. Potem już łatwo mogliśmy odtworzyć mechanizm narastania podejrzeń odkrycia przez panią Jadwigę zbrodni — wszystko zaczynało pasować. Wyjaśniła się na przykład sprawa tajemniczego zniknięcia termosu. Pani Jadwiga go wypakowała i pan Lucjan po powrocie z wyspy, zaniepokojony, że go tam nie było, znalazł go między innymi mokrymi rzeczami z torby pani Ewy. Na szczęście na przyjęciu u państwa Bernackich była mowa o dziwnej sprzeczce o kawę, którą usłyszała Małgosia. Dziewczynka ma dobrą pamięć i powtórzyła nam ją dosłownie. — Kapitan podsunął profesorowi swój notatnik otworzony na właściwej stronie. — „Chcesz kawy? — Nie. — To po co sobie nalewasz? — Nie nalewam, chcę wymyć termos. — Zostaw, ja się napiję. — Co z ciebie za kobieta, na miłość Boską! Tu przyjaciółka w nieszczęściu, a ty tylko myślisz, co by zjeść i czego się napić. Nie dam ci! — Lutek! — Już wylałem i dość o tym.” Może wtedy pani Jadwiga odgadła, że w termosie była trucizna, jeśli przedtem zauważyła, że mąż przy nim manipuluje. Choroba Krzysztofa wydała się jej podejrzana. Rozmawiała przecież z lekarzem, chociaż pan Lucjan usiłował do tego nie dopuścić. Domyślała się czegoś, ale pan Krzysztof



nie umarł, więc wahała się. Czy doszło do jakichś wyjaśnień między nią a mężem? Wątpię. Pilnował jej, czuwał, żeby nikomu się nie zwierzyła. Widział, że nie umie powziąć decyzji, i postanowił uderzyć; zanim ją podejmie. Zaatakował, kiedy czuła się bezpiecznie, bo nie było go w Warszawie. Zresztą i tak na pewno go się nie bała, bo do głowy jej nie przyszło, mimo wszystkich podejrzeń, że i z niej zechce uczynić ofiarę. Nie rozumiała techniki długofalowego planowania, nie zdawała sobie sprawy, że ożenił się z nią, bo jej najbliższa przyjaciółka wysyłała swoje obrazy na zagraniczne wystawy i chciał zapewnić sobie swobodny dostęp do jej mieszkania. Nadal uważała, że zawarła małżeństwo z miłości. Pan Lucjan dobrze znał łatwowierność żony, wiedział, że nie przejrzy jego zamiarów. Rozpuścił bellatropix w butelce z wodą Jana. Nic nie ryzykował. Jeszcze napisał na tablicy, żeby nie zapomniiała przepłukiwać nerek. I zadzwonił, bo chciał wzmocnić alibi i sprawdzić, czy mu się powiodło. Kalkulacja była prosta. Gdyby pani Jadwiga nie wypila reszty wody z butelki, odłożyłby rzecz do następnego wyjazdu. Liścik pozostawiony na biurku schowałby znów do szuflady, w której musiał przechowywać go już od dość dawna. Był absolutnie pewien, że wszystko przewidział i bezbłędnie upozorował samobójstwo. Nie mogło mu przecież przyjść na myśl, że na zwykłym towarzyskim spotkaniu dowiem się o podsłuchanej przez Małgosię sprzeczce, co naprowadzi nas potem na ewentualny motyw morderstwa, i że też nieoceniona Małgosia zachowa żartobliwy list z przeprosinami, podobny przecież w jakiś sposób do rzekomo pożegnalnego listu pani Jadwigi. Przepraszała w nim męża, jak już nieraz przedtem za swój niepohamowany apetyt, może za to, że wyjadła coś z lodówki, ale na pewno nie za to, że odbiera sobie życie.

— Byliśmy już pewni — opowieść przejął kapitan Kawecki — że trafnie zrekonstruowaliśmy przebieg zdarzeń. Ta hipoteza tłumaczyła wszystko: zagadkową noc pani Ewy, tajemniczą chorobę pana Krzysztofa, zmiany w zachowaniu pani Jadwigi, nawet drobne fragmenty łamigłówek, jak zniknięcie termosu czy dziwny charakter pożegnalnego listu. Ale Hron był sprytny. Poszlaki logiczne nie stanowią dowodów, a dowodów materialnych nie było. Butelka z wodą Jana, w której, jak sądziliśmy, rozpuścił bellatropix, też już oczywiście dawno została wmyta. Wiedziałem naturalnie, gdzie mogę znaleźć koronny dowód. Ale jeśli myliłem się i pod obrazem, który malowała pani Ewa, nie było Cranacha?...

— Nadmierny respekt Staszka dla dzieła omal nie naraził na zgubę twórcy. Na szczęście Staszek dyskretnie sprawdzał, co robi Lucjan Hron. I kiedy okazało się, że wyszedł z antykwariatu i nie wraca, zaalarmowany pojechał do szkoły do pana Krzysztofa i obaj już razem pospieszyli do domu.

— Byłem gotów wywalić drzwi, gdybym pana nie znalazł, ale oczywiście wolałem mieć klucze. Było to straszne pół godziny — kapitan zamyślił się i dopiero usłyszawszy manifestacyjnie głośne westchnienie pani Teresy znowu podjął wątek: — Sam byłem niespokojny, ale jeszcze nie przerażony. Dopiero kiedy pan Krzysztof zbladł jak kreda i zobaczyłem, jak trzęsą mu się ręce, zląkłem się na serio. Jechaliśmy do waszego mieszkania jak szaleńcy. Włączyłem sygnał i nie patrzałem na boki. Całe szczęście, bo zdążyliśmy przecież w ostatniej chwili.

— A dlaczego tak się przestraszyłeś? — To nie ja spytałam Krzysztofa, ale pani Teresa, która z przejścia zaczęła go tykać. — Domyślałeś się?

— Nie — Krzysztof patrzył na panią Teresę, ale mówił do mnie. — Po prostu przyszedł do mnie kapitan, wywołał mnie z lekcji i powiedział niezwykle szybko, wbrew swojej starannej zwykle wymowie połykając samogłoski: „Pprosz o kicze do wszgomieszknia”. Zaskoczyła mnie raczej dykcja niż treść prośby i spytałem niewinnie, po co. I usłyszałem: „Bję się o pńską żnę, czy mrderca nie zrbi jej krzwdy”. Co gorsze, uznał, że dosyć wyjaśnień, niemal wyrwał mi klucze i pognął na dół. Tylko dzięki długoletniej zaprawie w sprintach zdążyłem powiedzieć w klasie, że koniec lekcji, i dogonić go przy samochodzie. Nic dziwnego, że mi się ręce trzęsły.

Pani Teresa pokiwała głową jak mądra sowa. Potem mruknęła z żalem w głosie:

— A takie się to wydawało dobre małżeństwo — pani Teresa szczerze wierzyła, że ludzie zostali stworzeni do życia parami, i nieustannie starała się je odpowiednio dobierać. Była kolekcjonerem szczęśliwych par i każdy zawód odczuwała boleśnie, jak zbieracz, który utracił cenny eksponat.

Pan Julian zaoponował stanowczo, twierdząc, że trudno uważać za dobrane stadło mordercę i jego ofiarę. To z kolei wzburzyło panią Teresę i jeszcze w korytarzu, gdzie oboje wkładali płaszcze, zajadle się spierali, nie bardzo wiem o co, bo znowu zaczęłam myśleć o sobie i Krzysztofie.

## ROZDZIAŁ OSTATNI

Krzyś poszedł do kuchni zmyć filiżanki po gościach, a ja zostałam w komnacie zwinięta w fotelu, czekając, aż po mnie przyjdzie i pomoże mi wspiąć się po schodach na górę. Jeszcze ciągle byłam słaba, bolało mnie gardło i ramiona, miałam nogi jak z waty i trudności z oddychaniem. Ale nie martwiło mnie to. Przeciwnie, nie bez lekkiego żalu obserwowałam oznaki poprawy. Powrót do zdrowia oznaczał nie tylko konieczność powzięcia decyzji w sprawie obrazów — uzgodniłam już telefonicznie z organizatorami że wystawa zostanie przesunięta o trzy miesiące, ale stanowczo obstawali przy trzydziestu trzech. Przede wszystkim oznaczał koniec troskliwości Krzysztofa, jego opieki, którą jako osoba chora miałam prawo przyjmować z wdzięcznością, ale bez zażenowania. O wiele było mi przyjemniej, kiedy Krzysztof chodził koło mnie, a ja trochę kaprysiłam, niż kiedy ja koło niego, a on nie tylko nie był mi wdzięczny, ale zdecydowanie wściekły, że się o niego troszczę. Nieładnie ze mną postępował i teraz na pewno ma poczucie winy. Jest skruszony. Bardzo dobrze jest mieć skruszonego męża, znacznie wygodniej niż zadowolonego i pewnego siebie. Mąż z poczuciem winy jest lepszy niż mąż z urazami.

\* \* \*

Cichy śmiech wyrwał mnie z zamyślenia. Nie zauważyłam, że Krzysztof wrócił do komnaty. Siedział na wprost mnie i przyglądał mi się z wyrazem czulej drwiny w oczach.

— O czym sobie kłamiesz?

Obruszyłam się, choć nie zabrzmiało to bynajmniej obraźliwie i Krzysztof natychmiast pocałował mnie w rękę.

— Przepraszam. Nie kłamiesz. Układasz świat według Ewy, a nie taki, jaki jest naprawdę. Zawsze tak robisz.

Nie był to dogodny dla mnie teren do sporu i przystąpiłam do kontrataku.

— Czy podejrzewałeś, że to ja wsypałam ci truciznę do termosu z kawą?

Przez chwilę wytrzeszczał na mnie oczy, potem nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

— Żono moja, to już nie wizja artystki, to wysoki chorej wyobraźni.

— To dlaczego po powrocie z Rudy byłeś taki oschły i lodowaty?

— Bo się zląkłem, że już nie mam żadnego pretekstu, żeby z tobą pozostać, i musimy się rozejść.

— Nie rozumiem.

Spoważniał.

— Wyjaśnię ci. Dziś jest dzień wyjaśnień. Widzisz, stosunki między nami zepsuło głównie to, że ja lubię ciebie razem z twoimi wadami, a ty swoich wad nie lubisz, wobec tego usiłujesz udawać, że ich nie masz. Starłaś się o to tak żarliwie, że nie chciałem rozpraszać twoich złudzeń. Chociaż już bodaj w drugim tygodniu naszej znajomości wiedziałem, co w tobie jest prawdą, a co fałszem. Ale nie miałem ci tego za złe. Znając cię dobrze, zdawałem sobie sprawę, że nie możesz być sama, że trzeba cię chronić, że obiecałem być dobrym mężem. Wytrzymałem twoje historie, zazdrość, urojenia, nawet wyrzuty, całkiem bezpodstawne, że jestem na twoim utrzymaniu, bo uznałem, że na swój nieszczęśliwy sposób jesteś ze mną szczęśliwa. Ale kiedy po tej przeprawie przez Wigry nagle gruntownie się zmieniłaś, zrozumiałem, że to koniec. Ty będziesz mrówką bez wad, a ja politowania godnym konikiem polnym. Nie chciałem wpaść w kompleks konika polnego, czułem się już niepotrzebny i postanowiłem się z tobą rozejść. Nie była to łatwa decyzja, więc zwlekałem i chodziłem ponury. To nie znaczy... głupia, dziewczyno, że podejrzewałem cię o zamach na moje życie. Kiedy ucieszyłem się, jak powiedziałaś, że poraziło ci talent, zrozumiałem, że

między nami źle się dzieje. Mężowi nie wolno cieszyć się z porażek żony. Nasze małżeństwo zamieniło się w mecz, w którym musiałem być stroną przegrywającą. Nie mogłem przecież stać się nagle niebywale zdolnym architektem, poszukiwanym na rynkach światowych. A niezbyt zdolny, uczciwy i rzetelny architekt nie zarabia zbyt wiele i nie odnosi takich sukcesów jak sławna malarka. Więc jak ci mogłem sprostać? Nie jestem dość przedsiębiorczy, żeby rzucić się w wir interesów i zrobić majątek, ani dość sentymentalny, żeby zaproponować ci według formuły dziewiętnastowiecznej powieści, żebyś dzieliła ze mną ubogie i skromne, lecz cnotliwe życie. Więc łamałem się z sobą, żeby zdobyć się na odejście, serce mi krwawiło, kiedy zapowiadałaś, że będziesz mnie wozić samochodem — traciłem przecież ostatnią przewagę. — Zamilkł na chwilę, po czym zaczerpnął głęboko oddechu i powiedział szybko: — To zresztą nadal jest aktualne. Jesteś, Ewka, w pełni samodzielnym człowiekiem. I chyba powinniśmy się rozstać.

Do mojego pokoju na górze dotarliśmy dopiero w dwie godziny potem, ja jeszcze ciągle zabezpieczona, Krzysztof rozjaśniony; wesoły, i całkiem już przeze mnie przekonany, że czeka nas długie, wspólne, szczęśliwe życie. Korciło mnie, żeby tę jego nową pewność siebie nadwątlić.

— Krzysiu, jeśli jesteś taki mądry i wszystko wiesz, to dlaczego wcześniej nie odkryłeś mordercy?

— Bo od morderstw ja nie jestem specjalistą, a od naszego małżeństwa tak.

— I pomożesz mi zmienić osobowość? — spytałam potulnie, stropiona własną zaczepnością.

— Niemożliwe. Masz ich około piętnastu. A co gorsza, do każdej jestem w jakiejś mierze przywiązany.

Już w łóżku, objęta mocno i bezpiecznie ramieniem Krzysztofa i wsłuchana w jego równy oddech, pomyślałam jeszcze, że jednak nadal boję się nietoperzy i muszę mu to nazajutrz powiedzieć. Ostatnią przytomną myślą przed zaśnięciem było, że obraz namaluję w tonacji perłowożłotej i że będzie na nim spokojna, pogodna twarz młodej Jadwigi, która nie lęka się ziemi, nie boi się snu i chociaż zginęła cichą śmiercią, nadal cieszy się życiem.